



ROSAMUNDE PILCHER



PUSTY DOM

Tytuł oryginału *The Empty House*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Działo się to w ciepły, słoneczny poniedziałek pod koniec lipca. Dochodziła trzecia po południu. Przesycone zapachem siana powietrze chłodził powiew północnego wiatru od morza. Ze szczytu wzgórza, na które wspinała się szosa wzdłuż grzbietu Carn Edvor, teren opadał w stronę urwistych brzegów. Pola uprawne, podzielone na małe działki obrzeżone złoto kwitnącym ostrokrzewem i upstrzone granitowymi głazami narzutowymi, przypominały Wirginii kołdrę. Pastwiska wydawały się jej skrawkami zielonego aksamitu, zielonawozłote pokosy świeżo ściętej trawy — kawałkami błyszczącego atlasu, podczas gdy różowawe złoto dojrzałych łanów zboża kojarzyło się z czymś miękkim i puszystym, co chciałoby się pogłaskać.

Było cicho. Jednak gdy Wirginia zamknęła oczy, wyraźniej zaczęły docierać do niej odgłosy zwykłego letniego popołudnia. Delikatny szum wiatru poruszał paprocie. Słysząc było dudnienie samochodu forsującego na niskim biegu drogę pod górę z Porthkerris. Z oddali dochodziły charakterystyczne dla pory letniej dźwięki pracujących kombajnów przypominające brzęczenie pszczół. Kiedy otworzyła oczy, naliczyła ich trzy, z daleka małe jak zabawki, podobne do tych, którymi jej synek Mikołaj bawił się zwykle na dywanie w dzieciennym pokoju.

Nadjeżdżający samochód ukazał się już na wierzchołku wzgórza. Jechał powoli, gdyż zarówno pasażerowie, jak i kierowca podziwiali widoki przez otwarte okna. Mieli błyszczące okulary, twarze spieczone „na raka” i odsłonięte ramiona. Wóz wydawał się bardzo załadowany, a kiedy mijiał pobocze, gdzie stał zaparkowany samochód Wirginii, jakaś kobieta z tylnego siedzenia spojrzała w górę i zauważyła, że ona obserwuje ich ze szczytu wzgórza. Przez ułamek sekundy skrzyżowały się ich spojrzenia, po czym samochód ruszył w dalszą drogę, do następnego zakrętu i dalej, aż do samego zachodniego cypla Kornwalii.

Wirginia spojrzała na zegarek. Było już kwadrans po trzeciej. Z westchnieniem wstała, otrzepała białe džinsy z trawy i listków paproci, po czym zeszła na dół do samochodu. Skórzane siedzenia były nagrzane słońcem. Wykręciła wóz i zawróciła w stronę Porthkerris. Przez głowę przelatywały jej różne chaotyczne obrazy.

W wyobraźni widziała swoje dzieci, Mikołaja i Karolinę, uwięzione w czterech ścianach pokoju dzieciennego w obcym, nieprzyjaznym Londynie.

Pewnie Niania zabierała je codziennie do ogrodów Kensington, a babcia do zoo, Muzeum Ubioru lub do kina na poranki filmowe. W Londynie musiało być teraz upalnie i duszno. Zastanawiała się, czy ktoś był z Mikołajem u fryzjera i czy nie powinna kupić miniaturowy kombajnu i wysłać mu wraz z odpowiednim liścikiem wyjaśniającym:

„Dziś widziałam trzy takie kombajny pracujące na polach w Lanyon i pomyślałam sobie, że pewnie chciałbyś zobaczyć, jak to działa”.

Właściwie byłby to list do teściowej, lady Keile, aby była uprzejma przeczytać go na głos. Mikołaj, jako prawdziwy „mały mężczyzna”, nie zadałby sobie przecież trudu rozszyfrowywania pisma matki, jeśli pod ręką byłaby babcia, chętna do przeczytania mu go na głos. Natomiast z porywu serca zrodziłby się zupełnie inny list:

„Moje najdroższe kochanie, bez Ciebie i Karolinki moje życie nie ma celu ani sensu. Jeżdżę w kółko samochodem, ponieważ nic innego nie przychodzi mi na myśl. Odwiedzam miejsca, które już kiedyś poznałam, i przyglądam się, kto to obsługuje kombajny i prasuje słomę w kostki powiązane tak ściśle jak starannie opakowane paczki”.

Stare wiejskie domy, wraz z wielkimi stodołami i różnymi przybudówkami, rozciągały się w pięciomilowym pasie wybrzeża jak nie szlifowane kamienie w jakimś topornym naszyjniku. Wskutek tego ciężko było odróżnić, gdzie kończą się pola Penfoldy, a zaczynają należące do sąsiedniej farmy. Tak samo wszystkie kombajny z daleka wyglądały podobnie i nie można było rozpoznać ani ich operatorów, ani małych figurek ludzi, którzy szli za nimi i widłami układali kostki prasowanej słomy w wały.

Wirginia nie była nawet pewna, czy ten, o kim myślała, gospodaruje nadal w Penfoldzie, choć nie mogła też wyobrazić go sobie gdziekolwiek indziej. Oczyma wyobraźni skupiła się na oglądanych scenach żniwnych. Od razu wszystkie postacie zrobiły się duże i wyraźne, a ten mężczyzna siedział wysoko za kierownicą kombajnu z rozwianymi włosami i podwiniętymi rękawami ukazującymi opalone przedramiona. Aby nie zabrnąć zbyt daleko, Wirginia natychmiast wyobraziła sobie jego żonę, jak idzie przez pole, niosąc koszyk z butelkami herbaty i ciastem z owocami, ma na sobie różową bawełnianą sukienkę i niebieski fartuszek, a jej długie gołe nogi są opalone na brąz.

Żona Eustace'a Philipsa. Państwo Philips z Penfoldy...

W tym momencie przejechała już szczyt wzgórza i tuż przed nią wyłoniły się białe plaże, zatoka, nieco dalej przylądek, a całkiem w dole, rozsypane wokół błękitnej misy portu, grupki domów i wieża normańskiego kościoła w Porthkerris.

Dom państwa Lingardów, u których mieszkała Wirginia, znajdował się na drugim końcu miasteczka. Gdyby była tu obca i po raz pierwszy odwiedzała te strony, pewnie trzymałaby się głównej ulicy, która przecina miasto, aż utknęłaby w korku spowodowanym przez powolny ruch uliczny i hordy turystów. Ci zaś snuli się bez celu po wąskich chodnikach, lizali lody, wybierali pocztówki i gapili się w okna wystawowe pełne mosiężnych krasnali, glinianych syrenek i innych koszmarków uważanych tu za pamiątki.

Ponieważ jednak Wirginia знаła te strony, zjechała z głównej szosy, jeszcze zanim zaczęła się miejska zabudowa, i skręciła w wąską, okoloną żywopłotami uliczkę wspinającą się na wzgórze z dala od miasta. Była to długa droga, nie żaden skrót, ale wychodziła znów na główną ulicę przez tunel zdziczałych różaneczników nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od głównego wejścia do właściwego domu.

Prowadziły do niego: brama z białych sztachet i podjazd otoczony różowo kwitnącymi żywopłotami. Dom był utrzymany w stylu neogeorgiańskim, zbudowany proporcjonalnie, z gankiem od frontu. Podjazd przebiegał między strzyżonymi trawnikami a grządkami pachnącego laku.

Kiedy Wirginia zaparkowała wóz pod ścianą domu, rozległo się ostre szczekanie. W drzwiach frontowych ukazała się stara spanielka Alicji Lingard wabiąca się Dora, która dla ochłody lubiła leżeć na wyfroterowanej podłodze hallu.

Wirginia pogłaskała sukę, zagadała do niej i weszła do środka, zdejmując po drodze okulary słoneczne. Po jaskrawym słońcu letniego dnia w domu wydawało się być ciemno jak w studni.

Otwarte drzwi po przeciwnej stronie hallu wychodziły na patio, które z powodu południowej wystawy i stałego nasłonecznienia było ulubionym miejscem Alicji w każdą pogodę, z wyjątkiem zdecydowanie zimowej. Z/powodu upału rozwinęła dziś plecione markizy, które przepuszczały wąskie paski światła na płócienne krzesła i niskie stoliki nakryte do podwieczorku.

Na stoliku pośrodku hallu leżała popołudniowa poczta. Dwa listy, oba z londyńskimi znaczkami, były adresowane do Wirginii. Wzięła je, odkładając

na bok torebkę i okulary słoneczne. Jeden list był od lady Keile, a drugi... od Karolinki! Te tak rozczulająco znane, wyuczone w szkole pochyłe literki były napisane z wyraźnym wysiłkiem:

„Wielmożna Pani
Wirginia Keile
Dom Państwa Lingard
Porthkerris
Kornwalia”.

Nie było tu ani jednego błędu ortograficznego. Wirginia zastanawiała się, czy dziewczynka potrafiła sama zaadresować list, czy nie obeszło się bez pomocy Niani.

Z listami w rękę przeszła przez hall i wyszła na patio, gdzie gospodyni domu siedziała w niedbalej pozie na niskim krzeselku z robótką na kolanach. Miała to być ozdobna powłoczka na poduszkę. W tym celu Alicja obszywała jedwabnym sznureczkiem kwadrat aksamitu w kolorze koralu przypominający wielki płatek róży. Spojrzała w górę i zawołała:

— No, jesteś nareszcie! Już myślałam, że utknęłaś w korku drogowym!

Alicja Lingard była wysoką ciemnowłosą kobietą dobrze po trzydziestce, o mocnej budowie ciała, lecz smukłych ramionach i nogach. Wirginia zawsze nazywała ją „przyjaciółką w średnim wieku”, gdyż należała do pokolenia plasującego się w połowie drogi między Wirginią a jej matką. I rzeczywiście była długoletnią przyjaciółką jej rodziny, od czasu kiedy pełniła funkcję druhny na ślubie matki Wirginii.

Sama mniej więcej przed osiemnastu laty wyszła za Toma Lingarda, który wtedy miał właśnie zamiar przejąć rodzinną firmę „Lingard i Synowie” zajmującą się produkcją ciężkich maszyn dla przemysłu w sąsiednim Fourbourne. Pod kierownictwem Toma firma rozwinęła się i osiągnęła bardzo dobre wyniki. Po serii udanych fuzji kontrolowała już transakcje od Bristolu do St. Just, zwłaszcza w zakresie eksploatacji złóż, spedycji i obrotu maszynami rolniczymi.

Ponieważ nie mieli dzieci, Alicja wyżywała się w pielęgnacji domu i ogrodu. Przez lata dopracowała się siedziby, która była wielokrotnie fotografowana i opisywana w działach ogrodnictwa wszystkich popularnych czasopism. Przed dziesięciu laty, kiedy Wirginia z matką po raz pierwszy spędziła tu Wielkanoc, prace te dopiero się rozpoczynały.

Będąc tu po raz pierwszy od tamtego czasu, Wirginia z trudnością rozpoznawała to miejsce. Przez te lata wszystko się zmieniło, linie i kontury

przebiegały całkiem inaczej. Drzewa wyrosły, a trawniki, na które rzucały cień, zdawały się nie mieć końca. Na miejscu starego sadu krzewiły się najpiękniejsze odmiany róż, a tam, gdzie kiedyś rosły rzędkie malin i tkwiły tyczki od fasoli — rozstaczały zapach magnolie o kremowych płatkach i wysokopienne azalie.

Jednak najbardziej udanym projektem Alicji okazało się patio. Było to coś pośredniego między domem a ogrodem, co łączyło w sobie zarazem zalety jednego i drugiego. Z doniczek na tarasie zwisały pelargonie, a po kratkach przy ścianie pięły się ciemnopurpurowe klematysy. Ostatnio Alicja zdecydowała się także na uprawę winorośli, toteż zbierała informacje od znajomych i z podręczników, jak najlepiej się do tego zabrać. Wydawało się, że jej energia jest niewyczerpana.

Wirginia przysunęła sobie krzesło i opadła na nie. Sama się dziwiła, że jest aż tak zgrzana i zmęczona. Strząsnęła z nóg sandały i oparła stopy na stołku.

— Nie byłam w Porthkerris — oświadczyła.

— Jak to? Sądziłam, że pojechałaś na pocztę.

— Chciałam tylko kupić znaczki, ale mogę to zrobić kiedy indziej. Kiedy zobaczyłam te tłumy i autobusy zapchane spoconymi ludźmi, dostałam prawie ataku klaustrofobii i wolałam się nie zatrzymywać, tylko jechać dalej.

— Znaczki mogę ci pożyczyć — podsunęła Alicja.

— Teraz napij się herbaty.

Odłożyła szycie i sięgnęła po czajniczek. Znad delikatnej filiżanki uniosła się aromatyczna para.

— Chcesz z mlekiem czy z cytryną?

— Cytryna byłaby wspaniała.

— Tak, w taki upał to bardziej orzeźwia. — Podała Wirginii filiżankę i usiadła z powrotem. — To gdzie w końcu jeździłaś?

— No... tego... gdzie indziej.

— Na cypel?

— Nie tak daleko, tylko do Lanyon. Zaparkowałam na poboczu, wdrapałam się na skarpe, usiadłam w paprociach i podziwiałam widoki.

— To pięknie — skwitowała Alicja, nawlekając igłę.

— Na wsi już żniwa.

— No tak, o tej porze powinny już być.

— W takim Lanyon to chyba nic się nie zmienia. Żadnych nowych domów ani sklepów, ani parkingów...

— Łyknęła gorącej chińskiej herbaty i ostrożnie odstawiała filiżankę wraz ze spodeczkiem na podłogę. — A propos, czy Eustace Philips jeszcze gospodaruje w Penfoldzie?

Alicja przestała szyć, zdjęła przyciemnione okulary i spojrzała na Wirginię. Między jej ciemnymi brwiami pojawiła się zmarszczka.

— Skąd wiesz o Eustasie Philipsie? I co w ogóle o nim wiesz?

— Alicjo, co się dzieje z twoją pamięcią? Przecież to ty i Tom zabraliście mnie wtedy na piknik w Penfoldzie. Nie wiem, kto go urządzał, ale musiało tam być chyba ze trzydzieści osób. Piekliśmy kiełbaski na ognisku i piliśmy piwo prosto z beczki. Potem pani Philips zaprosiła nas do kuchni na herbatę. Musisz to pamiętać!

— Oczywiście, dopiero teraz mi to przypomniałaś. Tak, pamiętam, było diabelnie zimno, ale bardzo przyjemnie. Obserwowaliśmy wschód księżyca nad Boscovey Head. Zaraz, kto zorganizował to przyjęcie? Na pewno nie Eustace, bo on zawsze był zajęty obrządzaniem krów. To musieli być Barnetowie — on był rzeźbiarzem i przez kilka lat miał pracownię w Porthkerris, dopóki nie wrócił do Londynu. A jego żona wyplatała koszyki czy paski na ludową modłę, no i mieli masę dzieci, które wiecznie biegały na bosaka. Tak, to musieli być oni, bo zawsze wymyślali jakieś oryginalne imprezy. Przez te wszystkie lata nie myślałam o nich. Wszyscy wtedy pojechaliśmy do Penfoldy... — Tu jakby pamięć ją zawiodła i spojrzała niepewnym wzrokiem na Wirginię. — Zaraz, czy wszyscy? Kto tam wtedy był?

— Mama nie pojechała. Powiedziała, że to nie w jej stylu.

— I miała rację!

— Ale ty, Tom i ja pojechaliśmy.

— Oczywiście, choć założyliśmy na siebie górę swetrów i skarpet. Może nawet ubrałam się w futro. Ale zaczęliśmy mówić o Eustasie. Ile ty wtedy miałaś lat, siedemnaście? Zabawne, że jeszcze go pamiętasz.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy on wciąż gospodaruje w Penfoldzie?

— Ta farma należała jeszcze do jego ojca, który z kolei przejął ją po swoim ojcu. Na tyle, na ile go znam, nie przypuszczam, żeby mógł nagle zwinąć majdan i prysnąć stąd.

— Też nie przypuszczam, tylko akurat dziś przyglądałam się, jak pracowali przy żniwach, i zastanawiałam się, czy to on mógł być tym

facetem, który jeździł kombajnem z prasą. Czyś ty go jeszcze potem widziała?

— Chyba nie. Nie zrozum mnie źle, to nie dlatego, żebyśmy nie chcieli... Chodzi o to, że on jest ciężko pracującym rolnikiem, a Tom biznesmenem, więc prawie nie mieli okazji, aby się spotkać. Najwyżej sporadycznie, podczas polowań na zające lub na jakiejś imprezie świątecznej... Wiesz, jak to jest.

Wirginia podniosła filiżankę ze spodkiem, po czym przez chwilę wpatrywała się w namalowaną na niej różę. W końcu stwierdziła:

— I pewnie się ożenił.

— Powiedziałas to takim tonem, jakby to było niezbitym faktem.

— A nie jest?

— Otóż nie jest. Diabli wiedzą dlaczego, ale do tej pory się nie ożenił. Zawsze wydawało mi się, że jest mu tak do twarzy z tą opalenizną jak bohaterom Lawrence'a. Pewnie wzdychało do niego dużo dziewcząt z Lanyon, ale wszystkie odrzucił. Widać dobrze mu z tym.

Wizja żony Eustace'a, powstała w wyobraźni Wirginii, znikła równie nagle, jak się pojawiła. Miejsce jej zajął obraz kuchni w Penfoldzie, opuszczonej i zaniedbanej, z resztkami ostatniego posiłku na stole, górą naczyń w zlewie i popielniczką pełną niedopałków.

— Czy ma kogoś, kto by troszczył się o niego?

— Nie mam pojęcia. O ile wiem, jego matka umarła jakieś dwa lata temu. Nie wiem, jak on sobie radzi, może ma jakąś seksowną gospodynię albo gospodarną kochankę... Naprawdę nie wiem.

Ton głosu Alicji sugerował również, że» nic ją to nie obchodzi. Przyszyła do końca jedwabny sznureczek, zakończyła robotę kilkoma mocnymi ściegami i lekkim szarpnięciem zerwała nitkę.

— No, to byłoby na tyle. Czy to nie wspaniały kolor? Stanowczo jest dziś za gorąco na szycie. — Odłożyła na bok robótkę. — O rany, chyba muszę już zająć się kolacją. Co powiedziałabyś na wspaniałego świeżego homara?

— Powiedziałabym, że bardzo mi przyjemnie. Alicja wstała, rozprostowując ponad głową Wirginii całą swoją długą postać.

— Wiesz, że dostałaś dwa listy?

— Tak, już je wzięłam.

Alicja schyliła się, aby zabrać tacę.

— Zostawiam cię samą, żebyś mogła je spokojnie przeczytać.

Wirginia zaczęła od listu teściowej, aby najlepsze zostawić sobie „na deser”. List był w eleganckiej ciemno-niebieskiej kopercie z granatową bibułkową podszewką, napisany na sztywnym papierze z wypukło wytłoczonym nagłówkiem.

„32 Welton Gardens, SW 8

Droga Wirginio!

Mam nadzieję, że macie tam ładną pogodę. U nas panował wczoraj straszny upał. Pewnie kąpiesz się w basenie Alicji — jak to dobrze nie musieć jechać aż na plażę, kiedy ma się ochotę popływać! Dzieci są zdrowe i przesyłają Ci pozdrowienia. Niania codziennie chodzi z nimi do parku. Zabierają ze sobą podwieczorek i jedzą go tam na świeżym powietrzu. Dziś rano kupiłam Karolinie parę nowych sukienek u Harrodsa, bo ze swoich starych już całkiem wyrosła. Myślę, że te nowe Ci się spodobają — jedna jest niebieska z naszytymi kwiatkami, a druga różowa, lekko marszczona. Jutro będzie podwieczorek u Manning-Prestonów, nasza Niania już się cieszy, że poplotkuje sobie z ich nianią. Ich Zuzia jest akurat w wieku naszej Karolinki; chciałabym, żeby się zaprzyjaźniły. Pozdrów ode mnie Alicję i daj mi znać, kiedy zdecydujesz się wracać do Londynu. Oczywiście świetnie tu sobie radzimy i wcale nie chcemy, abyś skraciała swój wypoczynek, bo naprawdę Ci się on należał.

Szczerze oddana —

Dorothea Keile".

Wirginia przeczytała ten list dwukrotnie, targana sprzecznymi uczuciami. Te okrągłe, starannie wykaligrafowane zdania mogły przecież mieć dwojakie znaczenie. Wyobraziła sobie swoje dzieci w rozgrzanym londyńskim parku, w którym trawa była pożółkła od słońca, zdeptana i zapaskudzona przez psy. W myślach widziała rozpalone do białości niebo nad miastem i małą dziewczynkę wtlaczaną w sukienki, których wcale nie pragnęła ani się jej nie podobały, lecz była zbyt grzeczna, by odmówić ich przyjęcia. Wyobraźnia malowała już obraz wysokiej willi z tarasem, należącej do Manning-Prestonów. Na tyłach tej willi znajdował się ogród, gdzie pani Manning-Preston wydawała swoje słynne przyjęcia. Pewnie Karolinę i Zuzannę odesłano, aby się tam bawiły, podczas gdy ich niańki dyskutowały o wzorach robótek na drutach. I przypuszczalnie Karolina, jak zwykle nieśmiała, stała cicho jak myszka, a Zuzia Manning-Preston traktowała ją z góry. Zuzia uważała Karolinę za oferwę, gdyż ta nosiła okulary.

No a zwrot „świetnie sobie radzimy” był już całkiem niejasny. „My”, to znaczy kto? Niania i babcia? Czy także jej, Wirginii, dzieci? Czy Karolinie pozwalano kłaść się spać ze swoim starym misiem, czy też Niania uznała, że to niehigieniczne? Czy pamiętano o zostawianiu zapalonego światła, aby Mikołaj mógł trafić do łazienki, gdyby zbudził się w środku nocy? A czy kiedykolwiek pozostawiano je samym sobie, aby mogły czasem pobrudzić się w zakamarkach ogrodu czymś tak pozornie bezsensownym jak orzech czy liść? Czy pozwalano im mieć swoje nie kontrolowane tajemnice i wyobrażenia lęgące się w ich małych rozumkach?

Wirginia zauważyła, że drżą jej ręce. No nie, musiała być głupia, aby doprowadzić się do takiego stanu! Przecież Niania zajmowała się dziećmi od urodzenia, znała wszystkie ich nawyki i nikt tak jak ona nie poradziłby sobie z nagłymi napadami hysterii, które czasem miewał Mikołaj.

Tylko czy on powinien mieć w ogóle jakieś napady? W końcu ma już sześć lat, mógłby z tego wyrosnąć. I jakie stresy powodują takie reakcje?

Ale przecież Niania jest dobra dla Karolinki! Szyje sukienki dla jej lalek, a dla misiów robi na drutach sweterki i szaliki z resztek włóczki. Pozwala Karolinie samej popychać wózek dla lalki w drodze do parku, kiedy przechodzą koło pomnika księcia Alberta... Tak, ale czy także czyta Karolinie jej ulubione książki? „Kłopoty rodu Pożyczalskich”, „Małych wędrowników” i „Tajemniczy ogród”? Czy ona w ogóle kocha dzieci, czy tylko uważa je za swoją własność?

Te na pozór proste pytania Wirginia zadawała sobie coraz częściej. Wciąż jednak pozostawały one bez odpowiedzi. Zdawała sobie sprawę, że omija zasadniczą kwestię, ale starała się odsuwać od siebie niepokój, zawsze wynajdując dla siebie jakieś usprawiedliwienie. „O tym pomyślę jutro — mówiła sobie. — Dziś jestem zanadto zmęczona. Może gdy Mikołaj pójdzie do szkoły, powiem teściowej, że nie potrzebuję już Niani. Wytłumaczę Niani, że powinna już odejść i znaleźć sobie jakieś inne dziecko do niańczenia... Nie, może nazbyt emocjonalnie do tego podchodzę! Dzieciom jest lepiej z Nianią, w końcu przez czterdzieści lat nic innego nie robiła, tylko opiekowała się dziećmi!”

Te oklepane wymówki podziały jak środek uspokajający, w sam raz, aby zagłuszyć nieczyste sumienie Wirginii. Wsunęła list z powrotem do wytwornej koperty i z ulgą sięgnęła po następny. Ulga była jednak krótkotrwała, bo chociaż Karolina użyła babcinego niebieskiego papieru listowego, jej zdania nie były tak starannie napisane ani tak poprawnie sformułowane.

Pióro jej zalewało, a linijki pisma zjeżdżały w dół strony, jakby wyrazy staczały się z górki.

„Kochana Mamusiu!

Myślę, że dobrze się bawisz i pogoda jest ładna. W Londynie jest gorąco. Musze iść na podwieczorek do Zuzi Maning Preston. Nie wiem w co się będziemy bawić. Mikołaj krzyczał w nocy i Babcia musiała mu dać pigułkę. Zrobił się cały czerwony. Mojej lalce wypadło oko i nie mogę go znaleźć. Proszę cię napisz do mnie szybko i powiedz, kiedy wrócimy do Kirkton.

Twoja kochająca Karolinka

P.S. Niezapomnij napisać!"

Złożyła list w kostkę i odłożyła na bok. Po przeciwnej stronie ogrodu lśniła błękitna tafla basenu Alicji. Powietrze przepełnione było śpiewem ptaków i zapachem kwiatów. Z domu dobiegał głos Alicji wydającej dyspozycje kucharce, pani Jilkes, prawdopodobnie dotyczące homara, który miał być na kolację.

W jednej chwili Wirginia poczuła się nieudolna i bezradna. Najpierw pomyślała, aby prosić Alicję o zgodę na sprowadzenie dzieci tutaj, a już w następnej chwili uświadomiła sobie, że to niemożliwe. Dom Alicji nie był zaprojektowany z myślą o dzieciach — nie przewidziano ich tutaj. Na pewno wyprowadzałoby ją z równowagi, gdyby Karolinka zapomniała o zdjęciu kaloszy, a Mikołaj kopał piłkę na wypielegnowanych grządkach kwiatowych lub bazgrał po tapetach. No, a bez Niani z pewnością byłby dwa razy bardziej niegrzeczny niż normalnie.

Właśnie, „bez Niani”, to były kluczowe słowa. Chciała mieć dzieci tylko dla siebie. Całkiem samodzielnie.

Z drugiej strony sama myśl o tym przejmowała ją lękiem. Co zrobiłaby z dziećmi, gdzie poszłaby z nimi? Wpadała na coraz to nowe pomysły, jakby badając grunt wokół siebie. Hotel? O tej porze roku hotele są przepełnione i strasznie drogie. Zresztą w hotelu Mikołaj byłby równie denerwujący jak w domu Alicji. Można by też wynająć przyczepę campingową lub koczować na plaży jak hipisi, którzy palili tam ogniska z drzewa naniesionego przez wodę i spali zwinięci w kłębek na zimnym piasku.

Zawsze było jeszcze Kirkton. Kiedyś, tak czy siak, będzie musiała tam wrócić. Na razie jednak instynktownie unikała myśli o powrocie do Szkocji — gdzie mieszkała ze swoim mężem Anthonym, gdzie urodziły się jej dzieci — tego jedyne miejsca, które mogła uważać za swój dom. Kirkton kojarzyło się jej z cieniami drzew poruszającymi się na ścianach, chłodnym

światłem północnego słońca odbijającym się od białych sufitów i odgłosami własnych kroków na wyfroterowanych, nie przykrytych niczym schodach. Przywoływało na myśl pogodne jesienne popołudnia z pierwszymi odlotami dzikich gęsi i park przed domem schodzący aż na brzeg bystrej, głębokiej rzeki...

Nie, to jeszcze za wcześnie. Karolinka będzie musiała trochę poczekać. Może kiedyś, później, wróćą razem do Kirkton, ale jeszcze nie teraz. W tym momencie usłyszała trzaśnięcie drzwi i wracający z pracy Tom Lingard ściągnął ją z obłoków na ziemię. Słyszała, jak wołał Alicję, potem rzucił teczkę na stół w hallu i wkroczył na patio w poszukiwaniu żony.

— Cześć, Wirginio! — Pochylił się i ucałował ją w czubek głowy. — Sama? A gdzie jest Alicja?

— W kuchni. Zajęta homarem.

— O, listy od dzieci? Wszystko w porządku? No to świetnie! — Tom miał zwyczaj nie czekać na odpowiedź, tylko samemu jej sobie udzielać. — Co robiłaś cały dzień? Opalałaś się? No i dobrze! A może byśmy teraz trochę popływali? Ruch dobrze ci zrobi po całym dniu leniuchowania. Zaraz zawołamy Alicję... — Sprężystym krokiem, tryskając energią, pomaszerował w stronę kuchni, głośno nawołując żonę.

Wirginia, zadowolona, że ktoś dał jej jakieś wskazówki, wstała, zabrała swoją korespondencję i poszła na górę do sypialni, przebrać się w kostium kąpielowy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Radcy prawni nosili nazwiska: Smart, Chirgwin i Williams. Przynajmniej takie nazwiska widniały na mosiężnej tabliczce na drzwiach. Tabliczka była tak wytarta przez intensywne czyszczenie, że litery były niewyraźne i trudno czytelne. Na tych samych drzwiach znajdowała się również mosiężna kołatka i także sama klamka, obie równie gładkie i błyszczące jak tabliczka. Kiedy Wirginia nacisnęła klamkę i weszła do środka, znalazła się w wąskim korytarzu, gdzie połysk brązowego linoleum i ścian pomalowanych na kremowo sugerowały, że sprzątaczką musiała ciężko się napracować.

W korytarzu tym znajdowało się oszklone okienko, jak w staroświeckiej kasie biletowej. Widniał na nim napis „Biuro porad prawnych”, a obok tkwił przycisk dzwonka. Kiedy Wirginia nacisnęła go, szyba przesunęła się w górę.

— Słucham?

Wirginia, zaskoczona, wyjaśniła osobie w okienku, że chciałaby widzieć się z panem Williamsem.

— Czy jest pani umówiona?

— Tak. Moje nazwisko Keile.

— Proszę chwileczkę poczekać.

Okienko zatrasnęło się i twarz znikła. Po chwili ta sama twarz ukazała się w otwartych drzwiach, tym razem w połączeniu z korpulentnym ciałem i parą nóg w solidnych sznurowanych trzewikach.

— Pani pozwoli tędy!

Budynek, w którym mieściło się biuro, stał na szczycie wzgórza, które zaczynało się już w Porthkerris. Mimo to Wirginia nie spodziewała się, że zobaczy widok tak piękny jak ten, który rzucił się jej w oczy, gdy tylko weszła do pokoju. Biurko, zza którego wstawał właśnie pan Williams, stało na środku, a za nim, w wielkim widokowym oknie, jak obraz w ramie, rozpościerała się malownicza panorama starej części miasta. Na zboczach wzgórza rozrzucone były, bez ładu i składu, wyblakłe łupkowe dachy domów z bielonymi kominami. Na ich tle dostrzec można było jakieś niebieskie drzwi, to znów żółte okno czy parapet okienny ozdobiony pelargoniami. Gdzieś powiewała na sznurze bielizna lub wykwitało całkiem nieoczekiwane w tym miejscu drzewo.

Poniżej widać było opromieniony słońcem port w trakcie przypływu. Łodzie kołysały się na kotwicy, a spod osłony wału przeciwpowodziowego

wymknął się biały żagiel, dążąc prosto w kierunku linii horyzontu łączącej dwa błękity. Powietrze pełne było pisku mew, a niebo ich szybujących skrzydeł. Właśnie dzwony z wieży normańskiego kościółka zaintonowały prosty kurant, a zegar wybił jedenastą.

— Dzień dobry — powiedział pan Williams, a Wirginia zorientowała się, że powtórzył to już po raz drugi.

Spróbowała oderwać się od widoku w oknie i skupić uwagę na swoim rozmówcy.

— Dzień dobry, moje nazwisko Keile, chciałabym... — Nie, to jednak było nie do wytrzymania. — Jak może pan pracować w pokoju z takim widokiem?

— Dlatego właśnie siedzę tyłem do niego.

— To jest fantastyczne!

— Tak, i jedyne w swoim rodzaju. Malarze często proszą nas, byśmy pozwolili im malować widok z naszego okna. Widać stąd cały układ miasta, za każdym razem w innych kolorach, ale zawsze piękny. No, chyba że pada. A teraz — raptem zmienił ton głosu, jakby chciał jak najszybciej wrócić do pracy i nie tracić więcej czasu—czym mogę pani służyć?

Podsunał jej krzesło. Wirginia usiadła, próbując przestać patrzeć w okno i skupić się na zasadniczym temacie.

— Może zwracam się z tym do niewłaściwej osoby, ale nie mogłam znaleźć w tym mieście pośrednika obrotu nieruchomości. Szukałam w tutejszej gazecie ogłoszeń o domach do wynajęcia, ale nic takiego się akurat nie ukazało. W książce telefonicznej znalazłam nazwisko pana i pomyślałam, że może pan będzie mógł mi pomóc.

— Chodzi pani o pomoc w znalezieniu domu? — Williams był młodym brunetem szczerze zainteresowanym atrakcyjną kobietą po drugiej stronie, biurka.

— Tak, do wynajęcia.

— Na jak długo?

— Na miesiąc, bo w pierwszym tygodniu września dzieci muszą wracać do szkoły.

— Rozumiem. Wprawdzie zasadniczo nie zajmujemy się takimi sprawami, ale zapytam pannę Leddra, czy mogłaby nam coś polecić. Z tym, że mamy teraz pełnię sezonu i miasto jest zapchane turystami. Obawiam się, że nawet jeśli pani coś znajdzie, będzie to bardzo drogie.

— Mniejsza o to.

— Pani będzie łaskawa chwileczkę poczekać. Wyszedł, zostawiając ją samą. Wirginia słyszała, jak rozmawia z kobietą, która wprowadziła ją tutaj. Wstała, podeszła do okna i szeroko je otworzyła. Uśmiechnęła się widząc, że spłoszyła mewę, która siedziała na parapecie. Od morza wiał chłodny i rześki wiaterek. Z portu wypływał właśnie statek wycieczkowy załadowany pasażerami. Nagle Wirginia zapragnęła znaleźć się na jego pokładzie. Jak cudownie byłoby poczuć się na całkowitym luzie, nosić kapelusz z napisem „Pocałuj mnie!”, opalać się i salwami śmiechu witać pierwsze fale kołyszące statkiem! W tym momencie wrócił pan Williams.

— Czy mogłaby pani jeszcze trochę poczekać? Panna Leddra właśnie się dowiaduje...

— Ależ oczywiście! — Usiadła z powrotem.

— Czy zatrzymała się pani w Porthkerris? — Pan Williams przeszedł na ton poufalej rozmowy.

— Tak, u znajomych. Mieszkam u państwa Lingardów. O ile poprzednio zachowanie prawnika nie zdradzało oznak zbytniej zażyłości, o tyle teraz zaczął okazywać szacunek i atencję.

— Ach, tak. Cóż za piękne miejsce!

— Owszem, Alicja ładnie je urządziła.

— Czy była tam pani już kiedyś?

— Tak, przed dziesięciu laty, a teraz pierwszy raz od tamtego czasu.

— Czy dzieci są tu z panią?

— Nie, są z babcią w Londynie, ale chciałabym je tu sprowadzić.

— Czy stale mieszka pani w Londynie?

— Nie, tylko tam mieszka moja teściowa.... — Pan Williams czekał na dalszy ciąg jej wypowiedzi. — ... a stale mieszkamy w Szkocji.

Na twarzy radcy pojawił się zachwyt. Wirginia nie rozumiała, co może być tak zachwycającego w tym, że mieszka w Szkocji.

— Ależ to wspaniałe! A gdzie dokładnie?

— W Perthshire.

— To najpiękniejsze miejsce. Zeszłego lata spędzaliśmy tam z żoną wakacje. Taki tam spokój, cisza i mały ruch. Jak pani mogła dobrowolnie opuścić takie piękne strony?

Wirginia już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć, ale na szczęście rozmowę przerwało wtargnięcie panny Leddra z plikiem papierów.

— Proszę bardzo, szefie. To się nazywa Bosithick. A tu jest list od pana Kernów, w którym pisze, że wynajmie to, jeżeli znajdziemy chętnego na

sierpień. Z tym, że musi to być „odpowiedni kandydat”. Podchodzi do tego bardzo stanowczo.

Pan Williams wziął od niej papiery i ponad nimi uśmiechnął się do Wirginii.

— Czy pani jest „odpowiednią kandydatką”, pani Keile?

— To zależy, co ma mi pan do zaoferowania.

— To właściwie nie jest w samym Porthkerris... Dziękuję pani, panno Leddra... ale niedaleko, w Lanyon.

— Lanyon?

W jej głosie musiało zabrzmieć przerażenie, bo pan Williams zaraz zaczął roztaczać przed nią zalety Lanyon.

— To świetny punkt, chyba jedno z najpiękniejszych miejsc na wybrzeżu.

— Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko temu, tylko jestem zaskoczona.

— A dlaczego? — Przenikał ją paciorkowatymi ptasimi oczkami.

— To nic ważnego. Proszę opowiedzieć mi o tym domu.

Według jego słów, był to stary wiejski domek, nie wyróżniający się niczym szczególnym poza tym, że w latach dwudziestych mieszkał i tworzył tam pewien sławny pisarz...

— Jaki? — przerwała Wirginia.

— Słucham?

— Chciałam zapytać, co to był za pisarz?

— Przepraszam, nie dosłyszałam. Aubrey Crane. Czy wiedziała pani, że on kilka lat swego życia spędził w tych stronach?

O tym Wirginia nie wiedziała, lecz wiedziała, że Aubrey Crane należał do pisarzy nie aprobowanych przez jej matkę. Pamiętała, jak matka przybierała chłodny wyraz twarzy i sznurowała usta, kiedy przy niej mówiono o jego książkach. Pamiętała też, jak szybko zwracano je do biblioteki, zanim młoda Wirginia mogłaby się nimi zainteresować. Choćby z tego powodu ta chałupka stawała się jeszcze bardziej zachęcająca.

— Niech pan mówi dalej — poprosiła.

Pan Williams dodał jeszcze, że w pewnym stopniu domek został zmodernizowany: zainstalowano w nim łazienkę, ubikację i kuchenkę elektryczną.

— Do kogo to należy? — zapytała Wirginia.

— Pan Kernów jest siostrzeńcem starszej pani, która była właścicielką domu. Odziedziczył go po niej, lecz na stałe mieszka w Plymouth, a tu przyjeżdża tylko na wakacje. W tym roku też chciał przyjechać z rodziną, ale jego żona zachorowała i nic z tego nie wyszło. Ponieważ jesteśmy jego pełnomocnikami, powierzył nam, zajmowanie się tą sprawą, z tym że możemy wynająć ten dom tylko osobie, której można zaufać, że zadba o niego należycie.

— Czy to duży dom?

Pan Williams przestudiował uważnie dokumenty.

— Zobaczmy: kuchnia, salonik, na parterze łazienka i hall, a na piętrze trzy sypialnie.

— Czy jest tam ogród?

— Właściwie nie.

— A jak to jest daleko od szosy?

— Jeżeli dobrze pamiętam, to około stu jardów polną drogą.

— Czy mogłabym od razu tam się wprowadzić?

— Nie widzę przeszkód, ale chyba musi pani najpierw to zobaczyć.

— Oczywiście, a kiedy mogę?

— Choćby dziś albo jutro.

— Powiedzmy jutro rano.

— Sam tam panią zaprowadzę.

— Dziękuję panu bardzo! — Wirginia wstała i skierowała się ku drzwiom.

Pan Williams musiał się pospieszyć, aby uprzedzić ją i otworzyć jej drzwi.

— Jeszcze jedno, proszę pani!

— Co takiego?

— Nawet nie spytała pani o wysokość czynszu.

— Chyba rzeczywiście nie — uśmiechnęła się. — Do widzenia panu!

Wirginia na razie nie wspominała o niczym Alicji ani Tomowi. Wolała nie ubierać w słowa czegoś, co w najlepszym razie było tylko mglistym projektem. Nie chciała wdawać się w dyskusję, w której próbowano by ją przekonać, że dzieciom lepiej będzie w Londynie z babcią. Możliwe też, że Alicja nalegałaby na przywiezienie dzieci do niej, zapewniając, że nie będą jej przeszkadzać ewentualne wyrządzone przez nie szkody.

Nie, dopiero kiedy znajdzie coś odpowiedniego do zamieszkania, postawi Alicję przed faktem dokonanym. Wtedy Alicja będzie mogła pomóc jej w

pokonaniu największej przeszkody, jaką będzie przekonanie babci, by puściła dzieci do Kornwalii bez opieki Niani. Na samą myśl o tej przeprawie Wirginii kręciło się w głowie. Najpierw jednak należało pokonać mniejsze trudności, z którymi była zdecydowana poradzić sobie sama.

Alicja w roli gospodyni zachowywała się idealnie. Kiedy Wirginia zawiadamała ją, że rano gdzieś się wybiera, Alicja nigdy nie wypytywała jej gdzie. Tym razem też tylko spytała:

— A wrócisz na lunch?

— Nie wydaje mi się... Powiedzmy raczej, że nie.

— Dobrze, to na podwieczorek. A potem sobie razem popływamy.

— Cudownie — odparła Wirginia.

Ucałowała Alicję na pożegnanie, wsiadła do samochodu i zjechała ze wzgórza do Porthkerris. Zaparkowała w pobliżu stacji kolejowej i wstąpiła do biura porad prawnych po pana Williamsa.

— Och, pani Keile, tak mi przykro, ale nie będę mógł pojechać dziś z panią do Bosithick. Z Truro przyjeżdża nasza stara klientka, więc muszę tu na nią czekać, chyba pani mnie rozumie! Proszę, oto są klucze do tego domu i narysowałem pani dokładną mapę, jak tam trafić. Nie wydaje mi się, aby pani mogła zabłądzić. Woli pani jechać sama czy mam wysłać z panią pannę Leddra?

Perspektywa towarzystwa tej okropnej panny Leddra była tak odstrasżająca, że Wirginia zapewniła pana Williamsa, iż doskonale da sobie radę sama. Otrzymała kółko z wielkimi kluczami, z których każdy opatrzony był drewnianą tabliczką z napisami: „Drzwi od frontu”, „Drewutnia”, „Pokój na wieży” itp.

— Będzie pani musiała uważać na drogę — powiedział pan Williams, kiedy razem szli w stronę wyjścia. — Jest bardzo wyboista i nie ma tam gdzie zawrócić samochodu przed bramą domu. Będzie pani musiała jechać dalej tą drogą aż na podwórze starej farmy. Tam pani łatwo zawróci i wszystko będzie w porządku. Bardzo mi przykro, że tak wypadło, ale będę czekał na pani opinię o tym miejscu. Aha, i jeszcze jedno! Ten dom całymi miesiącami stał pusty. Proszę się nie przejmować, jeśli będzie tam zaduch. Trzeba wtedy pootwierać na oścież okna i wyobrazić sobie ogień wesoło trzaskający w kominku.

Lekko zniechęcona tymi pożegnalnymi uwagami Wirginia wróciła do samochodu. W torebce czuła ciężar kluczy od nieznanego domostwa. Nagle zatęskniła za czyimś towarzystwem i nawet jeszcze przez moment

rozważała, czyby nie wrócić do Alicji, wyznać jej wszystko i prosić, żeby pojechała z nią do Lanyon... Nie, to byłoby niepoważne! Chodzi przecież tylko o to, żeby obejrzeć mały domek i albo go wynająć, albo zrezygnować. Tyle potrafi zrobić każdy głupi, a więc i Wirginia.

Pogoda wciąż była piękna, a ruch nadal duży. W długim wężu samochodów przebrnęła przez centrum miasta i wydostała się na drugą stronę. Na szczycie wzgórza drogi się rozwidlały i ruch stał się nieco mniejszy, tak że mogła nabrać szybkości i wyprzedzić sznur wlokących się aut. W miarę jak wznosiła się coraz wyżej wśród wrzosowisk, a w dole pod nią rozciągało się morze, czuła się coraz lepiej. Szosa jak popielata wstęga wiała się przez pagórkowate okolice porośnięte paprociami. Po jej lewej stronie wznosił się grzbiet Carn Ed vor, nakrapiany liliowymi kępami wrzosu, a po prawej w dół ku morzu opadała znajoma szachownica pól, którą widziała już dwa dni temu.

Pan Williams uprzedził ją, aby uważała na przygiętą wiatrem kępę krzewów głogu przy drodze. Za nią miał być ostry zakręt i polna droga prowadząca w kierunku morza. Wirginia minęła kępę i skrzyła w coś, co właściwie było kamienistą ścieżką odgranieczoną wysokimi żywopłotami z ciemnych krzewów. Zredukowała bieg do najniższego i ostrożnie posuwała się w dół, usiłując omijać wyboje i starając się nie myśleć o tym, co ostrokrzewy robią z lakierem jej samochodu.

Dopóki nie weszła w zakręt, nie było widać żadnego domu, ale zaraz za zakrętem wyrósł kamienny mur, zza którego wystawał łupkowy dach z mansardą. Wirginia zatrzymała samochód, wzięła torebkę i wysiadła. Na zewnątrz czuć było chłodny słony wiatr od morza i zapach ostrokrzewu. Chciała otworzyć bramę, lecz zawiasy były połamane, więc musiała ją podnieść. Za bramą ścieżka prowadziła w dół aż do ciągu kamiennych schodków, te zaś do domu.

Dom, jak stwierdziła Wirginia, był długi i niski, z facjatkami wychodzącymi na północ i południe. Na północnym szczycie, zwróconym w stronę morza, dobudowano dodatkowy pokój zwieńczony czworościenną wieżyczką. Nadawało to domowi chłodny i ponury wygląd przypominający kościół. Nie było tu nic, co można by nazwać ogrodem, ale u południowego szczytu domu rosła kępa nie skoszonej trawy, a dwa chylące się słupki podtrzymywały coś, co kiedyś było linką do wieszania bielizny.

Wirginia zeszła po schodkach i grząską ścieżką wzdłuż ściany domu doszła do frontowych drzwi. Kiedyś pomalowano je na kolor

ciemnoczerwony, ale teraz były odrapane, a resztki farby powydymały się w pęcherze. Wirginia równocześnie przekręciła klucz w zamku i nacisnęła klamkę, dzięki czemu drzwi szybko i cicho otworzyły się do wewnątrz. W środku zobaczyła dwa wydeptane schodki z gołych desek, poczuła zapach stęchlizny i... myszy? Nerwowo przełknęła ślinę. Brzydziła się myszy, ale skoro już zaszła tak daleko, nie było innego sposobu, jak wejść po tych schodkach i ostrożnie przekroczyć próg.

Obejście starej części domu nie zabrało wiele czasu. W małej kuchni znajdowała się nieczynna kuchenka i zardzewiały zlew. Salonik był zastawiony źle dobranymi krzesłami. Elektryczny grzejnik, zamontowany w niszy starego kominka, wyglądał jak dzikie zwierzę u wejścia do swojej jamy. Cienkie bawełniane firanki zasłaniały ponure, upstrzone przez muchy, okna. Kredens był załadowany filiżankami, talerzami i naczyniami o różnych kształtach, wielkości i stopniu zniszczenia.

W beznadziejnym nastroju Wirginia weszła na górę. Sypialnie były ciemne, z małymi okienkami i źle dobranymi, zajmującymi dużo miejsca, meblami. Wróciła więc do szczytu schodów i podeszła jeszcze kilka stopni w górę do innych zamkniętych drzwi. Ale kiedy je otworzyła, po grobowych ciemnościach reszty domu blask ostrego północnego światła wręcz ją oślepił. Znalazła się w dziwnym pokoju — małym, w kształcie kwadratu, z oknami w trzech ścianach. Z tego pokoju, usytuowanego wysoko jak mostek kapitański, rozpościerał się widok na co najmniej piętnaście mil wybrzeża.

Wzdłuż północnej ściany pokoju biegła długa ława przykryta wyblakłą narzutą. Znajdował się tam też wyszorowany do czysta stolik, stary pleciony dywanik, a na samym środku pokoju poręcz z kutego żelaza wieńcząca szczyt kręconych schodów prowadzących prosto w dół do pomieszczenia, które w opisie pana Williamsa nosiło nazwę „hallu”.

Wirginia ostrożnie zeszła do hallu, w którym rzucał się w oczy przede wszystkim olbrzymi, secesyjny kominek. Z hallu przechodziło się do łazienki, a innymi drzwiami do pokoju, od którego zaczęła zwiedzanie, czyli do ciemnego i przygnębiającego salonu.

To był jakiś wyjątkowo koszmarny dom. Miała wrażenie, że otacza ją zewsząd, jakby czekając na jej decyzję, i wzdorliwie szydzi z jej bojaźliwości. Aby zyskać na czasie, wróciła do pokoju na wieży, usiadła na ławie naprzeciw okna i zaczęła szukać papierosów. Znalazła w torebce jednego, ale to już był ostatni. Będzie musiała kupić nowe. Pałac,

przyglądała się gołym deskom stolika i wypłowiałemu dywanikowi na podłodze.

Zdawała sobie sprawę, że znajduje się w pracowni Aubreya Crane'a, gdzie powstawały jego zmysłowe opowiadania miłosne, których nigdy nie miała odwagi przeczytać. Wyobrażała go sobie z brodą i w pumpach, jako człowieka o pozornie ułożonej powierzchowności nie idącej w parze z porywami jego buntowniczej duszy. Przypuszczalnie latem otwierał na oścież okna, aby wpuszczać do środka wiejskie zapachy i odgłosy, szum morza i poświst wiatru. Za to zimą musiało tu być strasznie zimno. Na pewno owijał się kocem i z wysiłkiem pisał zziębniętymi palcami w wełnianych rękawiczkach.

Gdzieś zabrzęczała mucha, objając się o szybę okienną. Wirginia oparła czoło o chłodne szkło i niewidzącymi oczyma patrzyła przed siebie. Jak od lat, zaczęła toczyć zawziętą dyskusję sama z sobą.

— Nie, nie mogę tu zamieszkać.

— A dlaczego nie?

— To przerażające, upiorne miejsce. Panuje tu okropna atmosfera.

— To tylko wytwór twojej wyobraźni.

— Nie mogę przywieźć tu dzieci. Nigdy jeszcze nie mieszkały w takim miejscu. No i nie miałyby tu gdzie się bawić.

— Tu jest pełno miejsca do zabawy: pola, łąki, brzeg morza...

— Ale jak miałabym tu pracować, prasować czy gotować? Nie ma tu ani lodówki, ani gdzie zagrzać wody...

— Jediną trudnością miało być dla ciebie wydostanie dzieci z Londynu!

— W Londynie, z Nianią, jest im lepiej, niż byłoby w miejscu takim jak to.

— Jeszcze wczoraj tak nie myślałaś.

— Nie mogę ich tu przywieźć. Nie wiedziałabym, od czego zacząć. Nie tak wyobrażałam sobie samodzielność.

— Co więc masz zamiar zrobić?

— Nie wiem. Pomówię z Alicją. Może powinnam była to zrobić, zanim tu przyjechałam. Wprawdzie nie ma dzieci, ale mnie zrozumie. Może wie o jakimś innym domku do wynajęcia? Na pewno mnie zrozumie i pomoże. Musi mi pomóc.

— Oto co zostało — ironicznie podsumowała samą siebie — z tych wszystkich twoich mocnych postanowień!

Ze złością zdusiła na wpół wypalonego papierosa, przydeptała niedopałek, podniosła się i zeszła na dół. Wyszła z domu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Tą samą ścieżką co poprzednio doszła do bramy i ją również zamknęła za sobą. Miała wrażenie, że małe okienka domu przyglądają się jej jak czyjeś kpiące oczy. Przed tym spojrzeniem uciekła i schroniła się w samochodzie.

Było dopiero kwadrans po dwunastej. Wirginia miała nie wracać na lunch, poza tym potrzebowała papierosów, więc kiedy wjechała z powrotem na główną szosę, zamiast do Porthkerris, skręciła w przeciwną stronę. Przejechała niecałą milę do wsi Lanyon, w górę głównej ulicy, aż zatrzymała się na brukowanym placu. Jeden jego bok zajmował kościółek z kwadratową wieżyczką, a drugi — biało tynkowany budynek baru o nazwie „Ramiona Syreny”.

Z powodu ładnej pogody stoliki i krzesła stały na zewnątrz, między kolorowymi parasolami i misami pełnymi pomarańczowych nasturcji. Przy stoliku, popijając piwo, siedziało jakieś odświętnie ubrane małżeństwo; obok ich mały synek bawił się ze szczeniakiem. Kiedy Wirginia weszła, przywitani ją uśmiechem. Odwzajemniła ten uśmiech i weszła do środka, odruchowo schylając głowę pod poczerńiałą futryną.

Pomieszczenie wewnątrz było niskie, wyłożone ciemną boazerią i słabo oświetlone przez małe okienka przesłonięte koronkowymi firankami. Panował tu chłód i przyjemnie pachniało wilgocią. Pod ścianami przy chybotliwych stolikach siedziały osoby ledwo widoczne w półmroku. Za kontuarem obwieszonym kuflami barman, tylko w koszuli i kraciatej kamizelce, wycierał ścierką szklanki.

— Słuchaj, William, ja nie wiem, dlaczego tak jest... — tłumaczył klientowi, który siedział przy barze, smutno skulony na wysokim stołku, z długim stożkiem popiołu na końcu papierosa i z napoczętym kuflem piwa — ...ale nastawialiście wszędzie tych pojemników na śmieci, a nikt niczego do nich nie wyrzuca.

— Ano... — odmruknął William, ponuro -kiwając głową i strząsając popiół do piwa.

— Śmieci fruwać po całej ulicy, a rada hrabstwa nic nie robi, aby je usunąć. Do tego te pojemniki są paskudne, już lepiej byłoby bez nich. Przedtem, kiedy ich nie było, też sobie jakoś radziliśmy... — Wytarł szklankę, odstawił ją z głośnym stuknięciem i zwrócił się w stronę Wirginii.

— Słucham panią?

Głosem, wyglądem i kolorytem przypominał typowego Kornwalijczyka. Twarz miał czerwoną i wysmaganą wiatrem, oczy niebieskie, a włosy czarne.

Wirginia spytała o papierosy.

— Mam tylko paczkowane po dwadzieścia sztuk. Mogą być?

Odwrócił się, aby zdjąć je z półki, wprawnie przecinając papier paznokciem.

— Piękny dziś mamy dzień, prawda? Pani tu na wakacje?

— Tak. — Już od lat nie była w żadnym barze. W Szkocji nie było przyjęte, aby kobiety chodziły do barów, więc nie pamiętała już tej charakterystycznej atmosfery. — Czy ma pan coca-colę?

Barman zrobił wrażenie zdziwionego.

— Tak, mam, zawsze trzymam trochę dla dzieci. Podać pani?

— Tak, poproszę.

Sięgnął po butelkę, precyzyjnie ją otworzył, nalał coca-coli do szklanki i podsunął ją Wirginii.

— Właśnie mówiłem Williamowi, że szosa do Porthkerris wygląda skandalicznie — wprowadził ją w temat rozmowy.

Wirginia przysunęła sobie stółek i usiadła, aby posłuchać.

— Wszędzie leżą kupy śmieci. Tak jakby ci turyści nie wiedzieli, co się robi z odpadkami. Wydawałoby się, że każdy, kto przyjeżdża w takie piękne strony, powinien mieć na tyle rozumu, żeby zabrać swoje papierzyska ze sobą do samochodu, a nie zostawiać na poboczach szosy. Tyle się mówi o ochronie środowiska, a tu, proszę bardzo...

Najwyraźniej wszedł na swój ulubiony temat, jak można było sądzić po dobiegających z różnych stron sali pomrukach aprobaty. Wirginia zapaliła papierosa. Z zewnątrz dobiegły odgłosy podjeżdżającego samochodu, wyłączanego silnika i trzaśnięcia drzwi. Usłyszała męski głos mówiący „dzień dobry!”, a potem kroki zmierzające w stronę baru.

— Napisałem do naszego posła, żeby coś z tym zrobił. Odpowiedział, że tym powinna się zająć rada hrabstwa. Ja na to... — kontynuował barman, dopóki nad głową Wirginii nie zauważył nowego klienta. — O, jesteś! Dawno cię tu nie było!

— Ty wciąż o tych śmietnikach, Joe?

— Znasz mnie, stary, kiedy ja się czegoś uczepię, to nie popuszczę. Co ci podać?

— Jedno piwko.

Kiedy Joe odwrócił się, by nalać piwa, nowo przybyły stanął między Wirginią a zmartwionym Williamem. Już kiedy się odezwał, rozpoznała jego głos, podobnie jak jego kroki, gdy przekraczał próg „Ramion Syreny”.

Napiła się trochę coca-coli i odstawiła szklanę. Naraz papieros przestał jej smakować, więc go zgasiła. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła mężczyznę w niebieskiej koszuli z zawiniętymi rękawami, spod których widać było opalone na brąz przedramiona. Oczy miał niebieskie, a włosy ciemne, krótkie i gęste, przylegające do głowy jak futerko. Nie mogła już zrobić nic innego, jak tylko powiedzieć:

— Cześć, Eustace.

Zaskoczony, obejrzał się gwałtownie z miną człowieka, który dostał pięścią w żołądek, aż go zamroczyło. Dopowiedziała więc szybko:

— Tak, to naprawdę ja!

Uśmiechnął się smutno i niedowierzająco, jakby wiedział, jak głupio w tej chwili wygląda.

— Wirginia!

— Cześć! — powtórzyła.

— Cóż ty, na miłość boską, tu robisz?

Wirginia zdała sobie sprawę, że w tej chwili wszystkie uszy na tej sali nad słuchują, co też mu na to odpowie. Z pozorną obojętnością odparła więc:

— Przyszłam kupić papierosy i czegoś się napić.

— Nie o to mi chodzi. Mam na myśli, skąd wzięłaś się tu, w Kornwalii, w Lanyon.

— Przyjechałam na wakacje. Mieszkam u Lingardów w Porthkerris.

— Jak długo już tu jesteś?

— Około tygodnia.

— Ale co robisz akurat tutaj?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, barman podsunął Eustace'owi kufel piwa. W tym czasie Eustace był zajęty szukaniem pieniędzy w kieszeni spodni.

— Starzy znajomi, co? — spytał Joe, patrząc na Wirginię z nowym zainteresowaniem.

— Wiedziałam, że pan to powie — odparowała.

— Nie widziałem jej od dziesięciu lat — wyjaśnił Eustace, popychając drobniaki w kierunku barmana. Spojrzał na szklanę Wirginii: — Co pijesz?

— Coca-colę.

— Weź ją na dwór, możemy przecież usiąść na słońcu.

Poszła za nim, mając pewność, że śledzą ich nienasycone ciekawością spojrzenia. Eustace ustawił szklanki na drewnianym stoliku i usiedli obok siebie w słońcu, na ławeczce pod ścianą baru.

— Chyba się nie gniewasz, że cię stamtąd wyciągnąłem? Inaczej każde nasze słowo w pół godziny obiegloby całe hrabstwo.

— Nie szkodzi, wolę siedzieć na dworze. Siedział tak blisko Wirginii, na wpół zwrócony do niej, że mogła dokładnie widzieć szorstkość jego wysmaganej wiatrem skóry, siatkę drobniutek zmarszczek wokół oczu i pierwszy szron na jego gęstych, ciemnych włosach. „I znów jestem z nim”, pomyślała.

— Opowiedz mi wszystko — poprosił.

— O czym mam opowiedzieć?

— O tym, co się z tobą działo. — Po czym dodał szybko: — Wiem, że wyszłaś za mąż.

— Tak, prawie zaraz potem.

— Pewnie spowodował to strach przed wejściem na londyńskie salony?

— Chyba tak.

— I przed debiutem w towarzystwie?

— Zamiast tego wzięłam ślub.

— Tak, z panem Anthonyem Keile. Widziałem ogłoszenie w kronice towarzyskiej naszej gazety.

Wirginia milczała.

— I gdzie teraz mieszkasz?

— W Szkocji. Mamy tam dom.

— A dzieci?

— Też mamy. Dwoje. Dziewczynkę i chłopca.

— W jakim wieku? — Rzeczywiście interesowały go te sprawy.

Wirginia wiedziała, że ludzie w Kornwalii kochają dzieci. Taka na przykład pani Jilkes, kucharka Alicji, zawsze miała łzy w oczach, ilekroć wspominała jakieś swoje ukochane cioteczne wnuczęta.

— Dziewczynka ma osiem lat, a chłopczyk sześć.

— Masz je tu ze sobą?

— Nie, są w Londynie z babcią.

— A twój mąż jest tutaj? Co on dziś robi, może gra w golfa?

Milcząc wpatrywała się w niego, dopiero teraz uświadamiając sobie, na czym polega tragedia osobista. To jest właśnie to, że gdy całe twoje życie

wali się w gruzy, reszta świata nie musi się tym martwić ani nawet wiedzieć o tym. Eustace nie miał powodu, aby o tym wiedzieć.

Trzymała ręce na krawędzi stołu, układając je tak starannie, jakby ich ułożenie było czymś bardzo ważnym.

— Anthony nie żyje — wymówiła w końcu.

Jej własne dłonie wydały się naraz czymś niematerialnym, prawie przezroczystym, o wątlących nadgarstkach i paznokciach w kształcie migdału, polakierowanych na koralowo i delikatnych jak płatki. Raptem gorąco zapragnęła, aby były one raczej opalone, silne i zręczne, ze śladami wżartego brudu i paznokciami zdartymi od pracy w ogrodzie, obierania kartofli i skrobania marchwi. Czowała wbity w siebie wzrok Eustace'a. Nie mogła znieść jego współczucia.

— Co się z nim stało? — zapytał.

— Zginął w wypadku samochodowym. A dokładniej utonął.

— Jak to utonął?

— U nas, w Kirkton... tam, gdzie mieszkamy w Szkocji... między naszym domem a szosą płynie rzeka, trzeba przejechać przez most. Kiedy wracał do domu, musiał wpaść w poślizg albo źle wyliczył zakręt, bo samochód wyłamał balustradę i wpadł do rzeki. Wtedy dużo padało i rzeka przybrała, więc wóz poszedł na dno. Dopiero policja go wyciągnęła, ale trzeba było sprowadzać nurka... — tu głos jej się załamał.

— Kiedy to było? — spytał Eustace łagodnie.

— Trzy miesiące temu.

— To nie tak dawno.

— Nie, ale wtedy tyle było do zrobienia, tyloma sprawami trzeba się było zająć, że nie zauważyłam, jak ten czas przeleciał. A potem złapałam jakąś paskudną gripę i nie mogłam jej się pozbyć. Dlatego moja teściowa postanowiła, że zostanie z dziećmi w Londynie, a mnie wysłała tutaj, do Alicji.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Jeszcze nie wiem.

Nie odpowiedział. Po chwili podniósł kufel i wypił piwo. Dopiero gdy go odstawił, zapytał:

— Przyjechałaś samochodem?

— Tak. Niebieskim triumphem — zaznaczyła.

— To skończ swoje picie i jedziemy do Penfoldy. Wirginia odwróciła głowę i spojrzała zdziwionym

wzrokiem.

— Co w tym dziwnego? Jest pora lunchu. W piecu mam paszteciki. Nie chciałabyś zjeść ich ze mną?

— No... dobrze.

— To chodźmy. Jestem tu swoim landroverem. Pojedziesz za mną.

— Dobrze. Wstał.

— No więc idziemy.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Wirginia była przedtem w Penfoldzie tylko raz w życiu. Było to dziesięć lat temu, w pewien chłodny, wiosenny wieczór.

— Jesteśmy zaproszone na przyjęcie — oświadczyła wtedy Alicja podczas lunchu.

Matka Wirginii, pani Parsons, od razu się tym zainteresowała. Była osobą bardzo towarzyską, a teraz, kiedy chciała wprowadzić na salony swoją siedemnastoletnią córkę, wystarczyło wspomnieć przy niej o jakimś przyjęciu, by przyciągnąć jej uwagę.

— To cudownie! Kiedy? Kto tam ma być?

Alicja roześmiała się. Trzeba tu zaznaczyć, że Alicja była jedną z niewielu osób, które mogły bezkarnie śmiać się z Roweny Parsons, gdyż znały się już od lat.

— Nie zapalaj się tak do tego. To nie jest coś w twoim guście.

— Nie rozumiem cię, kochanie. Wyrażaj się jaśniej.

— Wiesz, jest takie małżeństwo, Amos i Fenella Barnet. On jest rzeźbiarzem, ale bardzo awangardowym, może o nim słyszałaś? Wynajmują starą pracownię w Porthkerris i mają kupę zupełnie zwariowanych dzieci.

Wirginia nie czekała na dalsze informacje, tylko wtrąciła:

— Dlaczego nie miałybyśmy tam pójść? — Wyglądało na to, że Barnetowie to rodzaj ludzi, których zawsze chciała poznać.

Pani Parsons pozwoliła sobie na małą zmarszczkę między swoimi pięknie zarysowanymi brwiami.

— Czy to przyjęcie ma być w ich pracowni? — indagowała podejrzliwie, sugerując, że z pewnością będą tam podejrzane napoje i opiumowane papierosy.

— Nie, zorganizowali je w Lanyon, na farmie, która nazywa się Penfolda. Ma to być piknik nad brzegiem morza, z ogniskiem, pieczeniem kiełbasek...

— Alicja widziała, że Wirginia bardzo chciałaby wziąć w tym udział. — Myślę, że to może być zabawne.

— A ja myślę, że raczej okropne! — odrzekła pani Parsons.

— Nawet nie myślałam, że odpowiadałoby ci coś takiego. Ale my z Tomem jedziemy i moglibyśmy zabrać ze sobą Wirginię.

Pani Parsons obrzuciła córkę chłodnym spojrzeniem.

— Czy chciałabyś pojechać na ten piknik? Wirginia wzruszyła ramionami:

— To może być ciekawe. — Nauczyła się już dawno, że lepiej nie przejawiać zbytniego entuzjazmu.

— No, dobrze — podsumowała matka, nabierając sobie cytrynowego budyniu. — Jeżeli tak wyobrażasz sobie przyjemny wieczór, a Tom i Alicja chcą cię wziąć ze sobą... Ale, na miłość boską, ubierz się ciepło! Na pewno będzie przymrozek. Wydaje mi się, że jest o wiele za zimno na piknik.

Matka miała rację. Było rzeczywiście bardzo zimno. Zapadał zmrok, tylko grzbiet Carn Edvor odcinał się czarną sylwetką na tle turkusowego nieba, a od strony lądu wiał ostry wiatr. Kiedy wyjeżdżali z Porthkerris na wzgórze, Wirginia obejrzała się i zobaczyła nisko w dole mrugające światła miasta i ich odbłask na atramentowo czarnych wodach portu. Z przylądka po przeciwnej, stronie zatoki latarnia morska wysyłała ostrzegawcze sygnały. Błysk — przerwa — błysk — i dłuższa przerwa — to oznaczało: „Uwaga, niebezpieczeństwo!”

Mając w perspektywie zajmujący wieczór, Wirginia w przypływie nagłego podniecenia pochyliła się do przodu i oparła podbródek na skrzyżowanych rękach za siedzeniem Alicji. Był to niezdamny, lecz spontaniczny gest będący przejawem jej dobrego humoru, normalnie tłumionego przez despotyczną matkę.

— Alicjo, dokąd my jedziemy?

— Do Penfoldy. Tak się nazywa farma z tej strony Lanyon.

— Kto tam mieszka?

— Pani Philips, wdowa, z synem Eustace'em.

— Czym on się zajmuje?

— Gospodaruje, głuptasku. Przecież powiedziałam, że to jest farma.

— Czy to znajomi Barnetów?

— Chyba tak. W tych stronach kręci się mnóstwo artystów. Co prawda nie mam pojęcia, gdzie oni mogli się poznać.

— Przypuszczalnie „Pod Syrenką” — wtrącił Tom.

— Co to jest ta „Syrenka”? — spytała Wirginia.

— Właściwie „Ramiona Syreny”. To bar w Lanyon, gdzie w każdą sobotę wieczorem schodzą się wszyscy tamtejsi mieszkańcy, wraz z żonami, napić się i pogadać.

— Kto jeszcze ma być na tym przyjęciu?

— Wiemy akurat tyle, co i ty. — A nie domyślasz się?

— Hm... — Alicja robiła, co mogła. — Pewnie artyści, pisarze, poeci, hipisi, wyrzutki społeczeństwa, farmerzy i paru takich nudnych sztywniaków jak my.

Wirginia objęła ją za szyję.

— Nie jesteś wcale nudna ani sztywna. Jesteś super!

— Może pod koniec tego wieczoru zmienisz zdanie. Wstrzymaj się z osądem, bo możesz być zdegustowana.

Wirginia cofnęła się na tylne siedzenie, powtarzając sobie w ciemności: „Na pewno nie będę zdegustowana”.

Ze wszystkich stron dążyły do Penfoldy światła samochodów jak zlatujące się robaczki świętojańskie. Dom Philipsów był tak oświetlony, że widać go było z szosy. Lingardowie dołączyli do kawalkady różnorodnych pojazdów podskakujących i dyszących na polnej drodze, aż dobrnęli na podwórze pełniące rolę prowizorycznego parkingu. Wszędzie słychać było śmiech i gwar powitań, a równocześnie płynął nieprzerwany potok ludzi forsujących kamienny murek i zdążających w dół przez pola w stronę brzegu. Niektórzy byli okryci kocami, inni nieśli staroświeckie latarnie, a jeszcze inni — Wirginia znów ucieszyła się, że nie ma tu jej matki — jedną lub dwie pobrzękujące butelki.

Ktoś zawołał: „Cześć, Tom, co tu robisz?“, więc Tom i Alicja zawrócili, aby poczekać na swoich znajomych. Wirginia poszła naprzód, szczęśliwa, że może być sama. Powietrze wokół niej było przesycone zapachem torfu, morskich wodorostów i dymu z palonego drewna. Niebo nie było jeszcze całkiem ciemne, natomiast błękit morza przybrał już odcień prawie czarny.

Kiedy przelazła przez dziurę w murku, zobaczyła na polu płomienie ogniska otoczone już pierścieniem latarni i cieniami około trzydziestu osób. Gdy podeszła bliżej, twarze w świetle płomieni stały się wyraźne i widać było, że wszyscy tu znają się nawzajem, śmieją się i rozmawiają. Na drewnianych kozłach ustawiono beczkę piwa, z której wciąż napełniano kufle. Czuć było zapach pieczonych kartofli i przypalonego tłuszczu. Ktoś zaczął grać na gitarze i stopniowo coraz to więcej ludzi przyłączało się do niego ze śpiewem:

Płyną okręty, hen na morze sine, Jeden jest dla mnie i dla mej jedynej...

Jakiś młody człowiek, który chciał minąć Wirginię w biegu, po ciemku potknął się i wpadł na nią. „Przepraszam” — wydyszał, łapiąc ją za rękę, co miało uspokoić tyleż jego, co i ją. Przy okazji światło jego latarni padło na jej twarz,” więc spytał:

— A ty to kto?

— Wirginia.

— Jaka Wirginia?

— Wirginia Parsons.

Nosił długie włosy i przepaskę na czole jak Apacz.

— Od razu zauważyłem, że to jakaś nowa twarz. Jesteś tu sama?

— Nie. Przyjechałam z Alicją i Tomem... oni muszą gdzieś tu być... —

Obejrzała się za siebie. — Chyba ich zgubiłam.

— Jestem Dominik Barnet.

— Ach, to ty urządziłeś to przyjęcie?

— Nie, tak właściwie to mój ojciec. Przynajmniej on zamówił tę beczkę piwa, a mama kupiła kielbaski. Chodź, napijmy się czegoś! — Złapał ją jeszcze mocniej za rękę i pociągnął w stronę gwarne go kręgu wokół ogniska.

— Hej, tato, tu jest ktoś, kto jeszcze nie ma nic do picia!

Znad beczki podniosła się potężna brodata postać mająca w sobie coś średniowiecznego.

— To może być dla niej — powiedział mężczyzna i Wirginia poczuła w ręku olbrzymi kufel piwa.

— A tu proszę kielbaskę! — Młody człowiek porwał jedną z krążącej z rąk do rąk tacy, po czym wręczył Wirginii nabity na patyk kawałek kielbasy.

Wirginia wzięła ją i już chciała wdać się z nim w uprzejmą rozmowę towarzyską, gdy Dominik zobaczył gdzieś w kręgu ognia inną znajomą twarz. Z okrzykiem „Marianna!”, czy coś podobnego, znikł, pozostawiając Wirginię znów samą.

Próbowała odszukać w ciemności Lingardów, ale nie było ich widać. Ponieważ wszyscy siedzieli, usiadła także, trzymając w jednym ręku wielki kufel piwa, a w drugim kielbaskę, zbyt gorącą, by móc ją już jeść. Twarz paliła ją od płomieni, natomiast wiatr chłodził od tyłu i nawiewał włosy na oczy. Pociągnęła łyk piwa, lecz że nigdy przedtem nie piła tego napoju, zakręciło ją w nosie. Kichnęła potężnie, aż jakiś wesoły głos za nią zawołał: „Na zdrowie!”

Wirginia odetchnęła głęboko i odpowiedziała: „Dziękuję!” — i obejrzała się, kto to życzy jej zdrowia. Zobaczyła wysokiego młodego mężczyznę w sztruksowych spodniach, gumiakach i grubym swetrze w norweski wzór. Uśmiechał się szeroko, a światło ogniska nadawało jego opalanej na brąz twarzy odcień miedzi.

— To od zimnego piwa — wyjaśniła Wirginia. Przykucnął obok niej, delikatnie wyjął kufel z jej ręki i postawił na ziemi między nią a sobą.

— Mogłabyś znów kichnąć i rozlać wszystko, a to byłoby marnotrawstwo.

— Faktycznie.

— Musisz chyba być przyjaciółką Barnetów.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo jeszcze cię nigdy nie widziałem.

— Akurat nie. Przyjechałam z Lingardami.

— Z Alicją i Tomem? Są tutaj?

— Tak, gdzieś w pobliżu.

W jego głosie zabrzmiała nie ukrywana radość z przyjazdu Lingardów i Wirginia pomyślała, że zaraz pójdzie ich szukać. Tymczasem rozsiadł się jeszcze wygodniej na trawie obok niej i wydawało się, że całkowicie satysfakcjonuje go przyglądanie się reszcie towarzystwa. Wirginia zjadła kielbasę, a on dalej milczał, więc postanowiła odezwać się pierwsza.

— A czy ty jesteś przyjacielem Barnetów?

— Raczej nie — roześmiał się — bo właśnie depczą moje pole.

— Więc to ty jesteś Eustace Philips? Po pewnym zastanowieniu odrzekł:

— Wychodzi na to, że to ja.

Zaraz potem ktoś go odwołał. Okazało się, że z sąsiedniego pastwiska przywędrowała któraś z jego krów rasy guernsey. Tymczasem jakaś stuknięta dziewczyna wypila za dużo i zaczęła histeryzować, że to byk ją atakuje! Eustace poszedł więc zaprowadzić porządek, a Wirginię tymczasem przywołali Alicja i Tom. Choć więc wypatrywała Eustace'a Philipsa przez resztę wieczoru, nie zobaczyła go już aż do końca pikniku.

Impreza okazała się jednak udana. Około północy skończyło się piwo, zjedzono wszystko, co było do jedzenia, wkoło krążyły butelki, a ogień podsycano drewnem naniesionym przez przyływ, aż płomienie strzelały na ponad dwadzieścia stóp w górę. Alicja zaczęła delikatnie dawać do zrozumienia, że można by już pomału zbierać się do domu.

— Twoja mama pewnie siedzi i zamartwia się, czy cię czasem nie zgwałcili albo czy nie wpadłaś do morza. Tom musi być jutro o dziewiątej rano w biurze, poza tym robi się strasznie zimno. Co ty na to? Masz już dość? Bawiłaś się dobrze?

— Jeszcze jak! — odrzekła Wirginia, nie chcąc odjeżdżać.

Był już jednak najwyższy czas. Wycofali się cicho z gwarne go kręgu ogniska i pod górę, przez pole, doszli do domu Philipsów.

Świeciło się tylko w jednym oknie na dole, ale nad dachem przepływał właśnie księżyc w pełni, oświetlając wszystko srebrnym blaskiem. W momencie, kiedy przechodzili przez podwórze, otworzyły się drzwi domu, z wnętrza wytrysnęło żółte światło i jakiś głos zawołał:

— Tom! Alicjo! Chodźcie napić się czegoś ciepłego przed odjazdem, żebyście się ogrzali!

— Cześć, Eustace. — Tom zbliżył się do drzwi.

— Myślałem, że już poszedłeś spać.

— Z całą pewnością nie będę siedział nad morzem do rana. Napijesz się czegoś?

— Może być whisky — odpowiedział Tom.

— Dla mnie może być herbata — dodała Alicja.

— Świetny pomysł, bo zmarzliśmy. Ale czy jesteś pewien, że to nie sprawi kłopotu?

— Moja matka jeszcze nie śpi, bo chciałyby was poznać. Nastawiła już wodę na herbatę.

Weszli do domu przez niski hall wyłożony boazerią, z łupkową posadzką zaścieloną barwnymi chodnikami. Belki sufitowe o mało co nie dotykały czubka głowy Eustace'a Philipsa.

Alicja rozpięła płaszcz.

— Eustace, czy poznałeś już Wirginię? Ona mieszka u nas.

— Tak, już zdążyliśmy się przywitać — odpowiedział szybko, lecz prawie nie spojrzawszy na Wirginię. — Chodźcie do kuchni, to najcieplejsze miejsce w domu. Mamo, to są państwo Lingardowie. Alicja będzie piła herbatę, Tom whisky, a ty? — zwrócił się do Wirginii. — Czego się napijesz?

— Poproszę o herbatę.

Alicja wraz z panią Philips od razu zajęły się przygotowaniem. Pani Philips zaparzyła herbatę, a Alicja powyciągała z kredensu filiżanki i spodeczki. W trakcie tych czynności obie obgadywały całą imprezę, śmiejąc się z dziewczyny, która wzięła krowę za byka. Tymczasem obaj panowie rozsiedli się przy kuchennym stole ze szklankami, syfonem wody sodowej i butelką szkockiej whisky.

Wirginia także usiadła na szerokiej ławie u szczytu stołu, przysłuchując się przyjemnemu gwarowi głosów, choć właściwie już do niej nie docierały.

Czuła, że jest śpiąca i lekko oszołomiona zarówno ciepłem kuchni w Penfoldzie, jak i pierwszy raz w życiu wypitym piwem.

Otulona fałdami płaszcza, z rękoma głęboko w kieszeniach, rozejrzała się wokół siebie i doszła do wniosku, że nigdy dotąd nie znajdowała się w pomieszczeniu tak przytulnym i stwarzającym atmosferę takiego bezpieczeństwa. Sufit był belkowany, a w belkach tkwiły stare żelazne haki, których kiedyś używano do wędzenia szynek. Okna miały szerokie parapety zastawione kwitnącymi pelargoniami. Na płycie kuchennego pieca bulgotał czajnik, a na siedzeniu wyplatanego krzesła spał zwinięty w kłębek kot. Całości dopełniały: kraciaste bawełniane zasłonki, kalendarz kupca zbożowego na ścianie i miły zapach pozostały po pieczeniu chleba.

Pani Philips w przeciwieństwie do swego wysokiego syna była drobna, siwa i bardzo schludna. Sprawiała wrażenie, jakby od dnia swojego urodzenia nigdy nie przestawała pracować i nadal nie miała takiego zamiaru. Podczas gdy razem z Alicją szybko i zręcznie krzątała się po kuchni, dyskretnie plotkując na temat dziwacznego zachowania Barnetów, Wirginia przyglądała się jej i marzyła o tym, aby jej własna matka była taka. Zawsze spokojna, pogodna i w dobrym humorze, z czajnikiem wody na herbatę w pogotowiu, w przytulnej cieplej kuchni.

Herbata była już gotowa i obie kobiety dołączyły do siedzących przy stole. Pani Philips nalała herbatę i podała Wirginii filiżankę. Wirginia wyprostowała się, wyciągając ręce z kieszeni i pamiętając, że trzeba podziękować.

— Ty już śpisz! — roześmiała się pani Philips.

— Tak, rzeczywiście — przyznała Wirginia. Mieszała herbatę i nie podnosiła oczu, bo wszyscy jej się przyglądali, a te spojrzenia ją peszyły.

Nadszedł w końcu czas pożegnania. W przedpokoju zrobiło się ciasno. Lingardowie i pani Philips stali już w otwartych drzwiach, gdy Eustace odezwał się zza pleców Wirginii:

— Do widzenia! Zmieszana, odwróciła się:

— Do widzenia! — Wyciągnęła rękę, ale chyba tego nie zauważył. — Dziękuję za zaproszenie!

Wyglądał na rozbawionego.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Musisz tu jeszcze kiedyś przyjechać!

Zachowała w pamięci te słowa, jakby były wspaniałym prezentem od niego. Ale nie przyjechała już więcej do Penfoldy...

Nigdy aż do dzisiejszego lipcowego popołudnia, po raz pierwszy od dziesięciu lat. Przydrożne rowy aż kipiały od różowych Firletek i żółtych podbiałów, ostrokrzewy buchały kwiatami, zieleń paproci na urwiskach miała odcień szmaragdu, co stanowiło kontrast dla hiacyntowego koloru wody morskiej.

Wirginia była dziś tak pochłonięta różnorodnymi zajęciami, od pobrania kluczy i odszukania domku w Bosithick, aż do rozważania takich praktycznych problemów, jak kuchenka, lodówka, bielizna pościelowa i porcelana — że nawet nie zauważyła, kiedy minęło przedpołudnie. Natomiast to, co działo się teraz, stanowiło dalszy ciąg jej wspomnień, zapamiętanych przez nią błysków światła latarni morskiej na czarnej tafli morza i uczucia dziwnego podniecenia będącego zarazem radosnym oczekiwaniem.

„Nie masz już siedemnastu lat. Jesteś niezależną, dwudziestosiedmioletnią kobietą z dwojgiem dzieci, samochodem i domem w Szkocji. Życie nie kryje już w zanadru żadnych miłych niespodzianek. Od tamtych czasów wszystko się zmieniło!” — napominała samą siebie.

Na zakręcie drogi wiodącej do Penfoldy stał drewniany podest do .ustawiania baniek na mleko. Droga stromo opadała i wiła się pośród kamiennych murków i przygiętych wiatrem krzaków głogu. Kiedy Wirginia, śladem landrovera prowadzonego przez Eustace'a, zajechała przed dom, zza rogu wypadły dwa czarno-białe owczarki szkockie, podnosząc taki hałas, że kury leghorn uciekły z przeraźliwym gdakaniem do szopy.

Eustace zaparkował landrovera pod ścianą stodoły i wysiadł, lekko odsuwając psy z drogi. Gdy Wirginia ustawiła wóz i też wysiadła, psy natychmiast ją obskoczyły, szczekając, próbując wspiąć się na nią przednimi łapami i polizać po twarzy.

— Leżeć, łobuzy! Leżeć!...

— Nic nie szkodzi. — Głaskała psy po głowach i gęstym futrze. — Jak się nazywają?

— Beaker i Ben. To jest Beaker, a tamten to Ben... Cicho, stary! One zawsze to robią.

Zachowywał się wesoło i na luzie, co sprawiało wrażenie, że nie chce, aby resztę dnia wypełniło przywoływanie wspomnień o Anthonym Keile'u. Wirginia też tego nie pragnęła, toteż chętnie przejęła jego styl. To psie „powitanie” dopomogło w przełamaniu lodów, więc nic dziwnego, że swobodnie przeszli brukowaną ścieżką do domu. W hallu był ten sam

belkowany sufit, posadzka z łupkowych płyt i dywaniki. Nic się nie zmieniło.

— Och, przypominam sobie ten dom!...

Z kuchni doleciał apetyczny zapach gorących pasztecików. Eustace wszedł pierwszy i skierował się prosto do pieca. Zdjął z haczyka ścierkę, przykucnął przy duchówce i zajrzał do środka.

— Chyba się nie przypaliły? — spytała Wirginia z niepokojem w głosie.

Z piekarnika wydobywał się przydymiony aromat.

— Nie, są w sam raz. — Zamknął drzwiczki piekarnika i wstał.

— Sam je robiłeś?

— Ja? Chyba żartujesz!

— No więc kto?

— Pani Thomas, moja gospodyni. Napijesz się? — Otworzył lodówkę i z szufladki w jej drzwiczkach wyjął puszkę piwa.

— Nie, dziękuję.

— Nie mam coca-coli — uśmiechnął się.

— Dziękuję, nie chce mi się pić.

W trakcie rozmowy Wirginia rozglądała się, w obawie, że Eustace mógł coś zmienić w tej uroczej kuchni — na przykład przesunąć jakiś mebel czy pomalować ściany... Wszystko jednak pozostało takie, jakie zapamiętała sprzed dziesięciu lat. Wyszorowany do czysta stół przysunięty pod samo okno; pelargonie na parapetach; barwna porcelana w kredensie. Po latach izba ta nadal pozostała kwintesencją wszystkiego, czym powinna być prawdziwa kuchnia — sercem domu.

Kiedy wyszła za mąż, przeniosła się do Kirkton i organizowała swój nowy dom od piwnic aż po strych, próbując urządzić kuchnię podobnie jak w Penfoldzie. Chciała nadać temu miejscu przytulny i ciepły charakter, aby cała rodzina mogła zbierać się tam przy stole, popijać herbatkę i plotkować.

— A któż ci będzie przychodził do kuchni? — Anthony nie rozumiał w czym rzecz.

— Wszyscy. W wiejskim domu kuchnia jest czymś w rodzaju salonu.

— Ja w każdym razie nie mam zamiaru siedzieć w żadnej kuchni, to ci mówię!

Skończyło się tak, że Anthony zamówił meble i sprzęt kuchenny ze szkła i metalu, jak wyposażenie laboratorium, a posadzkę kazał ułożyć z czarnych i białych płytek, na których znać było każdą plamkę. Miał przy tym fioła na punkcie utrzymywania czystości.

Tu natomiast Wirginia mogła oprzeć się o stół i stwierdzić z zadowoleniem:

— Obawiałam się, że mogły tu zajść jakieś zmiany, ale wszystko pozostało takie samo.

— Dlaczego miałyby coś się zmienić?

— Tak sobie. Wszystko się przecież zmienia, wiesz. Alicja mówiła mi, że twoja matka zmarła... tak mi przykro!

— Tak, dwa lata temu, na zapalenie płuc. — Wyrzucił pustą puszkę do kubła na śmieci i odwrócił się, opierając się o krawędź zlewu. — A co porabia twoja mama?

Powiedział to głosem bez żadnej specjalnej intonacji, a tym mniej ironii czy antypatii.

— Ona też umarła, Eustace. Jakieś dwa lata po moim ślubie ciężko się rozchorowała. Najgorsze, że to trwało bardzo długo, przy tym ona mieszkała w Londynie, a ja w Kirkton, więc nie mogłam być przez cały czas przy niej.

— A poza tobą innej rodziny nie miała?

— Właśnie na tym polegał cały problem. Odwiedzałam ją tak często, jak tylko mogłam, ale w końcu musieliśmy sprowadzić ją do Szkocji. Ostatecznie wylądowała w szpitalu i tam umarła.

— To okropne!

— Tak, zwłaszcza że przy tym była jeszcze całkiem młoda. To zabawne, ale tak naprawdę człowiek staje się dorosły dopiero wtedy, kiedy umrze jego matka. To znaczy — poprawiła się — przynajmniej ludzie tak mówią. Bo tak naprawdę to jest się dorosłym dużo wcześniej.

— Nie znam się na tym — skwitował Eustace — ale rozumiem, co masz na myśli.

— W każdym razie to było już dawno. Nie mówmy teraz o smutnych sprawach. Opowiedz mi lepiej coś o sobie i o pani Thomas. Wiesz, co powiedziała Alicja Lingard? Że masz albo gospodarną kochankę, albo seksowną gospodynię! Wprost nie mogę się doczekać, żeby ją poznać!

— Jednak będziesz musiała poczekać, bo wyjechała właśnie do swojej siostry w Penzance.

— Czy ona stale mieszka w Penfoldzie?

— Ma swoje mieszkanie w drugim końcu domu. Wiesz, kiedyś, w dawnych czasach, kiedy mój dziadek kupił tę farmę, były tu trzy chałupy. Mieszkały tu wtedy trzy rodziny, gospodarzyły na kilku akrach.

Przypuszczalnie mieli razem około pół tuzina krów, a synów wysyłali na zarobek do kopalni cyny.

— Dwa dni temu — wspomniała Wirginia — podjechałam tu samochodem, usiadłam na pagórku, obserwowałam pracujące kombajny i ludzi przy nich. Sądziłam, że możesz być jednym z tych ludzi.

— I pewnie byłem.

— Myślałam wtedy, że jesteś żonaty — dodała.

— Nie jestem.

— Teraz już wiem, bo Alicja mi powiedziała. Kiedy wypił piwo, wyjął z szuflady widelce i noże i zabrał się do nakrywania stołu. Wirginia powstrzymała go:

— Jest tak ładnie. Może zjedlibyśmy w ogrodzie? Eustace wyglądał na zdziwionego, lecz odpowiedział:

„Dobrze”. Wręczył jej koszyk, do którego przełożył sztucce, talerze, sól, pieprz i szklanki, a sam wyciągnął parujące paszteciki z piekarnika, wysypał je na dużą porcelanową miskę w kwiaty i bocznymi drzwiami wyszli do zapuszczonego, lecz nasłonecznionego przydomowego ogródka. Trawa prosiła się już o skoszenie, a na grządkach było gęsto od prostych, barwnych kwiatków. Na sznurze do bielizny powiewały śnieżnobiałe prześcieradła i powłoczki.

Eustace nie miał mebli ogrodowych, więc usiedli w wysokiej trawie, rozstawiając talerze wśród stokrotek i kępek liści babki.

Paszteciki były bardzo duże, więc Wirginia dała radę zjeść tylko połowę jednego z nich. W tym czasie Eustace, wsparty na łokciu, pochłoniął swoją porcję.

— Już nie mogę więcej — westchnęła i oddała mu swoją połowę, którą też spokojnie spałaszował.

— Gdybym nie był taki głodny, wmusiłbym to w ciebie, żeby cię trochę podtuczyć — odezwał się, jeszcze z pełnymi ustami.

— Wcale nie chcę być gruba!

— Ale jesteś o wiele za chuda. Zawsze byłaś drobniotka, ale teraz wyglądasz jak puszek, który zdmuchnąłby wiatr. I obcięłaś włosy. - Pamiętam, że były długie aż po pas i powiewające na wietrze. — Objął jej nadgarstek swoim kciukiem i palcem wskazującym. — Nic z ciebie nie zostało.

— Może to przez tę grypę?

— Myślałem, że przez te wszystkie lata wypasłaś się na owsiance, śledziach i baranich zołądkach.

— Uważasz, że to się jada w Szkocji?

— Tak mi mówiono. — Puścił jej rękę i spokojnie skończył pasztecik.

Potem zaczął zbierać talerze i sztućce z powrotem do koszyka. Wirginia chciała mu pomóc, ale kazał jej zostać tam, gdzie była, i zaniósł wszystko do domu. W tym czasie leżała na trawie i patrzyła na szary dach stodoły, na którym siedziały mewy, i na szybujące po błękitnym niebie obłoczki wróżące ładną pogodę.

Eustace wrócił, niosąc papierosy, jabłka i termos z herbatą. Wirginia nie ruszała się z miejsca, więc rzucił jej jabłko. Złapała je w locie, a on znów usiadł obok niej, odkręcając przykrywkę termosu.

— Opowiedz mi o Szkocji — poprosił.

Wirginia obracała w dłoniach gładkie i chłodne jabłko.

— A co chciałbyś wiedzieć?

— Na przykład, co robił twój mąż?

— Co masz na myśli?

— Chyba gdzieś pracował?

— Nie w takim dosłownym znaczeniu. Nie miał żadnej stałej posady, ale odziedziczył majątek.

— Kirkton?

— Tak, po wuju. Był tam wielki dom i około tysiąca akrów ziemi. Samo doprowadzenie domu do porządku zajęło masę czasu. Anthony posadził drzewa i zajmował się gospodarstwem, ale tak jak to robią właściciele ziemscy. To znaczy, miał zarządcę czy ekonoma, pana McGregora, który mieszkał na farmie i zarządzał całym majątkiem. Ale Anthony też był stale zajęty. To znaczy... — dokończyła niezdecydowanie — ...umiał zorganizować sobie czas.

„Polując przez pięć dni w tygodniu, łowiąc ryby i grając w golfa, wyjeżdżając na północ tropić zwierzynę, a w zimie na narty do St. Moritz” — dopowiedziała w myślach. Trudno było opisać mężczyznę takiego jak Anthony Keile mężczyźnie takiemu jak Eustace Philips. Ci ludzie należeli do dwóch różnych światów.

— A co teraz dzieje się z tym majątkiem?

— Tak jak powiedziałam, zarządza nim ekonom.

— A dom?

— Stoi pusty. To znaczy, są tam wszystkie meble, tylko że nikt w nim nie mieszka.

— I masz zamiar wrócić do tego pustego domu?

— Kiedyś pewnie tak.

— A co z dziećmi?

— Są w Londynie, z matką Anthony'ego.

— A dlaczego nie z tobą? — spytał Eustace. W jego głosie nie pobrzmiwał krytycyzm, tylko czysta ciekawość. Po prostu chciał wiedzieć.

— Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli przyjadę tu sama. Alicja Lingard zaprosiła mnie, więc doszłam do wniosku, że to dobry pomysł.

— Ale dlaczego nie zabrałaś dzieci ze sobą?

— No, nie wiem... — Nawet dla niej samej zabrzmiało to nieprzekonująco. — Alicja nie ma dzieci i jej dom nie był urządzony z myślą o nich. To znaczy, jest tam wiele cennych rzeczy, łatwych do uszkodzenia. Wiesz, jak to jest.

— Wprawdzie nie wiem, ale mów dalej.

— Poza tym lady Keile lubi mieć je przy sobie.

— Lady Keile to kto?

— Moja teściowa. Niania też chętnie z nimi przebywa, bo od dawna pracowała u lady Keile. Nianczyła Anthony'ego, kiedy był mały.

— Myślałem, że te dzieci są już duże.

— Karolina ma osiem lat, a Mikołaj sześć.

— Po co im więc niania? Nie możesz sama się nimi zająć?

Przez wszystkie lata Wirginia wielokrotnie zadawała sobie to pytanie i nigdy nie umiała na nie odpowiedzieć. Teraz jednak, gdy Eustace, nie pytany, nagle z tym wyskoczył — na przekór poczuła się obrażona.

— Co przez to rozumiesz?

— Dokładnie to, co powiedziałem.

— Owszem, zajmuję się nimi. Często je widuję...

— Jeżeli dopiero co straciły ojca, to na pewno bardziej potrzebna jest im matka niż babcia czy wierna, stara niania. Pomyślą, że wszyscy je opuścili.

— Na pewno tak nie pomyślą.

— Jeżeli jesteś tego taka pewna, to czemu się gorączkujesz?

— Bo nie lubię, kiedy ktoś wtrąca się w nie swoje sprawy i wygłasza opinie o kimś, kogo nie zna.

— Ciebie znam wystarczająco dobrze.

— I cóż takiego wiesz o mnie?

— Choćby to, że chętnie dajesz się terroryzować.

— Któż to mnie terroryzuje?

— Nie jestem pewien... — Ze zdziwieniem Wirginia stwierdziła, że i on wpada w złość, tylko że bardziej flegmatycznie. — Ale z grubsza się domyślam, że to twoja teściowa. Przypuszczalnie kontynuuje dzieło przerwane przez twoją matkę.

— Jak śmiesz tak mówić o mojej matce?

— A czy to nie jest prawda?

— Nieprawda!

— Jeśli tak, to sprowadź dzieci tutaj. To nieludzkie trzymać je latem w Londynie przy takiej pięknej pogodzie, kiedy tu mogłyby swobodnie biegać po łące i plaży. Rusz chociaż palcem, zadzwoń do teściowej i powiedz jej, żeby wsadziła dzieci do pociągu. A jeśli Alicja nie życzyłaby sobie ich w swoim domu, bo mogłyby coś połamać, to wynajmij jakiś domek na wsi.

— Mam właśnie zamiar to zrobić, nie musisz mi podpowiadać.

— Więc rozejrzyj się za czymś takim.

— Już to zrobiłam.

Eustace'a chwilowo zatkało, a Wirginia pomyślała z satysfakcją: „Wytraściłam mu broń z ręki!” Konsternacja była jednak tylko chwilowa, gdyż zaraz spytał:

— I co, znalazłaś coś?

— Oglądałam dziś rano jeden domek, ale on się nie nadaje.

— Gdzie to było?

— Tu, w Lanyon... — Czekał, aż sama mu powie.

— To się nazywa Bosithick — dodała opryskliwie.

— Bosithick? — wydawał się tym zachwycony.

— Przecież to cudowny dom!

— To jest okropny dom!

— Okropny? — Nie wierzył własnym uszom. — Chyba nie masz na myśli tego domku na wzgórzu, gdzie mieszkał kiedyś Aubrey Crane? Tego, który Kernów odziedziczył po starej ciotce?

— To ten sam, ale nie da się tam mieszkać, bo jest jakiś upiorny.

— Upiorny, to znaczy co? Czy tam straszy?

— Nie wiem. Po prostu upiorny.

— Jeżeli straszy tam duch Aubreya Crane'a, to może być całkiem przyjemne. Moja matka pamiętała go i zawsze mówiła, że to był uroczy człowiek. I bardzo lubił dzieci

— dodał, choć nie miało to związku z resztą.

— Nie obchodzi mnie, jaki to był człowiek. Nie mam zamiaru wynająć tego domu.

— Dlaczego?

— Bo nie.

— Podaj mi trzy przekonujące argumenty. Wirginią straciła cierpliwość.

— Och, na miłość boską... — wykonała ruch, jakby chciała wstać, ale Eustace, z szybkością nieoczekiwaną u tak potężnego mężczyzny, złapał ją za nadgarstek i posadził z powrotem na trawie. Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem, ale jego spojrzenie było lodowate.

— Chcę usłyszeć trzy przekonujące argumenty — powtórzył.

Spojrzała bokiem na jego dłoń leżącą na jej ramieniu. Ponieważ nie zamierzał jej zdjąć, zaczęła wyliczać:

— Nie ma tam lodówki.

— Mogę pożyczyć ci chłodziarkę do mięsa. Proszę o powód drugi.

— Już powiedziałam, tam jest upiorna atmosfera. Dzieci nigdy nie mieszkały w takim miejscu, mogą się bać.

— Nie powinny, chyba że są takimi głuptasami jak ich mamuska. Słucham, teraz powód trzeci.

Rozpaczliwie próbowała znaleźć tak miażdżący argument, który uwiarygodniłby jej niewypowiedzianą odrazę do dziwnego domku na wzgórzu. Jednak wszystko, co mogła wykombinować, było tylko pasmem błahych wymówek, z których każda następna była mniej poważna niż poprzednia.

— Tam jest za ciasno, brudno i nie miałabym gdzie prać rzeczy dzieci. Nie wiem nawet, czy jest tam żelazko lub kosiarka do trawnika. I nie ma tam ogrodu, tylko skrawek darni, a meble w domu są takie przygnębiające.

Przerwał jej.

— Wirginio, to nie są żadne argumenty, wiesz o tym dobrze. To tylko głupie wymówki.

— Wymówki od czego?

— W ten sposób sama przed sobą usprawiedliwiasz się, że nie podejmujesz ostatecznej próby sił ze swoją teściową czy z nianią, czy może z nimi obydwoma. Że nie dochodzisz swoich praw do wychowywania własnych dzieci tak, jak ci się podoba.

Wściekłość na niego tak ścisnęła jej gardło, że aż zaniemówiła. Czowała, jak krew uderza jej do twarzy i zaczyna drżeć na całym ciele. On niewątpliwie to

widział, lecz spokojnie rzucał jej w twarz to wszystko, co głos wewnętrzny mówił jej przez całe lata, a jej brakło odwagi, by tego wysłuchać.

— Nie, wcale nie uważam, że nie interesujesz się swoimi dziećmi. Nie chcesz tylko mieć z nimi kłopotów. Zawsze ktoś za ciebie prał i prasował, więc nie chcesz zacząć robić tego sama. Jesteś za leniwa, żeby zabierać dzieci na pikniki, czytać im książki i układać do snu. Bosithick nie ma tu nic do rzeczy, bo w każdym domu znajdziesz jakąś wadę. Każda wymówka będzie dobra, bylebyś nie musiała przyznać się przed samą sobą, że nie chcesz zajmować się własnymi dziećmi...

Zanim wymówił ostatnie słowo, zerwała się na równe nogi, uwalniając rękę z jego uchwytu.

— To nieprawda! Nieprawda! Chcę się nimi zająć! Chciałam już od początku, odkąd tu jestem!

— Więc przywieź je tu, głuptasie! — On także wstał. Chociaż dzielił ich od siebie tylko kawałek trawnika, krzyczeli, jakby znajdowali się na pustyni.

— Właśnie chcę to zrobić, dokładnie to!

— Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę!

Odwróciła się na pięcie i już siedziała w samochodzie, gdy przypomniała sobie, że na stole w kuchni zostawiła torebkę. Z płaczem wyskoczyła z wozu i pobiegła do domu, aby odzyskać swoją własność, zanim Eustace okaże się szybszy. Potem pognąła do samochodu i z wściekłością zawróciła, co na ciasnym podwórzu farmy mogło być niebezpieczne. W końcu, z rykiem silnika i bryzgami żwiru spod tylnych kół wycofała wóz w pełną drogę.

— Wirginio!

Przez łzy widziała go we wstecznym lusterku wozu. Dodała gazu i wypadła na główną szosę, nie zwracając sobie głowy sprawdzeniem, czy nikt nie nadjeżdża. Na szczęście droga była pusta, więc nie musiała zwalniać ani na całej trasie do Porthkerris, ani przy zjeździe do miasta, ani już w mieście. Zaparkowała wóz przy podwójnych żółtych liniach w pobliżu biura radców prawnych.

Tym razem nie dzwoniła, nie czekała na pannę Leddra, tylko wpadła jak burza do sekretariatu i otworzyła szeroko drzwi gabinetu pana Williamsa. Przeszkodziła mu akurat w omawianiu ze starszą, despotyczną damą z Truro siódmej wersji poprawek do jej testamentu.

Zarówno pan Williams, jak i jego klientka zastygli w przerażeniu, z otwartymi ustami. Pierwszy ocknął się pan Williams i spróbował wstać.

— Pani Keile?... — Nie dokończył, gdyż Wirginia cisnęła na jego biurko klucze do Bosithick i oświadczyła:

— Biorę ten dom. Od zaraz! I kiedy tylko przywiozę tu dzieci, wprowadzam się!

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Przykro mi, Wirginio — stwierdziła Alicja — ale wydaje mi się, że popełniasz kolosalny błąd. Mało tego, jest to typowy błąd ludzi, którzy nagle zostają sami. Działasz pod wpływem impulsu, w sposób nie przemyślany.

— Właśnie że myślałam już o tym!

— Dzieci są szczęśliwe tak, jak jest. Z Nianią i twoją teściową jest im dobrze. Ich obecne życie jest przedłużeniem takiego życia, jakie prowadziły w Kirkton, i to daje im poczucie bezpieczeństwa. Po śmierci ojca nic już nie będzie dla nich takie, jak było. Ale jeżeli muszą nastąpić jakieś zmiany, przynajmniej niech to się dzieje stopniowo, aby Karolina i Mikołaj mogli się do nich przyzwyczaić.

— To są moje dzieci!

— Ale nigdy sama się nimi nie zajmowałaś... no, może w tych rzadkich momentach, kiedy Niania dawała się namówić na wzięcie wychodnego. Myślę, że nie dasz sobie z nimi rady, a mówiąc szczerze, nie wydaje mi się, abyś nawet fizycznie była w stanie temu podołać. W końcu przyjechałaś tutaj właśnie po to, aby dożyć do siebie po tej strasznej grypie i odpocząć po ostatnich przejściach. Nie pozbawiaj się teraz tej szansy. Będziesz potrzebowała sił, kiedy w końcu wrócisz do Kirkton i będziesz musiała nauczyć się żyć bez Anthony'ego.

— Nie wybieram się na razie do Kirkton, tylko do Bosithick. Zapłaciłam już czynsz za pierwszy tydzień.

Alicja zaczęła tracić cierpliwość i wpadła w złość.

— Przecież to śmieszne! Jeśli już tak strasznie chcesz mieć dzieci przy sobie, to sprowadź je tutaj, tylko, na miłość boską, niech Niania też przyjedzie!

Jeszcze wczoraj wydawało się to całkiem dobrym pomysłem. Dziś jednak Wirginia nie chciała nawet o tym słyszeć.

— Podjęłam już decyzję.

— Ale dlaczego nie porozmawiałaś przedtem o tym ze mną?

— Nie wiem. To było coś, co chciałam zrobić samodzielnie.

— Gdzie jest ten Bosithick?

— Przy szosie do Lanyon. Z szosy go nie widać, ale ma taką wieżyczkę...

— Ach, to tam, gdzie mieszkał Aubrey Crane? Ależ Wirginio, to jest straszne odludzie, tylko wiatr hula na wrzosowiskach. Będiesz tam całkiem sama.

Wirginia spróbowała obrócić wszystko w żart.

— Będziesz więc musiała nas odwiedzać co jakiś czas i sprawdzać, czy jeszcze nie zwariowaliśmy.

Alicji wcale to nie śmieszyło. Ze zmarszczką między brwiami i wyrazem dezaprobaty na twarzy zaczęła nagle przypominać Wirginii matkę. Było to tak, jakby nie była już przyjaciółką i prawie rówieśniczką Wirginii, lecz przeskoczyła o jedno pokolenie wstecz i z wyżyn swego wieka uważała Wirginię za osobę młodą i nieodpowiedzialną. Może zresztą nie było to takie dziwne. W końcu znała się z Roweną Parsons na długo przed urodzeniem Wirginii, a przez to, że nie miała własnych dzieci, z którymi mogłaby się spierać, jej poglądy przez lata nie uległy zmianie.

W końcu Alicja wykrztusiła:

— Nie chodzi mi o to, żeby wtrącać się w twoje sprawy. Ale ponieważ znam cię od dziecka, nie mogę stać z boku i spokojnie patrzeć, jak popełniasz głupstwa.

— Co głupiego jest w tym, że chcę zabrać własne dzieci na wakacje?

— Dobrze wiesz, Wirginio, że nie w tym rzecz. Jeśli spróbujesz zabrać je od lady Keile i Niani bez ich zgody, a wątpię, abyś ją uzyskała, wyniknie z tego piekielna awantura.

Wirginii robiło się słabo na samą myśl o tym.

— Tak, wiem.

— Niania przypuszczalnie śmiertelnie się obrazi i złoży wymówienie...

— Wiem o tym.

— A twoja teściowa zrobi wszystko, co w jej mocy, aby cię zatrzymać.

— O tym też wiem.

Alicja patrzyła na nią jak na kogoś zupełnie obcego. W końcu wzruszyła ramionami i zaśmiała się z wyrazem beznadziejności w głosie.

— Nie rozumiem jednego. Skąd wzięła się u ciebie naraz taka determinacja?

Ponieważ Wirginia nie wspomniała dotychczas o swoim spotkaniu z Eustace'em Philipsem, nie miała zamiaru tego zrobić także i teraz.

— Tak sobie, bez specjalnego powodu.

— To chyba wpływ morskiego powietrza — zastanawiała się głośno Alicja. — To nadzwyczajne, jak ono działa na ludzi. — Podniosła z podłogi gazetę i zaczęła ją pedantycznie składać. — Kiedy chcesz jechać do Londynu?

— Jutro.

— A co z lady Keile?

— Zadzwoń do niej dziś wieczór. Przepraszam cię za wszystko, Alicjo. I dziękuję ci za uprzejmość.

— Ależ nie byłam wcale dla ciebie uprzejma, raczej krytyczna wobec twoich posunięć. Po prostu przyzwyczaiałam się myśleć o tobie jako o kimś bardzo młodym i niezaradnym. W jakimś sensie czuję się za ciebie odpowiedzialna.

— Mam już dwadzieścia siedem lat, nie jestem wcale niezaradna i sama odpowiadam za siebie.

* * *

Telefon odebrała Niania.

— Słucham?

— To ty, Nianiu?

— Tak.

— Tu Wirginia.

— Dobry wieczór. Czy chce pani rozmawiać z lady Keile?

— A czy ona jest obok?

— Mogę zaraz ją poprosić.

— Nianiu...

— Słucham?

— Jak tam dzieci?

— Wszystko w porządku. Świetnie się tu bawią. Właśnie położyłam je spać. — Było to wtrącone na wypadek, gdyby Wirginia chciała porozmawiać z dziećmi.

— Ciepło tam u was?

— O, tak. Wspaniała pogoda. Proszę chwilkę poczekać, powiem lady Keile, że to pani dzwoni.

Słychać było, jak Niania odkłada słuchawkę, potem jej kroki w hallu i wołanie: „Lady Keile!”

Wirginia czekała i myślała: „Gdybym była osobą trunkową, chciałabym teraz mieć pod ręką dużą szklanekę whisky”. Ponieważ jednak nie miała nic takiego pod ręką, czuła w żołądku ucisk w obawie przed nadciągającą katastrofą.

Odgłos ostrych, równo odmierzanych kroków nasilił się. Ktoś podniósł słuchawkę.

— Wirginia?

— Tak, to ja.

Sytuacja była podwójnie skomplikowana wskutek tego, że Wirginia nigdy nie mogła się zdecydować, jak ma zwracać się do teściowej. Wprawdzie kiedy wychodziła za Anthony'ego, ta zaproponowała uprzejmie: „Mów mi mamó”, ale Wirginii jakoś nie mogło to przejść przez gardło. „Lady Keile” brzmiało jeszcze gorzej. Wirginia wybrała wyjście kompromisowe, komunikując się z teściową tylko poprzez karty pocztowe lub telegramy i mówiąc zwyczajnie przez „ty”.

— Jak miło cię słyszeć, kochanie. Dobrze się czujesz?

— Dziękuję, świetnie.

— A jak tam pogoda? Pewnie macie upały?

— Tak, wyjątkowe. Słuchaj...

— A co słyszeć u Alicji?

— Wszystko w porządku.

— Nasze kochane dzieciaki dziś sobie popływały. Turnerowie mają w ogrodzie wspaniały basen. Wyobraź sobie, że zaprosili Karolinę i Mikołaja na całe popołudnie! Szkoda, że są już w łóżeczkach. Nie mogłaś zadzwonić wcześniej?

Wirginia wreszcie dorwała się do głosu.

— Chciałam ci coś powiedzieć. — Słucham?

Zacisnęła palce wokół słuchawki aż do bólu.

— Udało mi się znaleźć w pobliżu piękny, mały domek, nad samym morzem. Myślę, że dzieciom byłoby przyjemnie, gdybym je tu przywiozła i spędzilibyśmy razem resztę wakacji... — Przerwała, czekając na jakiś komentarz, ale odpowiedzią było tylko milczenie. — ...Chodzi o to, że pogoda jest tak piękna, aż mi przykro, że tylko sama z niej korzystam. Dzieciom dobrze by zrobiło trochę morskiego powietrza, zanim wrócimy do Szkocji i będą musiały iść do szkoły.

Lady Keile w końcu przemówiła.

— Zaraz, domek? Sądziłam, że jesteś u Alicji Lingard.

— Tak, dzwonię od niej. A ten domek wynajęłam.

— Nie rozumiem.

— Chciałabym po prostu przywieźć tutaj dzieci, aby spędziły ze mną resztę wakacji. Jutro przyjadę po nie pociągiem.

— Ale co to za dom?

— Taki zwykły letni domek.

— Cóż, jeśli tak sobie życzysz... — Wirginia zaczęła już oddychać z ulgą. —... ale Niania będzie rozczarowana. Nieczęsto ma sposobność być w Londynie i spotykać się ze wszystkimi swoimi znajomymi.

Uczucie ulgi od razu znikło. Wirginia ponownie przystąpiła do ofensywy.

— Niania nie musi z nami jechać. Lady Keile była wyraźnie zakłopotana.

— Przepraszam, chyba źle cię zrozumiałam. Powiedziałaś, że Niania nie musi tam jechać?

— Właśnie. Mogę zająć się dziećmi sama, poza tym tam nie ma ani oddzielnego pokoju dla niej, ani specjalnego pokoju dzieciennego... I to jest straszne odludzie, ona źle by się tam czuła.

— Czy to znaczy, że chciałabyś zabrać dzieci od Niani?

— Owszem.

— Ależ jej będzie strasznie przykro!

— Obawiam się, że tak, ale...

— Wirginio... — w głosie lady Keile znać było wyraźne przygnębienie.

— Wirginio, to nie jest rozmowa na telefon!

Wirginia wyobraziła sobie Nianię podsłuchującą na półpiętrze.

— Nie musimy rozmawiać o tym teraz. Przyjeżdżam jutro do Londynu. Będę u ciebie około piątej, wtedy porozmawiamy.

— Myślę, że tak będzie najlepiej — odparła lady Keile i odłożyła słuchawkę.

Nazajutrz rano Wirginia pojechała do Penzance, zostawiła samochód na parkingu i wsiadła w pociąg jadący do Londynu. Ten dzień był również upalny i bezchmurny. Ponieważ nie miała czasu kupić miejscówki, konduktor, mimo hojnego napiwku, był w stanie znaleźć dla niej tylko wolny kącik w przepełnionym przedziale. Wszyscy pasażerowie tego przedziału jechali z wakacji do domu, więc byli smutni, że muszą w tak piękny dzień opuszczać nadmorskie plaże i wracać do pracy.

W przedziale między innymi podróżowała także rodzina złożona z ojca, matki i dwojga dzieci. Mniejsze dziecko, zgrzane, spało w ramionach matki. Natomiast starsze, w miarę jak pociąg mknął na północ, a słońce wznosiło się wyżej, stawało się coraz bardziej niesforne. Płakało, marudziło, a ilekroć chciało wyrzeć przez okno, objęło brudnymi nóżkami w sandałkach nogi Wirginii. Na którejś stacji ojciec dziecka, aby je uspokoić, kupił mu oranżadę. Butelka została otwarta akurat wtedy, kiedy wagon podskoczył na nierówności szyn i cała jej zawartość wylała się na sukienkę Wirginii.

Oczywiście zdenerwowana matka natychmiast wlepiła dziecku klapsa, co spowodowało jego głośny wrzask. Obudziło to niemowlaka, którego płacz dołączył się do ryku jego brata. „Popatrz, co narobiłeś!” — skrzyczał chłopca ojciec i potrząsnął nim, żeby to sobie dobrze zapamiętał. Wirginia, próbując wytrzeć się chusteczkami higienicznymi, bez przekonania protestowała, że nic nie szkodzi, przecież to przypadek, nic takiego się nie stało itd.

Po pewnym czasie głośny płacz skarconego chłopca przeszedł w przerywane czkawką chlupanie. Skądś pojawiła się butelka ze smoczkiem, którą wciśnięto w buzię niemowlęcia. Trochę possało, potem przestało ssać, z wysiłkiem usiadło i z wymiotowało.

Przez cały czas Wirginia paliła papierosa, uparczywie wpatrywała się w okno i powtarzała w myśli, jak modlitwę: „Ach, żeby tylko Karolina i Mikołaj nigdy nie byli tacy! Nie daj Boże, aby zachowywali się tak podczas podróży, bo dostałabym fioła!”

W Londynie było gorąco i duszno, a wielką jamę dworca Paddington wypełniał gwar, spieszący się tłum. Gdy tylko Wirginia, w zmiętej, poplamionej i sztywnej od słodkiego płynu sukience wysiadła z pociągu, przezornie skierowała się najpierw do kasy przedsprzedaży. Niczym szpieg zapewniający sobie bezpieczną drogę odwrotu, wykupiła trzy bilety z miejscówkami na ekspres „Riviera” na dzień następny. Dopiero potem wróciła na postój taksówek, odstała swoje w długiej kolejce, aż w końcu doczekała się upragnionego pojazdu.

— Proszę na Kensington, Melton Gardens trzydzieści dwa.

— Tak jest, proszę pani. Już jedziemy.

Po drodze mijali park na Sussex Gardens. Na wypalanej słońcem trawie całe rodziny urządzały sobie pikniki, biegały półnagie dzieci, a przytulone pary siedziały w cieniu drzew. Na Brompton Road w przyokiennych skrzynkach kwitły kwiaty, wystawy sklepowe prezentowały stroje „wycieczkowe”, a ponieważ były to godziny szczytu, nieprzerwany potok ludzki wlewał się w podziemny tunel metra na przystanku Knightsbridge.

Taksówka skręciła w labirynt małych placyków za Kensington High Street, przecisnęła się przez wąskie uliczki zastawione parkującymi samochodami, aż wjechała na Melton Gardens.

— To ten dom, gdzie skrzynka pocztowa!

Kiedy taksówka się zatrzymała, Wirginia wysiadła, postawiła walizkę na chodniku i wyjęła pieniądze z torebki. Kierowca podziękował i złamał

chorągiewkę licznika. Podczas gdy szła z walizką w stronę domu, otworzyły się czarno pomalowane drzwi i teściowa wyszła jej naprzeciw.

Była to kobieta wysoka, szczupła i wyjątkowo elegancka. Mimo straszliwego upału wyglądała świeżo, ani jeden włos w jej fryzurze nie znajdował się tam, gdzie nie powinien, a na jej płóciennej sukience nie było ani zmarszczki.

Wirginia weszła po schodkach.

— Skąd wiedziałaś, że już jestem?

— Wyglądałam z okna salonu i zobaczyłam taksówkę.

Zachowywała się przyjaźnie, z uśmiechem, lecz stanowczo; jak siostra oddziałowa w szpitalu psychiatrycznym przyjmująca nowego pacjenta. Ucałowały się na powitanie.

— Miałaś chyba fatalną podróż! — Teściowa zamknęła za nią drzwi.

W chłodnym, utrzymanym w jasnych kolorach hallu pachniało woskiem i różami. Schodki w jego końcu prowadziły w dół ku oszklonym bocznym drzwiom, za którymi widać było ogród, kasztanowiec, a na nim dziecięcą huśtawkę.

— Rzeczywiście, to było okropne. Jestem cała brudna i jakieś niegrzeczne dziecko wylało na mnie oranżadę. — W całym domu panowała cisza. — A gdzie są dzieci?

Lady Keile poszła pierwsza na górę, w kierunku salonu.

— Wysłałam je z Nianią na spacer. Sądziłam, że tak będzie lepiej. Nie na długo, jakieś pół godziny, w sam raz, abyśmy sobie wszystko wyjaśniły.

Wirginia w milczeniu szła za nią. U szczytu schodów znajdował się niewielki podest, z którego wchodziło się do salonu. Mimo wewnętrznego niepokoju Wirginia musiała przyznać, że znów, jak zawsze, jest pod wrażeniem ponadczasowego piękna tego wnętrza. Wysokie okna wychodzące na ulicę miały idealne proporcje. Dziś, z powodu upału, były otwarte, tak że lekki powiew poruszał cienkimi tiulowymi firankami. Podłużne lustra dodatkowo rozjaśniały pokój odbitym światłem. Przeglądały się w nich również antyczne meble na wysoki połysk, oszklone szafki pełne białoniebieskiej porcelany miśnieńskiej i kwiaty, którymi lady Keile zawsze lubiła się otaczać.

Obie kobiety stały po przeciwnych stronach jasnego, dobrze dobranego kolorem dywanu. W końcu lady Keile stwierdziła:

— Możemy przecież usiąść sobie wygodnie. — I zagłębiła się, jak zawsze wyprostowana, w szerokim, francuskim fotelu.

Wirginia natomiast usiadła na samym brzeжку kanapy i robiła wszystko, by nie czuć się jak świeżo przyjmowana do pracy służąca.

— Sama wiesz, że tak naprawdę to nie ma tu co wyjaśniać — zaczęła.

— Sądziłam, że przesłyszałam się wczoraj przez telefon.

— Nie, wcale się nie przesłyszałaś. Dwa dni temu postanowiłam, że zabiorę dzieci do siebie. To aż śmieszne, żebym ja siedziała w taki upał w Kornwalii, a one w Londynie. Radziłam się prawnika, który pomógł mi znaleźć ten dom. Wpłaciłam już zadatek, mam klucze i mogę się wprowadzić choćby zaraz.

— A czy Alicja Lingard wie o tym?

— Oczywiście, nawet była gotowa przyjąć mnie u siebie razem z dziećmi, ale poczyniłam już pewne kroki i nie mogę się wycofać.

— Wirginio, ty chyba nie myślisz serio, żeby wziąć je tam bez Niani!

— Tak właśnie myślę.

— Ależ nie dasz sobie rady!

— W każdym razie będę próbować.

— A więc chodzi ci o to, żeby mieć dzieci tylko dla siebie?

— Tak.

— Nie uważasz, że jest to z twojej strony nieco egoistyczne?

— Dlaczego egoistyczne?

— Ponieważ nie robisz tego z myślą o dzieciach, tylko o sobie.

— Może i o sobie, ale mam na uwadze także interes dzieci.

— Chyba nie masz, jeśli chcesz zabrać je od Niani.

— Czy wspominałaś jej o tym?

— Oczywiście, musiałam. Ona ma na ten temat taki sam pogląd jak ja. Miałam jednak nadzieję, że uda mi się skłonić cię do zmiany zdania.

— Czy jakoś to komentowała?

— Nie powiedziała zbyt wiele, ale widać było, że jest bardzo zmartwiona.

— To jasne.

— Musisz pomyśleć także o Niani, Wirginio. Te dzieci były całym jej życiem. Musisz wziąć to pod uwagę.

— Nawet przy najlepszych chęciach nie widzę, żeby ona miała z tym coś wspólnego.

— Oczywiście, że ma coś wspólnego ze wszystkim, co robimy. Przecież ona była zawsze jakby członkiem naszej rodziny, jeszcze kiedy Anthony był

mały. A z jakim poświęceniem opiekowała się twoimi dziećmi! Jak możesz mówić, że ona nie ma nic do tego?

— Przecież ona nie była moją nianią — zaprotestowała Wirginia. — Nie zajmowała się mną, kiedy byłam mała. Nie możesz wymagać ode mnie, żebym czuła w stosunku do niej to samo co ty.

— Naprawdę uważasz, że nie musisz poczuwać się do żadnej lojalności w stosunku do niej? Mimo że powierzyłaś jej wychowanie swoich dzieci? Mimo że przez osiem lat w Kirkton mieszkaliście pod jednym dachem? Muszę ci powiedzieć, że mnie zadziwiasz. Zawsze sądziłam, że między wami panują idealne stosunki.

— Jeżeli nasze stosunki były idealne, to dzięki mnie, gdyż ustępowałam Niani w najdrobniejszych szczegółach dla świętego spokoju. A to dlatego, że gdy nie mogła postawić na swoim, chodziła nabzdyczona przez kilka dni, a ja nie mogłam tego znieść.

— Zawsze myślałam, że we własnym domu to ty rządziłaś.

— No więc byłaś w błędzie. Nawet gdybym zebrała się na odwagę, aby pokłócić się z Nianią lub wymówić jej posadę, Anthony nie chciałby nawet słyszeć o tym. Uważał ją za pępek świata.

Lady Keile nieco przybladła na dźwięk imienia swojego syna. Nadal trzymała się prosto, ale jej dłonie splecione na kolanach zacisnęły się jeszcze mocniej. Lodowatym tonem wycedziła:

— Myślę, że teraz nie należy już o tym wspominać.

Wirginia nagle pożałowała swoich słów.

— Nie chciałam tego powiedzieć, naprawdę nie chciałam! Ale zrozum, czuję się teraz taka opuszczona! Te dzieci są wszystkim, co mi pozostało. Może to egoizm z mojej strony, ale tak bardzo ich potrzebuję, tak pragnę mieć je przy sobie! Tęskniłam za nimi cały czas, odkąd wyjechałam.

Zza okna dał się słyszeć warkot nadjeżdżającego samochodu oraz podniesione głosy kłócących się mężczyzny i kobiety. Lady Keile, jakby nie mogąc znieść tego hałasu, wstała i podeszła do okna, by je zamknąć.

— Ja też będę za nimi tęsknić — zakończyła. „Gdybyśmy były sobie bliższe — pomyślała Wirginia

— mogłabym teraz rzucić się jej na szyję. Dać jej ten komfort psychiczny, którego pragnęła. Jednak tak jak sprawy stały, nie było to możliwe. Nasze stosunki wzajemne były oparte na pobłażliwości z jednej strony, a szacunku z drugiej, ale nie było tam ani miłości, ani poufałości”.

— No, na pewno będziesz. Taka byłaś dobra dla nich i dla mnie. Tak mi przykro...

Teściowa odwróciła się od okna, znów błyskotliwa i opanowana, jak przedtem.

— Mam wrażenie — rzekła, pociągając za taśmę dzwonka wiszącego przy kominku — że dobrze nam zrobi filiżanka herbaty.

Dzieci wróciły ze spaceru o wpół do szóstej. Drzwi frontowe trzasnęły i w hallu zrobiło się głośno. Wirginia odstawiła filiżankę i zachowywała się bardzo cicho. Lady Keile odczekała, aż kroki na schodach minęły podest i zaczęły zbliżać się do pokoju dziecinnego. Wtedy wystawiła głowę przez drzwi salonu i zawołała:

— Karolinko! Mikołaju!

— Cześć, babciu!

— Macie gości!

— Kto przyszedł?

— Niespodzianka! Chodźcie i zobaczcie!

* * *

Gdy dzieci poszły już na górę zjeść kolację i umyć się przed snem, Wirginia zdążyła wziąć kąpiel i przebrać się w świeżą sukienkę z chłodnego jedwabiu. Potem, zanim gong wezwał dorosłych na kolację, poszła do pokoju dziecinnego, aby spotkać się z Nianią.

Zastała ją podczas uprzątniania resztek po kolacji dzieci. Robiła porządek w ich pokoju, zanim, jak co wieczór, zasiadła przed telewizorem.

Nie oznaczało to bynajmniej, że w pokoju był nieporządek. Po prostu Niania nie spoczęłaby, dopóki każda poduszka nie byłaby ułożona jak należy, każda zabawka na swoim miejscu, brudne ubranka dzieci wyniesione do prania, a czyste przygotowane na dzień następny.

Zawsze zachowywała się tak samo, wyżywając się w przestrzeganiu własnego sztywnego rytuału. Wyglądała też zawsze tak samo — skromna i schludna kobieta po sześćdziesiątce, ledwo ze śladem siwizny w ciemnych włosach ściągniętych w kok. Należała widać do tego typu ponadczasowych kobiet, które nigdy się nie starzeją, aż w końcu, w bardziej zaawansowanym wieku, raptem niedołącznieją i szybko umierają.

Kiedy Wirginia weszła do pokoju, Niania spojrzała na nią, lecz natychmiast wróciła do swojej roboty.

— Cześć, Nianiu!

— Dobry wieczór.

Ton jej głosu był wyraźnie chłodny. Wirginia zamknęła drzwi i usiadła na poręczu kanapy. Kiedy Niania była w złym humorze, jedynym sposobem na nią było od razu chwycić byka za rogi.

— Przepraszam za to wszystko, Nianiu.

— Jak Boga kocham, nie wiem, o co chodzi.

— Myślę o tym, że jutro zabieram dzieci. Wyjeżdżamy rano do Kornwalii. Zarezerwowałam już miejsca w pociągu. — Niania starannie składała kraciatą serwetę, brzeg do brzegu, tak aby wyszła równa kostka. — Lady Keile miała pomówić z tobą o tym.

— Faktycznie, mówiła coś o jakichś dziwnych planach, ale nie byłam pewna, czy dobrze słyszę.

— Czy gniewasz się o to, że je zabieram ze sobą, czy o to, że jedziemy bez ciebie?

— A kto się gniewa? Nikt się na nikogo nie gniewa, jak Boga kocham!

— Więc zgadzasz się ze mną, że to dobry pomysł?

— O, nie, bynajmniej. Ale to, co ja o tym myślę, nie ma teraz żadnego znaczenia.

Otworzyła szufladę w stole i schowała tam serwetę. Potem zamknęła szufladę z lekkim trzaśnięciem, które zdemaskowało jej z trudem tłumioną wściekłość. Zachowywała jednak kamienną twarz z zaciśniętymi ustami.

— Dobrze wiesz, że to nieprawda. Zawsze liczyliśmy się z twoim zdaniem. Nie możesz myśleć, że nie jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłaś dla moich dzieci, ale one są już duże.

— I co z tego, jeśli wolno zapytać?

— To, że mogę zająć się nimi sama.

Niania odwróciła się od stołu i po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała w oczy Wirginii. Kiedy tak mierzyły się wzrokiem, Wirginia dostrzegła, jak na szyi Niani wzbiera rumieniec gniewu, rozlewając się powoli po jej twarzy aż do linii włosów.

— Czy to znaczy, że pani daje mi wymówienie? — spytała w końcu.

— Nie miałam takiego zamiaru. Ale jeśli już o tym mówimy, to może tak byłoby najlepiej. Dla twojego własnego dobra.

— Niby dlaczego tak miałyby być lepiej dla mnie? Całe swoje życie poświęciłam tej rodzinie. Panicz Anthony był malutki, kiedy się nim opiekowałam. Tylko dlatego zgodziłam się opuścić Londyn i wyjechać do Szkocji bawić panine dzieci, że lady Keile prosiła mnie o to. I za moje poświęcenie taka wdzięczność mnie spotyka!

— Nianiu — wtrącała się Wirginia, kiedy Niania przerwała dla złapania oddechu — choćby z tego powodu byłoby najlepiej, gdybyś odeszła. Czy nie lepiej rozstać się w zgodzie i rozpocząć nowe życie? Znalazłabyś sobie nowy dom, z małym dzieckiem, którym mogłabyś się opiekować. Pamiętasz, jak zawsze mówiłaś, że prawdziwy pokój dziecienny to taki, w którym jest malutki dzidziuś. A Mikołaj ma już sześć lat!...

— Nigdy nie przypuszczałam, że dożyję takiego dnia...

— Jeżeli nie chcesz odchodzić, porozmawiaj z lady Keile. Może dałoby się jakoś załatwić, żebyś została. Jest wam dobrze ze sobą, a tobie tak podoba się Londyn, masz tu tylu znajomych...

— Nie potrzebuję paninych rad, dziękuję pięknie... oddałam pani najlepsze lata swego życia, wyniańczyłam panine dzieci... nie spodziewałam się wdzięczności za to... nigdy by do tego nie doszło, gdyby panicz Anthony... gdyby biedny panicz żył...

Wyrzucała z siebie wszystko, co jej ślina na język przyniosła, a Wirginia tylko siedziała, pozwalając obrzucać się inwektywami. Wmawiała sobie, że to było jeszcze najlepsze, co mogła zrobić. Teraz było już po wszystkim, miała to z głowy, i tylko to było ważne. A to, że czekała cierpliwie, aż Niania wypowie wszystkie swoje żale, było czymś w rodzaju gestu szacunku, ukłonu zwycięzcy wobec pokonanego w krwawej, lecz uczciwej walce.

Po tym wszystkim poszła powiedzieć dzieciom „dobranoc”. Mikołaj już spał, ale Karolinka wciąż jeszcze czytała. Kiedy matka weszła do pokoju, powoli oderwała oczy od książki i spojrzała w górę. Wirginia usiadła na brzegu łóżka.

— Co czytasz?

— „Poszukiwaczy skarbów”. — Karolinka pokazała książkę.

— Ach, to, pamiętam. Gdzie ją znalazłaś?

— Była tu w biblioteczce.

Założyła miejsce, do którego doczytała, zakładką własnoręcznie wyhaftowaną krzyżykami. Zamknęła książkę i odłożyła ją na nocny stolik.

— Rozmawiałaś z Nianią? — spytała.

— Tak.

— Ona dziwnie się dziś zachowywała.

— Naprawdę, kochanie?

— Czy coś się stało?

Jasne było, że trudno jest właściwie rozpoznać sytuację, gdy ma się tylko osiem lat. Zwłaszcza gdy się jest nieśmiałą, niezbyt ładną dziewczynką, noszącą okulary w okrągłych drucianych ramkach, w których wygląda się jak mała sówka.

— Nie, nic się nie stało, tylko teraz będzie inaczej.

— To znaczy jak?

— Widzisz, jutro rano wracam pociągiem do Kornwalii i chcę zabrać ze sobą ciebie i Mikołaja. Co ty na to?

Buzia Karolinki rozjaśniła się.

— Czy to znaczy, że jedziemy do cioci Alicji?

— Nie, będziemy mieszkać w swoim własnym domku. To taki śmieszny domek, który nazywa się Bosithick. Będziemy tam musiały wszystko same robić, sprzątać i gotować...

— To Niania nie jedzie z nami?

— Nie, zostaje tu z babcią. — Ponieważ milczenie przedłużało się, Wirginia szybko zapytała: — Czy to cię martwi?

— Mnie nie, ale ją na pewno tak. To dlatego zachowywała się dziś tak dziwnie.

— Widzisz, Niani trudno się z tym pogodzić. Ty i Mikołaj byliście jakby jej własnymi dziećmi. Ale wydaje mi się, że wyrosliście już z Niani, tak jak wyrasta się z płaszczyków czy sukienek. Jesteście na tyle duzi, że możecie sami zadbać o siebie.

— To znaczy, że Niania nie będzie już mieszkać z nami?

— Nie.

— To gdzie ona będzie mieszkać?

— Poszuka sobie jakiegoś małego dziecka, którym się będzie mogła opiekować. Albo zostanie z babcią.

— Ona woli mieszkać w Londynie niż w Szkocji — dodała Karolinka. — Mówiła to nam.

— A widzisz!

Karolinka przez chwilę rozważała ten problem. W końcu spytała:

— Kiedy jedziemy do Kornwalii?

— Już ci mówiłam. Jutro, pociągiem.

— O której? — Chciała wszystko wiedzieć dokładnie.

— Około wpół do dziesiątej. Pojedziemy taksówką na dworzec.

— A kiedy wracamy do Kirkton?

— Myślę, że po wakacjach, kiedy będziecie musieli wrócić do szkoły.

Karolinka nic nie odpowiedziała i trudno było wyczuć, o czym może myśleć.

— Pora spać, jutro też jest dzień — powiedziała w końcu Wirginia, delikatnie zdjęła Karolinie okulary i pocałowała ją na dobranoc. Jednak gdy już szła do drzwi, dziewczynka odezwała się znowu.

— Mamusiu...

— Tak? — Odwróciła się.

— Przyjechałaś...

Wirginia uniosła brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Przyjechałaś — powtórzyła dziewczynka. — Prosiłam, żebyś do mnie napisała, a tymczasem ty przyjechałaś!

Wirginia przypomniała sobie list od Karolinki, który zapoczątkował całą tę reakcję łańcuchową. Uśmiechnęła się.

— Tak, przyjechałam — potwierdziła. — Chyba tak jest lepiej. — Po czym zeszła na dół ze świadomością, że będzie musiała jeszcze przeżyć kolację w milczącym towarzystwie lady Keile.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wirginia powoli rozbudzała się ze snu z poczuciem osiągniętego celu. Okazała się silna i stanowcza. Cechy te były jEj dotąd tak obce, że warto było jeszcze trochę poleżeć, aby w spokoju porozkoszować się wrażeniem. Na miękkich poduszkach gościnnego łóżka lady Keile, wśród puszystych kołder i mierzkiwanej pościeli, obserwowała, jak promienie słoneczne w pogodny, letni poranek przeświecają przez koronę kasztanowca. To, co przykre, miała już za sobą, główne przeszkody zostały usunięte i już za kilka godzin będzie w drodze wraz ze swoimi dziećmi. Powtarzała sobie, że po wczorajszym wieczorze nie będzie już dla niej trudności nie do pokonania. Próbowwała wyobrazić sobie, jak będą wyglądały najbliższe tygodnie spędzane sam na sam z Karolinką i Mikołajem, ewentualne niebezpieczeństwa, trudy i niewygodny bytowania w lekkomyślnie wynajętym domku. Nic jednak nie było w stanie popsuć jej humoru. Znajdowała się już za zakrętem drogi i od tej pory wszystko miało być inaczej.

Było wpół do ósmej. W końcu wstała, ciesząc się piękną pogodą, śpiewem ptaków i dalekimi odgłosami ulicy. Wykąpała się, ubrała, spakowała, zasłała łóżko i zeszła na dół.

Niania i dzieci zjadły już śniadanie w pokoju dzieciennym, a lady Keile podano je na tacy do łóżka. W tym wzorowo zarządzanym domowym gospodarstwie także Wirginia znalazła dla siebie kawę na podgrzewanej płytce oraz pojedyncze nakrycie u szczytu stołu.

Wypiła dwie filiżanki gorącej, czarnej kawy i zjadła grzanekę z dżemem. Potem zabrała ze stolika w hallu klucz od frontowych drzwi i wyszła na cichą jeszcze o tej porze ulicę. Przespacerowała się do staroświeckiego sklepiku spożywczego (w którym lady Keile była stałą klientką), aby zrobić zakupy na pierwsze dni pobytu w Bosithick. Kupiła chleb, masło, bekon, jajka, kawę, kakao, puszki duszonej fasolki (ulubionej potrawy Mikołaja, nie akceptowanej nigdy przez Nianię) i zupy pomidorowej oraz czekoladowe ciasteczka. Mleko i warzywa będzie mogła kupić później na miejscu, tak samo mięso i ryby. Sklepikarz zapakował to wszystko w duże kartonowe pudło, które poniosła oburącz przed sobą przez Melton Gardens.

Lady Keile z dziećmi była na dole, a Niani nie było nigdzie widać. W hallu stały już równo ustawione, starannie spakowane walizeczki, do których Wirginia dostawiła karton z zakupami.

— Cześć, mamusiu!

— Cześć. — Pocałowała je na powitanie.

Dzieci były już umyte i starannie przygotowane do drogi. Karolinka była ubrana w niebieską bawełnianą sukienkę, a Mikołaj w szorty i pasiastą koszulkę. Jego jasne włosy były świeżo wyszczotkowane.

— Co robiłaś? — Chciał wiedzieć.

— Kupiłam trochę rzeczy do jedzenia. Kiedy wysiadziemy w Penzance, możemy nie mieć czasu na zakupy. I co byśmy wtedy zrobili, gdybyśmy nie mieli co jeść?

— Karolina dopiero mi teraz powiedziała, że będziemy jechać pociągiem. A dopóki nie wstałem, nic nie wiedziałem!

— Przepraszam cię, kochanie. Wczoraj wieczór, kiedy przyszłam, żeby wam o tym powiedzieć, już spałeś, więc nie chciałam cię budzić.

— Trzeba było mnie zbudzić. A tak, nie wiedziałem o tym aż do śniadania! — Chłopczyk był wyraźnie rozżalony.

Wirginia uśmiechnęła się do niego i spojrzała na teściową. Lady Keile wyglądała dziś blado i mizernie. Oczywiście poza tym była jak zawsze zadbana. Wirginia zastanawiała się, czy ona w ogóle spała tej nocy.

— Powinnaś zadzwonić po taksówkę — poradziła lady Keile. — Nie ma sensu ryzykować spóźnienia się na pociąg, zawsze lepiej być trochę wcześniej. Obok telefonu jest zapisany numer radio-taxi.

Wirginia, żałując, że sama o tym nie pomyślała, postąpiła zgodnie z radą teściowej. Zegar w hallu wskazywał kwadrans po dziewiątej. Taksówka przyjechała już po dziesięciu minutach, kiedy wszyscy byli gotowi do wyjścia.

— Ale musimy jeszcze pożegnać się z Nianią — przypomniała Karolinka.

— Tak, oczywiście — zgodziła się Wirginia. — Gdzie jest Niania?

— W naszym pokoju — Karolinka szła już w kierunku schodów, gdy Wirginia zatrzymała ją. — Nie!

Karolinka odwróciła się zdziwiona, gdyż nie słyszała jeszcze matki mówiącej takim tonem.

— Przecież musimy pożegnać się z Nianią — powtórzyła z naciskiem.

— Oczywiście. Niania tu przyjdzie i odprowadzi nas do taksówki. Idę właśnie na górę i powiem jej, że już wychodzimy. Załatwimy wszystko za jednym zamachem.

Zastała Nianię pochłoniętą jakimś całkowicie bezcelowym zajęciem.

— Nianiu, już wyjeżdżamy.

— Ach, tak.

— Dzieci chcą się z tobą pożegnać. Odpowiedzią było milczenie.

Jeszcze wczoraj Wirginii było jej żal, odczuwała dla niej jakiś dziwny szacunek. Teraz jednak miała ochotę złapać Nianię za ramiona i porządnie potrząsnąć.

— Nianiu, nie bądź śmieszna. Nie możesz tak się zachowywać. Zejdź, proszę, na dół i pożegnaj się z dziećmi.

Było to pierwsze bezpośrednie polecenie, jakie kiedykolwiek wydała Niani. Pierwsze i ostatnie, pomyślała. Dlatego też Niania była równie zaszokowana jak Karolinka. Początkowo próbowała grać na zwłokę i poruszała ustami, jakby chcąc wymyślić jakąś wymówkę. Ale że Wirginia nie spuszczała z niej oka, Niania w końcu nie wytrzymała jej spojrzenia i uciekła wzrokiem w bok. Już była pokonana.

— Tak jest, proszę pani — odpowiedziała i zeszła na dół za Wirginią.

Tam dzieci rzuciły się do niej, ściskając i całując, jakby była jedyną osobą na świecie, którą kochały. Gdy demonstracja uczuć szczęśliwie się skończyła, zbiegły ze schodków i pognały w kierunku oczekującej taksówki.

Wirginia powiedziała teściowej tylko „do widzenia”, bo więcej nie było już co mówić. Musnęły się policzkami, cmokając w powietrzu. „Do widzenia, Nianiu...” — zaczęła, lecz Niania była już w połowie drogi do pokoju dzieciennego, szukając chusteczki i pociągając nosem. Widać było już tylko jej nogi, gdy biegła na górę, a po chwili znikła za zakrętem schodów.

Wirginia nie musiała się martwić, jak dzieci zachowają się w drodze. Nowe wrażenie, jakim była podróż pociągiem, nie wpłynęło na nie podniecająco, lecz uspokajająco. Nieczęsto jeździły gdzieś na wakacje, a nad morze jeszcze nigdy. Kiedy ostatnio jechały do babci do Londynu, już w piżamach wpakowano je do nocnego pociągu i całą drogę przespały.

Teraz spoglądały przez okno na umykający krajobraz tak, jakby nigdy przedtem nie widziały pól, farm, krów czy miasteczek. Po jakimś czasie, kiedy ten widok im spowszedniał, Mikołaj rozpakował prezent, który Wirginia kupiła mu w Paddington, i uśmiechnął się z satysfakcją, gdyż był to mały czerwony traktor.

— Całkiem jak w Kirkton — przypomniał sobie. — Pan McGregor miał takiego massey-fergusona. — Kręcąc kółkami, wydawał gardłowe dźwięki naśladujące terkot traktora i toczył zabawkę po szorstkiej tapicerce siedzeń wagonu Brytyjskich Kolei Państwowych.

Natomiast Karolinka nawet nie otworzyła otrzymanego komiksu, który leżał zamknięty na jej kolanach. Przez cały czas wpatrywała się w okno, opierając swoje wypukłe czoło o szybę i usiłując nie przepuścić żadnego szczegółu oglądanych widoków.

Następną przygodą dla dzieci było przejście do wagonu restauracyjnego na lunch. Podniecająco działało już przechodzenie przez ruchome łączniki wagonów, a sam wagon restauracyjny wywarł na nich ogromne wrażenie.

Poczuły się prawie dorosłe, gdy pobłażliwy kelner podał każdemu z nich kartę.

— A co dla panienki? — spytał Karolinę, która spłonęła rumieńcem i nerwowo zachichotała, kiedy zorientowała się, że pytanie skierowane jest do niej.

Potrzebowała pomocy, nim ostatecznie zamówiła zupę pomidorową i smażoną rybę oraz podjęła ważką decyzję, czy woli lody śmietankowe czy truskawkowe.

Patrząc na twarze swoich dzieci, Wirginia myślała: „To, co jest nowe i zajmujące dla nich, będzie też nowe i zajmujące dla mnie. Najbardziej pospolite zjawiska staną się czymś szczególnym, jeśli zobaczę je oczami Karolinki. A gdyby Mikołaj zadał mi pytanie, na które nie będę umiała odpowiedzieć, postaram się szukać tak długo, aż znajdę odpowiedź. Tym sposobem będę zawsze dobrze poinformowana i podciągnę się w sztuce konwersacji”.

Pomysł ten rozbawił ją, tak że znienacka parsknęła śmiechem. Wraz z nią roześmiała się Karolinka, wprawdzie nie wiedząc, co matkę tak śmieszy, ale ciesząc się, że może dzielić z nią radość.

* * *

— Mamo, kiedy po raz pierwszy jechałaś pociągiem do Kornwalii? — zapytała Karolinka.

— Dziesięć lat temu, kiedy miałam siedemnaście lat.

— A nie wtedy, kiedy byłaś taka mała jak ja?

— Nie, wtedy to ja jeździłam do cioci w Sussex. Choć tym razem mieli cały przedział tylko dla siebie,

Mikołaj wolał przebywać na korytarzu, który wydawał mu się bardziej zajmujący. Widać było, jak stał rozkraczony, próbując swoim małym ciałem zrównoważyć kołysanie pociągu.

— Opowiedz mi o tym — ciągnęła dalej Karolinka.

— O Sussex?

— Nie, o Kornwalii.

— Cóż, po prostu pojechałam tam z moją mamą. Zatrzymałyśmy się u Alicji i Toma Lingardów. Akurat skończyłam szkołę, gdy Alicja przysłała nam zaproszenie i moja mama pomyślała, że taki wyjazd dobrze nam zrobi.

— Czy to było w lecie?

— Nie, na wiosnę, około Wielkiej nocy. Kwitły wtedy żonkile, a na nasypach kolejowych było pełno pierwiosnków.

— Czy było wtedy ciepło?

— Nie bardzo, ale w każdym razie słonecznie i cieplej niż w Szkocji. Właściwie w Szkocji nie ma prawdziwej wiosny. Dziś jeszcze jest zima, a jutro wszystkie drzewa są zielone i od razu robi się lato. A tu, w Kornwalii, wiosna trwa bardzo długo. Pewnie dlatego hodują tu tyle pięknych kwiatów, które później sprzedaje się w Co vent Garden.

— A pływałaś?

— Nie, woda morska była jeszcze lodowata.

— A basen cioci Alicji?

— Wtedy nie miała jeszcze basenu.

— A teraz będziemy pływać w jej basenie?

— Na pewno.

— A w morzu?

— Też będziemy, tu są bardzo ładne plaże.

— Ale ja nie umiem dobrze pływać.

— W morzu jest dużo łatwiej, bo sól pomaga utrzymać się na wodzie.

— A fale nie pryskają na buzię?

— Trochę tak, ale na tym polega cała przyjemność.

Karolinka rozważyła ten problem. Raczej nie chciała mieć mokrej twarzy. Bez okularów widziała wszystko zamazane, a w okularach nie mogłaby pływać.

— I co jeszcze tam robiliście?

— Wyjeżdżałyśmy samochodem za miasto albo po zakupy. Jeśli było ciepło, siedziałyśmy w ogrodzie. Alicja często zapraszała gości na podwieczorek lub kolację. Czasem chodziłam też na spacer. Tu są piękne tereny. Można chodzić wysoko na wzgórze albo w dół do Porthkerris. Uliczki są tam strome i wąskie, tak wąskie, że samochód ledwo się mieści. Wszędzie kręcą się koty, a w porcie są łodzie rybackie i starsi ludzie wygrzewają się na słońcu. Kiedy jest przypływ, łodzie podskakują na

wysokiej fali, a kiedy przyjdzie odpływ, widać złoty piasek i łodzie kładą się na bok.

— Ale nie rozbijają się?

— Nie przypuszczam.

— A dlaczego?

— Nie mam pojęcia — zakończyła Wirginia.

* * *

Podczas tamtego pobytu zdarzył się jeden szczególny dzień — słoneczny i wietrzny dzień kwietniowy. Było to akurat szczytowe stadium przyptywu. Wirginia czuła napływający od morza zapach soli, zmieszany z wonią smoły i świeżej farby.

Przybierająca w basenie portowym woda wydawała się gładka jak szkło, przejrzysta i głęboka. Natomiast otwarte morze wzdymało się białymi grzywami fal, które gromadziły się szczególnie u stóp latarni morskiej, wzbijając słupy piany prawie tak wysokie jak sama latarnia.

Od tamtego pikniku w Lanyon upłynął już tydzień. Tego dnia Wirginia musiała zostać sama. Alicja pojechała do Penzance na zebranie jakiegoś komitetu, a Tom przebywał w Plymouth. Kucharka, pani Jilkes, wzięła sobie wolne popołudnie i wykorzystała je na odwiedzin u kuzynostwa, zaś pani Parsons miała zamówioną wizytę u fryzjera.

— Będziesz musiała sama zająć się sobą — zakomunikowała Wirginii w czasie lunchu.

— Nie ma sprawy.

— Co będziesz robiła?

— Nie wiem. Coś wymyślę.

Puste godziny popołudnia w pustym domu można było spędzić na wiele sposobów. Jednak szkoda było tak pięknego dnia, toteż Wirginia po prostu poszła spacerkiem przed siebie, wąską ścieżką w stronę klifu, potem wzdłuż klifu, aż do białego półksiężyca plaży. W lecie byłoby tu pełno barwnych namiotów, budek z lodami i hałaśliwych urlopowiczów z piłkami plażowymi i parasolkami. Natomiast w kwietniu nie było jeszcze nikogo, toteż widać było czysty piasek, wymyty przez zimowe sztormy, na którym ślady stóp pozostawiały jasny i wyraźny szlak.

Na końcu plaża przechodziła w wąską ścieżkę, która pięła się w górę, aby wkrótce zginąć w labiryncie wąskich uliczek, które wiły się pomiędzy starymi, wypełzłymi od słońca domkami. Wirginia szła ciągami kamiennych schodków przechodzących nieoczekiwanie w zaułki, aż w końcu znalazła się

na samym skraju portu. W oślepiającym blasku słońca widać było kolorowe łodzie i pawiozieloną taflę wody. Mewy z piskiem krążyły nad jej głową, a ich skrzydła na tle nieba przypominały białe żagle. Wszędzie panował ruch i krzątanie — robiono wiosenne porządki. Bielono frontowe ściany sklepów, myto okna, zwijano liny, szorowano pokłady i naprawiano sieci.

Na skraju mola jakiś optymistyczny łodziarz ustawił swój wózek, biało lakierowany i opatrzony zachęcającym szyldem: „Fred Hoskings. Prawdziwe kornwalijskie lody domowego wyrobu”. Wirginia nagle nabrała szalonej ochoty na lody i żałowała, że nie zabrała z sobą pieniędzy. W tak piękny dzień siedzenie w blasku słońca i lizanie lodów wydało się jej szczytem rozkoszy. Im więcej o tym myślała, tym bardziej tego pragnęła, ale jak na złość, mimo dokładnego przeszukania wszystkich kieszeni, nie znalazła ani półpensówki.

Niepocieszona usiadła na pachołku cumowym i zaczęła obserwować pokład łodzi rybackiej, gdzie młody chłopak w roboczym kitlu z plamami soli parzył właśnie herbatę na maszynie spirytusowej. Starła się nie myśleć o lodach, gdy wtem, jakby w odpowiedzi na jej modlitwę, jakiś głos za nią wymówił: „Cześć!”

Wirginia rozejrzała się, odgarniając z twarzy długie, ciemne włosy i zobaczyła go, jak zgięty opierał się wiatrowi, trzymając pod pachą jakąś paczkę. Miał na sobie niebieski sweter z zapięciem polo, w którym wyglądał jak marynarz. To był Eustace Philips.

Wstała i powiedziała:

— Cześć!

— Myślałem, że to ty, ale nie byłem pewien. Teraz już wiem. Co tu robisz?

— Nic. To znaczy, wyszłam sobie na spacer i zatrzymałam się, aby popatrzeć na łodzie.

— Piękny dzień mamy dzisiaj.

— Owszem.

Jego niebieskie oczy błyszczały wesoło.

— A gdzie jest Alicja Lingard?

— Pojechała do Penzance na jakieś zebranie.

— Więc jesteś sama?

— Tak.

Była tego dnia ubrana w niebieskie tenisówki, także dzinsy i biały sweter robiony ścięciem warkoczowym. Żywiła przy tym przekonanie, że taki strój, jak i nieumiejętność prowadzenia pustej rozmowy świadczą o jej naiwności.

Rzuciła okiem na trzymaną przez niego paczkę.

— A ty co tu robisz?

— Musiałem kupić nową plandekę, bo tę starą zeszłej nocy wiatr porwał na strzępy.

— I pewnie już wracasz?

— Jeszcze nie tak prędko. A ty?

— Ja nie mam nic konkretnego do roboty, po prostu zwiedzam okolicę.

— Nie poznałaś jeszcze miasteczka?

— Jeszcze nigdy nie zaszłam tak daleko jak dziś.

— To chodź, pokażę ci resztę.

Zeszli z mola nie spiesząc się, równym krokiem. Eustace zauważył wózek lodziarza i zatrzymał się na pogawędkę.

— Cześć, Fred!

Lodziarz, w wykrochmalonym białym fartuchu przypominający sędziego w rozgrywkach krykieta, rozciągnął w uśmiechu twarz brązową i pomarszczoną jak orzech włoski.

— Cześć, Eustace. Jak leci?

— Nieźle. A tobie?

— Jakoś się trzymam. Coś rzadko tu zaglądasz. Co słyhać w Lanyon?

— Wszystko w porządku. Masę roboty. — Eustace wsadził głowę do wózka. — Wcześniej otworzyłeś w tym roku. Chyba nie ma jeszcze klientów na lody?

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje! Eustace spojrzał na Wirginię.

— Chcesz loda?

Nie myślała nawet, że ktoś nagle zaproponuje jej właśnie to, czego najbardziej pragnęła.

— Chciałabym bardzo, ale nie mam pieniędzy. Eustace szeroko się uśmiechnął.

— Daj największą porcję — powiedział lodziarzowi i sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni.

Przeszli przez całą przystań brukowanymi uliczkami, których istnienia Wirginia nawet się nie domyślała, przez małe placyki z domkami o żółtych drzwiach i wykuszach okiennych. Mijali podwórka ze sznurami do wieszania bielizny i kamienne schody, na których wygrzewały się i myły koty. W

końcu wyszli na północną plażę owianą wiatrem, gdzie przewalały się malachitowozielone bałwany, rozpylając w powietrzu pianę.

— Kiedy byłem jeszcze chłopcem — opowiadał Eustace, przekrzykując wiatr — lubiłem ślizgać się po falach na desce, którą wujek zrobił mi z drzewa. Teraz do windsurfingu używają już desek z włókna szklanego i trenują przez cały rok, lato czy zima.

— A nie marzną przy tym?

— Noszą specjalne stroje.

Doszli do wału przeciwpowodziowego, w którego załomie stała drewniana ławka. W tym miejscu Eustace zdecydował, że dosyć się już nachodził, toteż usiadł plecami do muru, a twarzą do słońca, wyciągając przed siebie długie nogi.

Wirginia usiadła obok, kończąc resztki olbrzymiej porcji lodów. Obserwował ją przy tej czynności, a kiedy zauważył, że pochłonęła już ostatni kęs i wyciera palce w spodnie, zapytał:

— Smakowało?

Nie zauważyła iskerek uśmiechu w jego oczach i całkiem poważnie odpowiedziała:

— To było pyszne. Powinieneś być też zjeść jednego.

— Jestem już za duży i za stary, żeby chodzić po ulicach liżąc lody.

— Ja chyba nigdy nie będę na to za duża ani za stara.

— Ile masz lat?

— Siedemnaście, prawie osiemnaście.

— Skończyłaś już szkołę?

— Tak, zeszłego lata.

— I co teraz robisz?

— Nic.

— Nie wybierasz się na studia?

Poczuła się mile polechtana, że uważa ją za tak inteligentną osobę.

— Ojej, nie!

— Co więc masz zamiar dalej robić? Wirginia wolałaby, aby o to nie pytał.

— Cóż, przypuszczalnie zimą będę uczęszczać na kurs gotowania, maszynopisania, stenografii czy czegoś równie potwornego. Poza tym moja matka ma fioła na punkcie czynnego udziału w życiu towarzyskim Londynu. Przez całe lato chce chodzić na wszystkie przyjęcia, spotykać się z odpowiednimi osobami, i tak dalej.

— Wyobrażam sobie — podsumował Eustace — że chce zostać „gwiazdą sezonu”.

Ton jego głosu zdradzał, że przykładał do tych spraw równie małą wagę jak ona.

— Nawet nie mów o tym, bo słabo mi się robi na samą myśl.

— Trudno uwierzyć, że w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze przejmuje się takimi rzeczami.

— Wiem, że to brzmi dziwnie, ale są tacy ludzie i moja matka do nich należy. Już była na kilku herbatkach z podobnymi damami i ustaliły datę balu otwierającego sezon. Próbowałam jej to wyperswadować, ale bez skutku. Nie wiem, czy możesz wyobrazić sobie coś gorszego niż debiut na takim balu?

— Nie mogę, ale nie jestem słodką siedemnastolatką! — Wirginia zrobiła do niego minę. — Skoro jednak masz do tego taki stosunek, dlaczego nie postawisz się i nie powiesz matce, że wolałabyś już na przykład pojechać do Australii i z powrotem?

— Próbowałam, ale nie znasz mojej matki. Ona w ogóle nie słucha tego, co mam do powiedzenia, tylko wciąż powtarza, jakie to ważne, aby spotykać właściwych ludzi, bywać na właściwych przyjęciach i obracać się we właściwym towarzystwie.

— A nie próbowałaś przeciągnąć ojca na swoją stronę?

— Nie mam ojca, przynajmniej nigdy go nie widziałam. Moi rodzice rozwiedli się, kiedy byłam całkiem mała.

— Rozumiem. — Po czym dodał, trochę bez przekonania: — No cóż, głowa do góry! Kto wie, może z czasem to polubisz?

— O, na pewno nie.

— Skąd wiesz?

— Bo na przyjęciach jestem do niczego, przy obcych zapominam języka w gębie, szczególnie przy młodych ludziach.

— No, mnie masz całkiem sporo do powiedzenia — wytknął Eustace.

— Bo ty jesteś inny.

— Jak to inny?

— Jesteś starszy. To znaczy, nie jesteś młody...

— Eustace zaczął się śmiać, co speszyło Wirginię. — To znaczy, nie jesteś już bardzo młody, tak jak ci, co mają dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata... — poprawiła się, a ponieważ śmiał się nadal, spytała:

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem. Niedługo kończę dwadzieścia dziewięć.

— Tobie to dobrze, chciałabym już mieć tyle.

— Gdybyś miała te lata — odrzekł Eustace — pewnie dawno by cię tu nie było.

Jakoś szybko ściemniło się i ochłodziło. Wirginia zadrżała, spojrzała w górę i zauważyła, że słońce znikło za dużą chmurą zapowiadającą pogorszenie pogody.

— No tak — podsumował Eustace — najlepszą część dnia mamy już za sobą. Wieczorem będzie padało. — Spojrzał na zegarek. — Dochodzi czwarta. Będę musiał już jechać. Jak chcesz stąd wrócić?

— Pewnie piechotą.

— Może cię podwieźć?

— Jesteś samochodem?

— Zaparkowałem landrovera przy kościele.

— Będzie ci nie po drodze.

— Nie, mogę wracać do Lanyon przez wrzosowiska.

— Skoro tak uważasz...

Podczas drogi powrotnej Wirginia milczała. Było to jednak takie naturalne milczenie wynikające z poczucia komfortu psychicznego, nie zaś z nieśmiałości czy tego, że nie wie się, co powiedzieć. Chyba nigdy nie czuła się tak swobodnie w towarzystwie innego człowieka — a już zwłaszcza mężczyzny, którego znała tak krótko. Jego landrover był już stary, z wytartymi i zakurzonymi siedzeniami. Na podłodze walały się pojedyncze źdźbła słomy, a wewnątrz czuć było słaby zapach obornika. Wirginii wcale to nie przeszkadzało, przeciwnie, spodobało się jej, bo przypominało Penfoldę. Uświadomiła sobie, że tak najbardziej to chciałaby znowu się tam znaleźć. Obejrzeć w świetle dziennym zabudowania gospodarskie, inwentarz i pola. I żeby ktoś ją po tym wszystkim oprowadził, pokazał jej resztę domu i zaprosił na herbatkę w tej tak podziwianej kuchni. I żeby ją tam zaakceptowano!

Wyjechali na wzgórze za miastem, gdzie była kiedyś dzielnica mieszkaniowa, a teraz domy zamieniono w hotele, a ogródki w oszklone werandy lub miejsca do parkowania. Były tam też solaria i palmy, które na tle szarego nieba robiły przygnębiające wrażenie, a także klomby obsadzone żonkilami.

Kiedy szosa stała się bardziej płaska, Eustace zmienił bieg na wyższy i spytał:

— Kiedy wracasz do Londynu?

— Nie wiem, może za jakiś tydzień.

— Chciałabyś przyjechać znów do Penfoldy?

Już drugi raz tego dnia pytał ją o to, czego najbardziej pragnęła. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy on przypadkiem nie jest jasnowidzem.

— O tak, bardzo bym chciała.

— Spodobałaś się bardzo mojej mamie. Rzadko trafia się jej okazja zobaczyć tu nową twarz. Byłoby jej przyjemnie, gdybyś wpadła do niej na herbatkę.

— Chętnie przyjadę.

— A jak dostaniesz się do Lanyon? — spytał, wpatrując się w szosę przed sobą.

— Mogłabym pożyczyć samochód od Alicji. Jestem pewna, że nie odmówi, jeśli ją poproszę. Będę jechać ostrożnie.

— Potrafisz prowadzić?

— A jakże inaczej mogłabym pożyczyć wóz? — zaśmiała się. Nie dlatego, żeby powiedział coś śmiesznego, ale raptem wpadła w bardzo dobry nastrój.

— Wiesz co... — zaproponował Eustace po namyśle. — Porozmawiam z mamą, dowiem się, jaki dzień jej najbardziej odpowiada, i zadzwonię, żeby dać ci znać. Co ty na to?

Już wyobrażała sobie, jak czeka na telefon, odbiera go i słyszy znajomy głos w słuchawce. W duchu gratulowała sobie sukcesu.

— To byłoby świetnie.

— Jaki tam do was jest numer?

— Porthkerris trzysta dwadzieścia pięć.

— Zapamiętam to sobie.

Dojechali już do domu Lingardów. Eustace wjechał landroverem przez białą bramę i z rykiem silnika wdarł się na podjazd pomiędzy żywopłotami.

— Jesteśmy na miejscu! — Zatrzymał wóz z piskiem hamulców i bryzgami żwiru. — Dotarłaś bezpiecznie do domu akurat na podwieczorek.

— Dziękuję ci bardzo.

Uśmiechnął się pochylony nad kierownicą.

— Nie ma za co!

— No, za lody i w ogóle za wszystko...

— Cała przyjemność po mojej stronie. Przechylił się poprzez siedzenie i otworzył jej drzwiczki.

Wirginia wyskoczyła na zwirowaną ścieżkę i w tym samym momencie we frontowych drzwiach pojawiła się pani Parsons w malinowym wełnianym kostiumiku i białej jedwabnej bluzce.

— Wirginio!

Aż odskoczyła. Matka wyszła im naprzeciw, jak zawsze elegancka, choć jej krótkie, ciemne włosy bezładnie powiewały na wietrze, najwyraźniej nie tknięte ręką fachowca.

— O, mama!

— Skąd wracasz? — Jej uśmiech oznaczał przyjazne zainteresowanie.

— Myślałam, że jesteś u fryzjera.

— Niestety, ta panienka, która zawsze mnie czesała, zachorowała, a ta, którą mi zaproponowali w zamian, zwykle tylko zamiata zakład, więc pięknie podziękowałam.

— Wciąż uśmiechnięta, patrzyła ponad Wirginią tam, gdzie czekał Eustace. — A kim jest ten pan?

— To Eustace Philips.

Teraz i on zdecydował się wyjść z wozu. Obszedł samochód naokoło i postąpił parę kroków do przodu, aby się przedstawić. Wirginia, wbrew sobie, spróbowała zobaczyć go oczyma swojej matki: szerokie bary pod marynarskim swetrem, ogorzała twarz i silne, spracowane ręce...

Pani Parsons łaskawie raczyła zbliżyć się do niego.

— Witam pana!

— Dzień dobry! — odpowiedział Eustace, wytrzymując bez mrugnięcia jej spojrzenie.

Jej wyciągnięta dłoń była już w połowie drogi do niego, lecz albo jej nie zauważył, albo rozmyślnie zignorował. Pani Parsons cofnęła rękę i od tego momentu przybrała ton nieco chłodniejszy.

— Gdzieście się z Wirginią spotkali? — To pytanie wydawało się niegroźne, wręcz żartobliwe.

— Mieszkam w Lanyon, na farmie Penfolda — odpowiedział Eustace, stojąc z założonymi rękami przy samochodzie.

— Ach, więc na tym pikniku, słyszałam o tym. Jak to przyjemnie, że mogliście znów się spotkać.

— Przypadkowo — zaznaczył z naciskiem Eustace.

— To nawet jeszcze zabawniej! — uśmiechnęła się.

— Zostanie pan na podwieczorku, panie Philips?

Eustace potrząsnął przecząco głową, nie spuszczać wzroku z pani Parsons. — Mam siedemdziesiąt krów, które trzeba wydoić. Muszę już jechać.

— Oczywiście, nie chciałabym odrywać pana od pracy! — wypowiedziała to z uśmiechem, lecz tonem dziedziczki odprawiającej ogrodnika.

— Nie dałaby pani rady — odparował Eustace i poszedł do samochodu. — Do widzenia, Wirginio!

— Do widzenia! — wyszeptała słabym głosem Wirginia. — Dziękuję za podwiezienie.

— Zadzwoń w którymś dniu.

— O tak, proszę!

Kiwnął jej głową na pożegnanie, włączył silnik, wrzucił bieg i nie patrząc wstecz wyprysnął na podjazd, po czym znikł z pola widzenia, zostawiając za sobą tuman kurzu.

— No i dobrze! — podsumowała pani Parsons ze śmiechem, chociaż widać było, że jest rozdrażniona.

Wirginia nic nie powiedziała, bo właściwie nie było o czym mówić.

— Cóż za prostolinijny młody człowiek! Można tu spotkać takie różne typy ludzkie... A po cóż to on ma do ciebie dzwonić?

Z tonu jej głosu wynikało, że Eustace Philips jest częścią dobrego kawału, w którym uczestniczą wraz z Wirginią.

— Myślał, że może przyjechałabym do Lanyon, aby odwiedzić jego matkę.

— Coś nadzwyczajnego! Całkiem jak z brukowego romansu!

Spadły pierwsze krople deszczu. Pani Parsons spojrzała na zachmurzone niebo i aż się zatrzęsała.

— Po co my jeszcze stoimy na tym wietrze? Chodźmy do środka, herbata stygnie.

Wirginia nie wzięła poważnie tych jej dreszczy, ale następnego dnia okazało się, że matka źle się czuje. Uskarżała się na przeziębienie i rozstrój żołądka, toteż postanowiła nie wychodzić z domu. Ponieważ pogoda była rzeczywiście fatalna, nikt się temu nie dziwił. Alicja rozpałała suty ogień w kominku i pani Parsons położyła się przy nim na kanapie, przykrywając nogi lekkim moherowym pledem.

— Tu mi będzie bardzo dobrze — oświadczyła Wirginii. — Wy z Alicją jedźcie i nie przejmujcie się mną.

— Dokąd to mamy jechać?

— Do Falmouth, na lunch w majątku Pendrane.

— A widząc osłupiałe spojrzenie Wirginii, dodała szybko:

— Nie rób takich min, kochanie. Pani Menheniot zapraszała nas już dawno temu. Koniecznie chciałyby pokazać nam swój ogród.

— Nikt mi nic o tym nie mówił — wymawiała się Wirginia, wcale nie chcąc tam jechać. Droga do Falmouth i z powrotem, lunch i nudne oglądanie ogrodu zajęłoby cały dzień, podczas gdy ona wołała siedzieć w domu i czekać na telefon od Eustace'a.

— No więc teraz ci mówię. Musisz się przebrać, nie możesz przecież iść na lunch w dżinsach. Możesz włożyć tę śliczną niebieską bluzkę, którą ci kupiłam, i szkocką spódniczkę. Pani Menheniot z pewnością będzie nią zachwycona.

Gdyby matka była innym człowiekiem, Wirginia poprosiłaby ją o odebranie telefonu i przekazanie wiadomości. Jednak Eustace nie spodobał się matce. Uznała, że jest źle wychowanym prostakiem, a porównanie z brukowym romanssem potwierdziło tylko tę dezaprobatę. Odkąd odjechał, nikt nawet nie wspomniał jego imienia. Kiedy Wirginia przy kolacji kilka razy próbowała opowiedzieć Lingardom o swoim przypadkowym spotkaniu, matka za każdym razem wtrącała się do rozmowy, kierując ją na inne tory. Przebierając się, Wirginia rozmyślała, co ma teraz zrobić.

Kiedy w końcu założyła szkocką spódniczkę i kanarkowożółty sweter, a ciemne włosy wyszczotkowała do połysku, zeszła do kuchni i odszukała panią Jilkes. Od niedawna przyjaźniły się ze sobą. Któregoś deszczowego popołudnia kucharka nauczyła Wirginię piec bułeczki, racząc ją przy tym dużą porcją informacji na temat zdrowia i kondycji swojej licznej rodziny.

— Jak się masz, Wirginio!

Wykładała właśnie ciasto z formy. Wirginia odruchowo spróbowała kawałek.

— Ej, nie objadaj się teraz, bo zabraknie ci miejsca na lunch!

— Wolałabym tam nie jechać. Pani Jilkes, czy gdyby był do mnie jakiś telefon, odebrałaby go pani?

Pani Jilkes zrobiła niewinną minkę, przewracając oczyma.

— O, czekasz na telefon? Pewnie od jakiegoś kawalera! Wirginia spłonęła rumieńcem.

— Tak, rzeczywiście. Ale będzie pani uważać, czy nie dzwoni?

— Nic się nie bój, kochanie. Oho, pani Lingard woła... musicie już jechać! Tymczasem zajmę się twoją mamusią i zaniosę jej lunch do łóżka.

Zanim wróciły do domu, było już wpół do szóstej. Alicja skierowała się od razu do salonu, aby sprawdzić, jak się czuje Rowena Parsons, i zdać jej sprawę ze wszystkiego, co działo się podczas wizyty. Wirginia szła już w stronę schodów, ponieważ jednak drzwi od salonu były akurat zamknięte, przemknęła przez korytarz do kuchni.

— Pani Jilkes!

— O, już jesteś?

— Był jakiś telefon?

— A były ze dwa lub trzy, ale twoja mamusia odebrała.

— Jak mama mogła odebrać?

— Kazała przełączyć aparat do salonu. Spytaj jej, może ma dla ciebie jakąś wiadomość.

Wirginia wróciła do salonu i ponad głową Alicji napotkała wzrokiem chłodne spojrzenie matki. Ale zaraz pani Parsons przybrała miły wyraz twarzy.

— Słyszałam już wszystko, kochanie. Przyjemnie było?

— Było całkiem w porządku. — Chciała dać matce czas, aby mogła powiedzieć jej o telefonie.

— Całkiem w porządku? Tylko tyle? Mam nadzieję, że siostrzeniec pani Menheniot był w domu.

— Tak, był.

Wirginia ledwo mogła przypomnieć sobie bezbarwną postać młodego człowieka z cofniętym podbródkiem. Może Eustace zadzwoni jutro. Nie mógł dzwonić dzisiaj. Przecież Wirginia знаła swoją matkę i wiedziała, że przykłada ona dużą wagę do zobowiązań towarzyskich, takich jak przekazywanie odebranych przez telefon wiadomości, choćby były jej nie w smak. Matki muszą już być takie. Przecież gdyby same nie stosowały się do wzorców, które zalecały swoim dzieciom, straciłyby ich zaufanie. No, a bez zaufania nie byłoby uczucia, a gdyby nie było uczucia, to już by nic nie zostało...

Następnego dnia padało. Przez całe przedpołudnie Wirginia siedziała przy kominku w hallu, udając, że czyta książkę, i na każdy dzwonek telefonu pędziła, aby go odebrać. Ale żaden telefon nie był do niej ani nie był od Eustace'a.

Po lunchu matka wysłała ją do Porthkerris, aby zrealizowała dla niej receptę w aptece. Wirginii nie bardzo chciało się iść.

— Przecież leje! — wymawiała się.

— Mały deszczyk ci nie zaszkodzi. Raczej dobrze ci zrobi, jeśli trochę się przelecisz, zamiast cały dzień siedzieć w domu nad tą głupią książką.

— Ona wcale nie jest głupia!

— Wszystko jedno, w każdym razie nic, tylko siedzisz i czytasz. Jeśli założysz nieprzemakalny płaszcz i kalosze, to nawet nie poczujesz deszczu.

Nie miało sensu dalej się spierać. Wirginia ze zrezygnowaną miną poszła szukać płaszcza od deszczu. Przemykając się po ciemnych i mokrych chodnikach, między ociekającymi wodą drzewami, próbowała pogodzić się z ewentualnością, że Eustace może już nigdy nie zadzwonić.

Oczywiście obiecał, że zadzwoni, ale zależało to też od tego, co powie jego matka, kiedy będzie miała czas i kiedy Wirginia będzie mogła pożyczyć samochód, aby przyjechać do Lanyon.

Może pani Philips zmieniła zdanie? Może powiedziała synowi: „Oj, Eustace, nie mam czasu na przyjmowanie gości, po co ją tu zapraszałeś?”

A może Eustace zmienił zdanie o Wirginii, kiedy zobaczył jej matkę? Mówi się przecież, że jeśli się chce sprawdzić, jaka z dziewczyny będzie żona, wystarczy spojrzeć na jej matkę. Możliwe więc, że właśnie spojrzął i nie podobało mu się to, co zobaczył. Przypomniała sobie, jak mierzyli się nawzajem wzrokiem, i tę ich chłodną wymianę zdań: „Nie chciałabym odrywać pana od pracy” — i: „Nie dałaby pani rady”.

Mógł także zapomnieć, że miał zadzwonić. Mógł się po prostu rozmyślić. Albo też, co było najbardziej przerażające, Wirginia źle zrozumiała jego przyjazne zachowanie. Zwierzyła mu się ze swoich problemów, co wzbudziło w nim współczucie, i tyle. Po prostu było mu jej żal.

Ale przecież powiedział, że zadzwoni!

Wykupiła w aptece receptę i zawróciła w stronę domu. Wciąż padało. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się akurat budka telefoniczna i nawet nikogo w niej nie było.

To takie proste, odszukać jego numer i zadzwonić. W portmonetce miała drobne na automat. Mogłaby powiedzieć: „Cześć, tu Wirginia” — i podrażnić go trochę: „Podobno miałeś zamiar zadzwonić do mnie?”

Już prawie przeszła na drugą stronę. Jednak na samym krawężniku zawahała się, próbując zebrać się na odwagę i wykazać inicjatywę w sytuacji, która ją przerastała.

Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby taka rozmowa. „Eustace? Tak. Tu Wirginia. Jaka Wirginia? Wirginia Parsons. Ach, tak, Wirginia Parsons. Czym mogę służyć?”

W tym momencie odwaga ją opuściła, toteż Wirginia nie przeszła na drugą stronę ulicy, nie weszła do budki, tylko szła dalej pod górę, z kroplami deszczu na twarzy i lekarstwem dla matki w kieszeni płaszcza.

Kiedy wchodziła już do domu, usłyszała dzwonek telefonu. Zanim jednak zdjęła kalosze, dzwonienie już ustało. W momencie kiedy wpadła do salonu, jej matka odkładała właśnie słuchawkę. Ze zdziwieniem podniosła brwi, patrząc na zdyszana córkę.

— Stało się coś?

— Myślałam... myślałam, że to do mnie.

— Nie, to była pomyłka. Przyniosłaś mi lekarstwo, kochanie?

— Tak — mruknęła ponuro Wirginia.

— To ładnie z twojej strony. I widzę, że ten spacer dobrze ci zrobił, bo już dostałaś rumieńców.

Nazajutrz pani Parsons ni z tego, ni z owego oświadczyła, że muszą wracać do Londynu. Alicję mocno to zdziwiło.

— Ależ Roweno, sądziłam, że zostanieie jeszcze przynajmniej przez tydzień.

— Chciałybyśmy bardzo, kochanie, ale sama wiesz, jakie pracowite lato przed nami, ile spraw do załatwienia i dopilnowania. Nie przypuszczam, abyśmy mogły siedzieć tu jeszcze tydzień, choć naprawdę bardzo bym chciała.

— Zostańcie choć przez weekend!

„O, tak! — modliła się Wirginia — żebyśmy zostały choć przez weekend!” Jednak nic z tego nie wyszło.

— Naprawdę bardzo bym chciała, ale obawiam się, że musimy jechać najpóźniej w piątek. Trzeba będzie zarezerwować miejsca w pociągu.

— No cóż, przykro mi, ale jeśli mówisz serio...

— Mówię serio, kochanie.

„Boże, daj, żeby on pamiętał. Żeby zadzwonił! Nie będzie już czasu pojechać do Penfoldy, ale przynajmniej byśmy się pożegnali. Wiem, że jemu o to chodziło... może mogłabym obiecać mu, że do niego napiszę, dać mu swój adres...”

— Kochanie, chciałabym, żebyś już się spakowała. — To matka. — Uważaj, żebyś czegoś nie zapomniała, bo biedna Alicja miałaby dodatkowy kłopot. Czy pamiętałaś o zapakowaniu płaszcza od deszczu?

„Na pewno zadzwoni dziś wieczorem i powie, że bardzo mu przykro, ale musiał wyjechać i nie miał ani chwili czasu albo że był chory...”

— Wirginio, wpisz się do księgi pamiątkowej. O, tu, pod moim nazwiskiem. Alicjo, kochanie, dzięki tobie miałyśmy tu tak wspaniały wypoczynek! Świetnieśmy się bawiły, prawda, Wirginio? Aż ciężko nam stąd wyjeżdżać.

Nadeszła pora odjazdu. Alicja podwiozła obie panie na stację i usadowiła je na zarezerwowanych miejscach w przedziale pierwszej klasy. Bagażowy giął się w ukłonach na widok drogich walizek pani Parsons.

— Przyjedźcie niedługo znowu! — prosiła Alicja, kiedy Wirginia wychyliła się z okna, żeby pocałować ją na pożegnanie.

— O, tak.

— Bardzo nam było miło z wami.

Teraz była jeszcze szansa, aby szepnąć Alicji: „Przełącz Eustace'owi, że musiałam wyjechać. Pożegnaj go ode mnie!” Niestety, w tym momencie, wraz z przeraźliwym gwizdem lokomotywy, pociąg ruszył. Nie zdążyła dorzucić: „Zadzwoń do niego, kiedy wrócisz do domu...”

— Do widzenia, Wirginio!

„I przełącz mu, że go kocham” — dokończyła w myślach. Ale na wysokości Truro nie mogła już ukryć smutku. Nawet jej matka nie mogła dłużej ignorować westchnień, chlipania, a w końcu łez.

— O co chodzi, kochanie? — spytała, odkładając gazetę.

— Nic takiego. — Wirginia, zapuchnięta od płaczu, niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w okno.

— Niemożliwe, musi być coś na rzeczy. — Łagodnym ruchem położyła rękę na kolanie Wirginii. — Czy idzie o tego młodego człowieka?

— Jakiego młodego człowieka?

— Czy to ten facet z landroverem, Eustace Philips, złamał ci serce?

Wirginia tylko płakała zamiast odpowiedzi. Matka ciągnęła dalej łagodnym, uspokajającym tonem.

— To jeszcze nie takie nieszczęście. Tobie pewnie zdarza się po raz pierwszy, że mężczyzna cię zranił, ale zapewniam cię, że nie po raz ostatni. Mężczyźni są strasznymi egoistami.

— Eustace nie był taki.

— Ejże?

— On był miły. Był jedynym mężczyzną, który do tej pory naprawdę mi się podobał. — Energicznie wysiąkała nos i spojrzała na matkę badawczo.
— Ale tobie się nie podobał, prawda?

Pani Parsons przez chwilę była zaskoczona takim frontalnym atakiem.

— No... powiedzmy, że nigdy nie przepadałam za ludźmi tego typu.

— To znaczy, że nie podobało ci się, że jest rolnikiem?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale to miałaś na myśli. Ty lubisz tylko takich mydłków jak siostrzeniec pani Menheniot.

— W życiu nie widziałam siostrzeńca pani Menheniot.

— Ale gdybyś go zobaczyła, na pewno by ci się spodobał.

Pani Parsons nie odpowiedziała od razu. Po krótkiej przerwie znów zaczęła mówić:

— Zapomnij o nim, Wirginio. Każda dziewczyna musi przynajmniej raz nieszczęśliwie się zakochać, zanim pozna odpowiedniego mężczyznę i wyjdzie za mąż. A tego lata czeka nas tyle atrakcji, że szkoda byłoby psuć je tęsknotą za czymś, co przypuszczalnie nigdy nie istniało.

— Dobrze! — zgodziła się Wirginia, potulnie otarła oczy i schowała zgniecioną chusteczkę do kieszeni.

— O, tak, grzeczna dziewczynka. No już, dosyć tych łez! — Pani Parsons uznała, że załagodziła sytuację i chciała znów zabrać się do lektury gazety. Coś jednak nie pozwalało jej się skupić. Gdy odłożyła gazetę, stwierdziła, że Wirginia wpatruje się w nią z takim wyrazem ciemnych oczu, jakiego nigdy przedtem nie widziała.

— Co jeszcze?

— On obiecał, że do mnie zadzwoni! — wyrzuciła z siebie Wirginia.

— I co z tego?

— Wiem, że ci się nie podobał. Czy nie zdarzyło się tak, że on zadzwonił, a ty nie powiedziałaś mi o tym?

— Ależ kochanie, cóż to za oskarżenie! — wykrzyknęła bez wahania jej matka. — Skądże znowu! Chyba nie myślisz tego serio?

— Och, nie, nie miałam tego na myśli — wystękała smętnie Wirginia, gdyż po tych słowach zgasła ostatnia iskierka jej nadziei.

Odwróciła się do okna, opierając czoło o zamazaną szybę, i patrzyła, jak mijany krajobraz ucieka wraz z tym, co się wydarzyło.

* * *

Wszystko to miało miejsce w kwietniu. Natomiast w maju Wirginia spotkała swoją dawną koleżankę szkolną, która zaprosiła ją na weekend do swojego domu na wsi.

— Świetnie się składa, bo to akurat moje urodziny. Mama pozwoliła mi zaprosić, kogo zechcę. Pewnie będziesz musiała spać na poddaszu, ale chyba ci to nie przeszkadza? Nasza rodzina to straszni bałaganiarze.

Wirginia przyjęła zaproszenie. Była tylko ciekawa szczegółów.

— Jak mam się tam dostać?

— Teoretycznie mogłabyś pojechać pociągiem i ktoś mógłby wyjść po ciebie na stację, ale to byłoby strasznie nudne. Mam lepszy pomysł: mój kuzyn chyba też pojedzie, a on ma samochód i pewnie mnie zawiezie. Muszę spytać go, czy miałby miejsce także i dla ciebie. Musiałabyś wtedy siedzieć w części bagażowej albo na drażku zmiany biegów, ale wszystko jest lepsze niż tłoczenie się na dworcu Waterloo.

Dziwne, ale udało jej się wszystko załatwić tak, jak mówiła. Samochód okazał się ciemnoniebieskim dwuosobowym mercedesem, więc bagaż Wirginii wrzucono do przeładowanego i tak bagażnika, a jej zaproponowano wciśnięcie się z przodu „na trzeciego” między koleżankę a jej kuzyna. Był to wysoki, długonogi blondyn w szarym garniturze, z kędziorami wymykającymi się spod zadartego randa miękkiego, filcowego kapelusza.

Nazywał się Anthony Keile.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Wirginia wysiadła z pociągu w Penzance, była zmęczona podróżą, a w perspektywie miała jeszcze problemy związane z Bosithick. Mimo to zaczerpnęła głęboki haust morskiego powietrza i cieszyła się, że jest już z powrotem.

Była akurat pora odpływu i wszędzie pachniało wodorostami. Po przeciwnej stronie zatoki widać było wyzłocony zachodzącym słońcem szczyt Góry Świętego Michała. W strumykach i kałużach utworzonych z wody morskiej odbijał się błękit nieba.

Na szczęście znalazł się bagażowy. Kiedy w ślad za jego wózkiem wychodzili z dworca kolejowego, Mikołaj spytał:

— Czy to tu mamy zostać?

— Nie, jedziemy dalej do Lanyon.

— Czym jedziemy?

— Już wam mówiłam, że zostawiliśmy tutaj samochód.

— A skąd wiesz, że go nam nikt nie ukradł?

— Stąd, że właśnie go widzę, jak stoi i czeka na nas. Przełożenie wszystkich pakunków do bagażnika triumpha zabrało trochę czasu. W końcu jednak wszystko zostało poukładane, a pudło z zakupami znalazło się na samym wierzchu. Wirginia zapłaciła bagażowemu i ruszyli, wszyscy w trójkę na przednich siedzeniach. Karolinę wzięli w środek, a od strony Mikołaja dokładnie zamknięto drzwi.

Wirginia opuściła dach samochodu i zawiązała sobie chustkę na głowie, ale Karolinie wiatr nawiewał włosy na twarz.

— Długo jeszcze będziemy jechać?

— Nie, najwyżej pół godziny.

— Jak ten dom wygląda?

— Poczekaj, a sam zobaczysz.

Na szczycie wzgórza zatrzymała na chwilę samochód, aby dzieci mogły podziwiać widoki. Z góry widać było ciche i błękitne wody zatoki. Wokół rozciągała się szachownica pól, a w rowach przydrożnych niebiesciła się dzika driakiew. Jadąc dalej natrafili na małą, porośniętą starymi dębami dolinkę, po dnie której wił się strumyk. Nad nim wznosił się mostek, nieco dalej stał stary młyn, a za nim rozciągała się wioska. Potem szosa biegła przez wrzosowiska, aż w końcu przed nimi pojawiła się linia horyzontu z połyskującą w słońcu taflą Atlantyku od strony zachodniej.

— A ja myślałem, że morze zostało za nami — stwierdził ze zdziwieniem Mikołaj. — Czy to jest jakieś inne morze?

— Chyba tak.

— A czy to będzie nasze morze, w którym będziemy mogli się kąpać?

— Mam nadzieję.

— I będziemy mieli plażę?

— Nie miałam czasu się rozejrzeć, ale na pewno są tam strome wybrzeża.

— Ja chcę, żebyśmy mieli swoją plażę! Żeby tam był piasek, i musisz kupić mi wiaderko i łopatkę!

— Wszystko w swoim czasie — uspokoiła go Wirginia. — Nie można robić kilku rzeczy naraz.

— Ale ja chcę, żebyś kupiła mi wiaderko i łopatkę jutro!

Wjechali już na główną szosę, cały czas trzymając się linii brzegu. Minęli wioskę Lanyon i drogę prowadzącą do Penfoldy, potem wjechali kawałek pod górę, aż natrafili na kępę przygiętych krzewów głogu, które wskazywały zakręt do Bosithick.

— Jesteśmy ma miejscu.

— Przecież tu nie ma żadnego domu!

— Zaraz go zobaczycie.

Podskakując i zgrzytając samochód zjeżdżał w dół wyboistą uliczką. Z obu stron zwierzały się za nim ściany ostrokrzewów, toteż Karolinka zaniepokoiła się o pudło z zakupami i wyciągnęła rękę w tył, aby je przytrzymać. Wóz zakołysał się na ostatnim zakręcie, pod ostrym kątem wjechał na splechetek darni i zahamował z piskiem. Wirginia zaciągnęła hamulec ręczny i wyłączyła silnik. Dzieci wyglądały z samochodu w kierunku domu.

W Penzance było ciepło, mglisto i bezwietrznie. Tu natomiast czuło się chłód i cichy jęk wiatru. Powiew poruszał zerwaną linką do wieszania bielizny i przyginał wysoką trawę jak przyglądane ręką futro.

To jednak nie było. wszystko. W powietrzu wisiało coś dziwnego, coś było „nie tak”. Przez chwilę Wirginia rozglądała się, próbując odgadnąć, co to takiego. Pomogła jej Karolinka.

— Z komina leci dym! — zauważyła.

Wirginia, poczuła, jak dreszczyk niepokoju przebiega jej wzdłuż kręgosłupa. Było tak, jakby zniecka zaskoczyli tu jakieś nieznane istoty, które zamieszkiwały ten dom.

— Czy coś jest nie w porządku? — spytała Karolinka, wyczuwając jej niepokój.

— Ależ skąd — odparła ze sztuczną wesołością. — Tylko tak trochę dziwnie. Trzeba pójść tam i sprawdzić, co to jest.

Wysiedli z wozu, na razie zostawiając w nim rzeczy. Wirginia otworzyła bramę i odsunęła się na bok, przepuszczając dzieci, zanim nie namacała w torebce kółka z kluczami.

Dzieci pobiegły naprzód. Mikołaj musiał od razu zbadać, co kryje się za najdalszym rogiem domu. Natomiast Karolinka stąpała ostrożnie, jakby wkraczając na zakazany teren. Ominęła jakąś starą szmatę i połamaną doniczkę, trzymając ręce sztywno przy sobie, aby nie musieć niczego dotykać.

Drzwi od frontu otwierali wszyscy razem. Gdy ustąpiły, Karolinka nieśmiało spytała:

— Czy myślisz, że to mogą być Cyganie?

— Gdzie Cyganie?

— No, ci, którzy rozpalili ten ogień.

— Zaraz zobaczymy...

Okazało się, że od czasu jej ostatniej bytności ustąpił zapach wilgoci i myszy. Powietrze zrobiło się teraz świeże i ciepłe, a kiedy weszli do saloniku, było w nim jasno od ognia płonącego na kominku. Zmieniło to od razu charakter domu. Przestał być teraz ponury i przygnębiający, a stał się żywy i pogodny. Gdzieś znikł brzydki elektryczny piecyk, natomiast pojawił się duży trzcinowy koszyk wypełniony polanami.

Płonący na kominku ogień i resztki zachodzącego słońca sprawiły, że w pokoju było bardzo ciepło. Wirginia poszła otworzyć okno i przy tej okazji, przez otwarte drzwi kuchni, zauważyła, że na stole stoi miska pełna jajek w brązowych skorupkach i biały emaliowany rondel z mlekiem. Kiedy weszła do kuchni, zrobiła wielkie oczy, gdyż zlew okazał się wyszorowany do połysku, a firanki uprane. Ktoś musiał być tu wcześniej i zrobić porządek.

Karolinka wśliznęła się ostrożnie za matką.

— Chyba to krasnoludki! — wyszeptała.

— To nie krasnoludki — odparła ze śmiechem Wirginia. — To na pewno Alicja!

— Ciocia Alicja Lingard?

— Tak. Prawda, że ona jest kochana? Udawała, że nie podoba się jej nasz wyjazd do Bosithick, a potem po cichu przyjechała i zrobiła nam

niespodziankę. To bardzo w jej stylu, ona zawsze jest taka miła. Jutro pojedziemy jej podziękować. Zadzwoiłabym nawet zaraz, ale tu nie ma telefonu.

— Bardzo dobrze, bo nie cierpię telefonów. A kiedy tam pojedziemy, będę mogła ją zobaczyć? I chciałabym też zobaczyć ten basen!

— Jeśli zabierzesz kostium kąpielowy, będziesz mogła popływać.

Karolinka w milczeniu wpatrywała się w matkę i Wirginia pomyślała, że dziewczynka marzy już o pływaniu. Zdziwiła się więc, gdy mała spytała nagle:

— A którądy ona tutaj weszła?

— Kto?

— Ciocia Alicja. Przecież my mamy klucze.

— Przypuszczam, że poprosiła pana Williamsa o zapasowy klucz. No więc co robimy najpierw?

W drzwiach pojawił się Mikołaj.

— Chcę obejść cały dom naokoło, a potem napić się herbaty. Jestem głodny.

— Weź ze sobą Karolinę.

— Mamo, ja chcę zostać z tobą! — zaprotestowała dziewczynka.

— Nie, kochanie! — Wirginia lekko ją popchnęła. — Obejrzyjcie cały dom i powiedzcie mi, co o nim sądzicie. Idę o zakład, że uznacie go za najzabawniejszy dom, jaki kiedykolwiek widzieliście w życiu. Ja tymczasem nastawię wodę i ugotujemy sobie kilka jajek. Potem przyniesiemy wszystko z samochodu, rozpakujemy się i pościelimy łóżka.

— A one jeszcze nie są zaścielone?

— Nie, musimy zrobić wszystko sami. Tutaj nikt nie robi niczego za nas.

W ciągu wieczoru jakoś udało się z grubsza doprowadzić wszystko do porządku. Dużo czasu zajęło jednak odnalezienie bieliźniarki, kontaktu do włączania bojlera i podjęcie decyzji, kto ma spać w którym łóżku. Na kolację Mikołaj zażyczył sobie duszonej fasolki z grzankami. Ponieważ jednak nie dało się znaleźć opiekacza, a ruszt w kuchence bardzo silnie się nagrzewał, musiał zadowolić się duszoną fasolką z chlebem. Wirginia znalazła kawałek papieru i ołówek, więc przystąpiła do sporządzania listy niezbędnych zakupów.

— Potrzebujemy płynu i ściereczki do zmywania, herbaty, kawy...

— ...mydła do kąpieli i czegoś do umycia wanny, bo ona jest strasznie brudna — dołączyła się Karolinka.

— Wiaderka i łopatki — dodał Mikołaj.

— No i musimy zdobyć lodówkę — stwierdziła Karolina. — Nie mamy w czym trzymać jedzenia, a jeśli będzie leżało byle gdzie, to wszystko pozielenieje.

— Może uda się nam pożyczyć gdzieś chłodziarkę do mięsa — podsunęła Wirginia, ale zaraz przypomniała sobie, kto to proponował jej pożyczanie czegoś takiego, i szybko zmieniła temat, koncentrując się na liście zakupów.

Tymczasem nagrzała się woda w bojlerze i można było wykapać się w prymitywnie urządzonej łazience. Najpierw do wanny weszli razem Mikołaj z Karoliną, potem szybko Wirginia, dopóki woda nie ostygła. Później wszyscy, przebrani w szlafroki, siedli przy kominku i pili kakao.

— Nie ma tu nawet telewizora — wyliczały dzieci.

— Ani radia.

— Ani zegara! — zawołał wesoło Mikołaj. Wirginia ze śmiechem spojrzała na swój zegarek.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to jest dziesięć po dziewiątej.

— Już dziesięć po dziewiątej? Powinniśmy dawno być w łóżkach!

— Nic nie szkodzi.

— Nie szkodzi? Niania dostałaby szału!

— Wiem o tym — oświadczyła Wirginia, rozsiadając się wygodnie w fotelu i grzejąc palce gołych stóp w ciepłe kominka.

Kiedy dzieci były już w łóżkach, pocałowała je na dobranoc, pokazała im, gdzie jest wyłącznik światła i wyszła, zostawiając otwarte drzwi na schody. Sama zaś przeszła po schodkach do „pokoju na wieży”.

Było tu chłodno. Usiadła przy oknie i patrzyła w stronę spokojnych o tej porze pól. Zauważyła, że tafla morza przybrała teraz odcień perłowy, a na niebie po zachodzie słońca wystąpiły długie koralowe smugi. Chmury nagromadziły się na zachodzie, tu i ówdzie przeszyte różowymi i złotymi promieniami. Na wschodniej stronie nieba wschodził księżyc w nowiu, jak pojedyncza rzęsa.

Na tle ciemności, wzdłuż całej linii wybrzeża, jedno po drugim zaczęły zapalać się światła domów i zabudowań gospodarskich. Tu i ówdzie widać było żółto oświetlone, kwadratowe okno. Gdzie indziej znów podrygujące światełko latarki przecinało na ukos podwórze. Para przednich świateł

jakiegoś pojazdu przebijają się przez obrzeżoną żywopłotami alejkę, dążąc do głównej szosy. Wirginia rozmyślała, czy nie może to być Eustace Philips wybierający się do Lanyon „Pod Syrenkę”. Była ciekawa, czy wpadnie do nich zobaczyć, jak sobie radzą sami, czy też pozostanie naburmuszony i będzie czekał na „znak pokoju” z jej strony. Powtarzała sobie, że warto by zrobić i to, byleby tylko mieć satysfakcję ujrzenia jego miny, kiedy zobaczy, że i ona, i Karolinka, i Mikołaj świetnie dają sobie radę.

Jednak następnego dnia wszystko się zmieniło.

Już w nocy zerwał się wiatr i nawiał w głąb łądu ciemne chmury, które jeszcze wieczorem leżały wzdłuż linii horyzontu. Lunął ulewny deszcz. Odgłosy ściekających kropli i strug deszczu bębniących w szyby zbudziły Wirginię. W sypialni było tak ciemno, że musiała zapalić lampę, aby na swoim ręcznym zegarku sprawdzić godzinę. Była już ósma.

Wstała z łóżka, aby zamknąć okno, przy czym stwierdziła, że deski podłogi pod nim są zupełnie mokre. Strumienie deszczu nie pozwalały widzieć na odległość większą niż kilka metrów. Poczowała się jak na samotnym statku wśród fal morskich. Miała nadzieję, że dzieci nieprędko wstaną.

Ubrała się w spodnie i swój najgrubszy sweter, zeszła na dół i stwierdziła, że deszcz przedostał się przez komin i zagasił całkiem ogień na kominku. W pokoju zrobiło się znów zimno i wilgotno. Miała wprawdzie zapałki i drwa na opał, ale nie miała niczego na podpałkę. Założyła więc płaszcz od deszczu i wyszła na zewnątrz. W starej szopie znalazła siekierkę, stępioną już od długiego nieużywania. Na kamiennym progu rozłupała nią polano na drzazgi. Używając na podpałkę papieru, w który zapakowane były jej wczorajsze zakupy, roznieciła mały ogieniek. Kiedy drzazgi zajęły się, tylko jeden czy dwa kłęby dymu uciekły na pokój, potem komin złapał ciąg. Wirginia dołożyła drew i ogień zapłonął.

Kiedy przygotowywała śniadanie, pojawiła się Karolina.

— Cześć, mammo!

— Cześć, kochanie!—przywitała ją Wirginia. Dziewczynka miała na sobie niebieskie szorty, żółtą koszulkę i źle dobrany do tego sweterek. — Czy ci nie zimno?

— Zimno! — przyznała się Karolinka. Jej cienkie, proste włosy były gładko przylizane, a okulary przekrzywione.

Wirginia odruchowo je poprawiła.

— To idź i ubierz się cieplej. Śniadanie jeszcze niegotowe.

— Ale ja już nie mam cieplejszych rzeczy. To znaczy Niania nie zapakowała mi ich do walizki.

— Nie wierzę! — Wirginia spojrzała na nią zdziwionym wzrokiem. — Ani dżinsów, ani kaloszy, ani płaszczy od deszczu?

Karolinka tylko potrząsnęła głową.

— Ona pewnie myślała, że tu przez cały czas będzie gorąco.

— Pewnie tak myślała — przytaknęła Wirginia, w myśli klnąc Nianię. — A wy byliście pewni, że ona wie o pakowaniu dostatecznie dużo, aby zapakować nieprzemakalne płaszcze?

— No, jakieś płaszczyki mamy, ale one są do niczego. Wyglądała na tak zmartwioną, że Wirginia musiała ją uspokoić.

— Nie przejmuj się tym.

— To co my zrobimy?

— Pojedziemy do miasta i kupimy trochę rzeczy.

— Dziś?

— A dlaczego nie? W taką pogodę i tak nie ma nic innego do roboty.

— A mieliśmy jechać do ciotki Alicji i popływać w jej basenie!

— Przełożymy to na ładniejszy dzień. Ona to zrozumie i nie będzie się gniewać.

W strumieniach deszczu wyjechali w kierunku Penzance. Na szczycie wzgórza mgła była tak gęsta, że Wirginia ledwo widziała, gdzie kończy się maska, jej samochodu. Tylko co jakiś czas wiatr nieco rozwiewał mleczny opar, pozwalając dostrzec kawałek drogi przed sobą.

Penzance było zalane deszczem, falami samochodów i rozczarowanych urlopowiczów. Wskutek złej pogody nie mogli, jak co dzień, przesiadywać na plaży lub na deptaku, więc tłoczyli się na chodnikach, w bramach i wokół lad sklepowych. Przez zaparowane okna kafejek i cukiererek widać było, jak okupowali stoliki, sącząc, liżąc i przeżuując wszystko, co się da, aby tylko maksymalnie odwlec moment ponownego wyjścia na deszcz.

Wirginia przez dziesięć minut jeździła w kółko, nim znalazła miejsce do zaparkowania. Potem wraz z dziećmi biegała w deszczu po zatłoczonych ulicach, zanim odkryła sklep, w którym sprzedawano rybackie kurtki, długie gumowe buty, latarnie i liny. Kupiła tam dla Mikołaja i Karolinki dżinsy, ciemnoniebieskie swetry, czarne nieprzemakalne kurtki i kapelusze rybackie, w których dzieci wyglądały jak blaszane stożki do gaszenia świec. Kurtki i kapelusze dzieci założyły od razu na siebie, a resztę zakupów zapakowano im w brązowy papier.

Wirginia wzięła paczkę, zapłaciła rachunek i wyszła na dwór z dziećmi, które w sztywnych, nowych ubraniach poruszały się jak roboty.

Wciąż padało.

— Jedźmy już do domu! — zaproponowała Karolinka.

— Skoro tu jesteśmy, powinniśmy raczej kupić jakąś rybę, mięso lub kurczaka. Nie mamy także kartofli ani marchewki czy groszku. Tu chyba musi być jakiś dom towarowy.

— A ja chcę wiaderko i łopatkę! — przypomniał Mikołaj.

Wirginia udała, że nie słyszy. Odnaleźli dom towarowy i wtopili się w tłum kupujących, płacących i wnoszących pełne koszyki. Tymczasem na dworze spieniona woda szumiała w rynsztokach i ściekała z rynien.

— Karolinko, czy ty to naprawdę udźwigniesz?

— Pewnie... — wystękała dziewczynka, uginając się pod ciężarem koszyka.

— Przełóż połowę do koszyka Mikołaja.

— A ja chcę wiaderko i łopatkę! — Chłopczyk powtórzył swoją prośbę, ale Wirginia nie miała już pieniędzy. Chciała poradzić mu, aby poczekał do następnego wyjazdu po zakupy. Jednak spod runda rybackiego kapelusza wyglądała twarzyczka o zbuntowanym grymasie ust i wielkich oczach wypełniających się łzami. — Kup mi wiaderko i łopatkę! — powtarzał z płaczem.

— Już dobrze, kupię ci, ale musimy najpierw znaleźć jakiś bank, gdzie będę mogła zrealizować czek i podjąć trochę pieniędzy.

Natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, łzy obeschły.

— Widziałem gdzieś taki bank!

Oczywiście odnaleźli bank, w którym stały długie kolejki klientów. Dzieci od razu pobiegły w stronę obitej skórą ławki i siadły na niej jak dwoje zmęczonych staruszków, z głowami opuszczonymi na piersi. Nogi wyciągnęły przed siebie nie patrząc, czy ktoś o nie się nie potknie. Wirginia odstała swoje w kolejce i wypisała czek na potrzebną sumę.

— Pani tu na wakacjach? — zagadnął młody kasjer. Wirginia dziwiła się, że w środku takiego dnia może zachować jeszcze dobry humor.

— Tak.

— Zobacz pani, że jutro się przejaśni.

— Mam nadzieję.

Czerwone wiaderko i niebieska łopatka były już ostatnim zakupem dokonanym tego dnia. Obładowani, mieli przed sobą jeszcze długą drogę do

samochoodu, na dodatek cały czas pod górę. Mikołaj, waląc łopatką w wiaderko jak w bęben, zaczynał już zostawać w tyle. Po raz któryś z rzędu Wirginia odwracała się, aby go ponaglić. W końcu straciła cierpliwość.

— Mikołaj, ruszaj się szybciej!

Jakaś przechodząca kobieta, słysząc w jej głosie tłumioną irytację, odwróciła się i pełnym dezaprobaty spojrzeniem ogarnęła niecierpliwą matkę.

I pomyśleć, że minęło dopiero jedno przedpołudnie!

Wciąż padało. Dobrnęli w końcu do samochodu, władowali paczki do bagażnika, dorzucili tam ociekające wodą płaszcze i z ulgą zatrzasnęli drzwi za sobą. Nareszcie mogli usiąść i schować się przed deszczem.

— Wiesz, co bym teraz chciał? — spytał Mikołaj, wciąż bębniąc łopatką w wiaderko.

Wirginia spojrzała na zegarek. Ponieważ była już prawie pierwsza, zaryzykowała:

— Pewnie coś zjeść.

Sama pomyślała: „A ja najbardziej bym chciała wrócić teraz do domu Alicji, wiedząc, że pani Jilkes czeka z gotowym lunchem, że w salonie na kominku płonie ogień, a góra nowych gazet i czasopism czeka tylko, aby je przeczytać”.

— To też, ale jeszcze coś innego.

— Nie wiem.

— Zgadnij. Możesz próbować do trzech razy.

— No więc pewnie siusiu?

— Nie. To znaczy jeszcze nie teraz.

— Szklankę wody?

— Też nie.

— Poddaję się.

— Chciałbym po obiedzie iść na plażę i pobawić się moim nowym wiaderkiem i łopatką.

Okazało się, że młody pracownik banku dobrze przepowiedział pogodę. Wieczorem wiatr zmienił kierunek na północny i odegnał chmury aż za wrzosowiska. Ukazały się pierwsze skrawki czystego nieba, które stopniowo coraz bardziej się powiększały, aż pod wieczór przebiło się triumfalnie słońce zachodzące w powodzi różowości i czerwieni.

— „Słońce czerwono zachodzi, to znak, że się wypogodzi” — przypomniała stare przysłowie Karolinka. — To znaczy, że jutro będzie piękny dzień.

I rzeczywiście był.

* * *

— Chcę dzisiaj iść na plażę i pobawić się w piasku

— oświadczył rano Mikołaj.

— Oczywiście, kochanie — zapewniła go Wirginia — ale najpierw musimy pojechać do cici Alicji, bo inaczej pomyśli, że jesteśmy niewdzięczni i źle wychowani.

— Dlaczego? — Chciał wiedzieć chłopczyk.

— Bo tak pięknie przygotowała dom na nasze przywitanie, a my nawet nie podziękowaliśmy jej za to... ale jedz szybciej to jajko, bo wystygnie!

— Wolałbym zjeść płatki kukurydziane... — grymasił Mikołaj.

— Dobrze, kupimy je — obiecała Wirginia, a Karolina dopisała ołówkiem do listy zakupów: „Płatki kukurydziane”, pod pozycjami: „Druciaki do zmywania; Masło orzechowe; Cukier kryształ; Galaretki; Proszek do prania; Ser”. Wirginia jeszcze nigdy w życiu nie robiła tylu zakupów naraz.

Wysłała dzieci na dwór, aby się bawiły, dopóki nie pozmywa po śniadaniu i nie zrobi porządku w sypialni. Pokój dzieci był cały zavalony ich ubrankami. Wirginia zawsze myślała, że jej dzieci są schludne i porządne z natury, a to Niania zawsze chodziła za nimi i zbierała to, co porozrzuciły. Pozbierała więc ubranka bez względu na to, czy były czyste, czy brudne. Sprzątnęła skarpetkę z komody, na wszelki wypadek nie dotykając zmiętej, papierowej torby z dwoma lepкими cukierkami w środku.

Znalazła tam również oprawny w świńską skórę album ze zdjęciami. Wiedziała, że należy on do Karolinki, ale w jakim celu Niania go zapakowała, mogła się tylko domyślać. Pierwsza strona zawierała kolekcję małych zdjęć, w większości wykonanych przez Karolinkę i poukładanych według kryteriów raczej emocjonalnych niż artystycznych. Można było znaleźć wśród nich: widok domu od frontu (nieco krzywy), psy, pracowników farmy na traktorach, widok Kirkton z lotu ptaka, jedno lub dwa zdjęcia o formacie pocztówkowym. Na drugiej stronie wklejony był gabinetowy portret — popiersie Anthony'ego, w pełnym oświetleniu, w którym jego włosy robiły wrażenie bardzo jasnych, a szczęka — mocno zarysowanej i stanowczej. Na tym zdjęciu stwarzał pozory człowieka

silnego, ale Wirginia dobrze znała wymowę tych zwężonych oczu i miękkich, wydatnych ust.

Na zdjęciu widać było kołnierzyk koszuli w drobne paseczki od Turnbulla i Ashera oraz jedwabny włoski krawat w dyskretny wzorek. Wirginia pamiętała, jak ważne były dla Anthony'ego ubrania, marka samochodu, meble i styl życia. Dla niej sprawy te miały znaczenie podrzędne. Natomiast Anthony miał do tych rzeczy stosunek dokładnie odwrotny. Największą wagę przykładał do szczegółów, jakby mając świadomość, że wzmacniały one jego wizerunek własny, a bez nich jego osobowość byłaby niekompletna.

Z naręczem dziecięcych ciuszków Wirginia zeszła na dół i wyprała je w kuchennym zlewie. Kiedy wyniosła uprane rzeczy na dwór, aby je rozwiesić na sznurze, zastała tam tylko Mikołaja, który bawił się swoim traktorkiem oraz kilkoma kamykami i trawkami. Miał na sobie nowy granatowy sweter. Było mu tak gorąco, że aż poczerwieniał na twarzy, ale Wirginia wiedziała, że nie ma sensu proponować mu, żeby go zdjął.

— W co się bawisz?

— Nic takiego.

— Te trawki to ma być słoma?

— Coś w tym rodzaju.

Wirginia rozwiesiła na sznurze ostatnią parę spodenek.

— Gdzie jest Karolina? — spytała.

— W domu.

— Pewnie czyta? — domyśliła się Wirginia i poszła poszukać córki.

Karolinka jednak nie czytała, tylko siedziała w pokoju na wieży, patrząc przez okno daleko na pola i morze. Kiedy Wirginia pojawiła się w drzwiach, odwróciła się powoli w jej stronę, jakby jej nie poznawała.

— Karolinko!

Dopiero głos matki wyrwał ją z zamyślenia.

— Cześć, mamó. Czy już jedziemy?

— Jeśli jesteś gotowa, to i ja też. — Wirginia usiadła obok małej. — A co ty tu robisz? Rozmyślasz czy podziwiasz widoki?

— Tak naprawdę to jedno i drugie.

— O czym myślałaś?

— Zastanawiałam się, jak długo tu zostaniemy.

— Myślę, że około miesiąca. Wynajęłam ten dom na miesiąc.

— Ale będziemy musieli wrócić do Szkocji, to znaczy do Kirkton, prawda?

— Oczywiście, że musimy wrócić. Tam przecież jest wasza szkoła. — Odczekała moment i dodała: — A wolałabyś nie wracać?

— Czy Niania pojedzie z nami?

— Nie przypuszczam.

— Kirkton bez tatusia i Niani to chyba będzie strasznie dziwne. Tamten dom jest o wiele za duży na nas troje. Może dlatego tak podoba mi się ten domek, bo jest akurat w sam raz.

— A ja myślałam, że ci się nie będzie podobał!

— Och, ja go po prostu kocham! A najbardziej ten pokój. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego pokoju, żeby schody były na samym środku podłogi. A wszędzie są tylko te okna i niebo. — Najwyraźniej nie odczuwała żadnej „upiornej” atmosfery. — A dlaczego tu nie ma mebli?

— Myślę, że miał to być tylko pokój do pracy. Około pięćdziesięciu lat temu mieszkał tu pewien pan, który pisał książki i był bardzo sławny.

— Jak on wyglądał?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że musiał nosić brodę i ubierać się nieporządnie, bo pisarze często bywają roztargnieni.

— Jak on się nazywał?

— Aubrey Crane.

— Jestem pewna, że był bardzo miły — oświadczyła Karolinka. — To ładnie z jego strony, że urządził taki piękny pokój, gdzie można siedzieć i widzieć wszystko, co się dzieje.

— Masz rację — przyznała Wirginia i obydwie zaczęły się wpatrywać w szachownicę pól i pastwisk, na której spokojnie pasły się krowy, a trawa po deszczu nabrała szmaragdowego odcienia.

Kamienne murki i słupki przy bramach były obrośnięte jeżynami, które za miesiąc lub dwa wydadzą czarne, słodkie owoce. Gdzieś po zachodniej stronie słychać było terkot ciągnika. Kiedy Wirginia odwróciła się w tamtym kierunku i przycisnęła czoło do szyby, dojrzała poruszającą się plamkę, jaskrawoczerwoną jak skrzynka pocztowa, a na niej mężczyznę w koszuli błękitnej jak niebo.

— Kto to jest ten pan? — spytała Karolinka.

— To Eustace Philips.

— Ty go znasz?

— Tak. Gospodaruje na farmie, która nazywa się Penfolda.

— Czy to wszystko jego pola?

— Myślę, że tak.

— Od kiedy go znasz?

— Od dawna.

— Czy on wie, że tu jesteś?

— Chyba wie.

— Chciałabym, żeby tu przyszedł, może na kawę albo coś takiego...

Wirginia uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że nas odwiedzi. Na razie uczesz się ładnie, bo jedziemy do cioci Alicji.

— Czy będziemy mogli popływać w jej basenie? Mam zabrać kostium kąpielowy?

— Myślę, że to dobry pomysł.

— Chciałabym, żebyśmy mieli basen.

— Tutaj nie ma na to miejsca.

— Tutaj nie, ale w Kirkton.

— Tam może założymy, jeśli rzeczywiście będziesz chciała — bez namysłu odparła Wirginia. — Na razie jedźmy, bo zbliża się pora lunchu, a my siedzimy i nic nie robimy.

Kiedy w końcu dotarli do domu Lingardów, zastali tam tylko panią Jilkes. Wirginia dla porządku zadzwoniła do drzwi, ale zaraz sama sobie otworzyła i weszła do hallu wraz z depczącymi jej po piętach dziećmi. Czekwała, kiedy usłyszy szczekanie psa i głos Alicji pytający: „Kto tam?” — po czym w drzwiach salonu pojawi się sama Alicja. W całym domu panowała jednak cisza, przerywana tylko tykaniem stojącego na kominku starego zegara po dziadku.

— Alicjo!

Gdzieś otworzyły się i zaraz zamknęły jakieś drzwi. Z kuchennego korytarza wysunęła się pani Jilkes w nakrochmalonym białym fartuchu, jak statek pod pełnymi żaglami.

— Kto tam? — zapytała gniewnie, zanim jeszcze zobaczyła Wirginię i stojące przy niej dzieci.

Gdy ich ujrzała, natychmiast zrobiła się słodka.

— Ach, pani Keile, co za niespodzianka! Z daleka was nie poznałam. A to panine dzieci, prawda? Boże kochany, jakież one są śliczne! Jesteś śliczna, maleńka, wiesz? — zagadnęła Karolinę, której nikt jeszcze dotąd czegoś takiego nie powiedział.

Mała zastanawiała się, czy nie powinna odpowiedzieć: „nie”, bo przecież wiedziała, że wcale nie jest śliczna. Była jednak zbyt nieśmiała, aby powiedzieć cokolwiek, więc tylko utkwiała wzrok w pani Jilkes.

— To Karolinka, prawda? A to Mikołaj? Widzę, że macie majteczki do kąpieli. Pewnie chcielibyście zaraz dać nurka? — Tu zwróciła się znów do Wirginii: — Pani Lingard nie ma w domu.

— O rany!

— Nie ma jej od czasu, jak pani wyjechała. Pan Lingard musiał jechać do Londynu na jakieś wielkie przyjęcie, a pani Alicja w ostatniej chwili postanowiła z nim jechać. Mówiła, że już od dawna nigdzie nie bywała. Ale dziś wieczorem wraca.

Wirginia głośno myślała.

— To znaczy, że nie ma jej w domu od czwartku?

— Wyjechała w czwartek po południu.

— Zaraz... w Bosithick, kiedy tam przyjechaliśmy, było napalone w kominku, wysprzątane i ktoś zostawił nam jajka i mleko... Myślałam, że to Alicja.

Pani Jilkes zrobiła niewinną minę.

— To nie ona, ale powiem pani kto.

— Więc kto to zrobił?

— Eustace Philips.

— Eustace?!

— Czemu pani tak się dziwi, jakby to było coś złego?

— Ale skąd pani wie, że to on?

— Bo do mnie dzwonił! — oświadczyła dumnie pani Jilkes. — To znaczy, do pani Lingard, ale jej nie było, więc ja odebrałam telefon. Mówił, że pani przyjeżdża do Bosithick z dziećmi, i pytał, czy ktoś coś zrobił w tej sprawie. Powiedziałam mu, że nie wiem i że pani Lingard wyjechała, a on na to, że w takim razie sam się tym zajmie. No i zajął się, odwalił kawał roboty, prawda?

— To znaczy, że on sam wysprzątał cały dom?

— Nie, skąd. Eustace nie odróżni jednego końca odkurzacza od drugiego. To musiała zrobić pani Thomas. Ta kobieta wyskrobałaby podłogi do białości, gdyby tylko dać jej szansę.

W tym momencie Karolinka dotknęła rączką ręki Wirginii.

— Czy to ten pan, którego widziałyśmy na traktorze?

— Tak — odrzekła Wirginia szybko, zmieszana.

— To on pomyśli, że jesteśmy strasznie źle wychowani! Przecież mu nie podziękowaliśmy!

— Wiem, że nie, ale zrobimy to jeszcze dziś. Kiedy tylko wrócimy stąd, pójdziemy spacerkiem do Penfoldy i wszystko wyjaśnimy.

Mikołaj wybuchnął złością.

— A obiecałaś, że będę mógł pobawić się na plaży moim wiaderkiem i łopatką!

Pani Jilkes słyszała już nieraz takie buntownicze głosy i wiedziała, jak z tym postępować. Przykucnęła obok Mikołaja, z dłońmi na kolanach, przybliżając twarz do buzi chłopca i przemawiając zachęcającym tonem:

— A może byś tak poszedł trochę popływać? A potem, jak wyjdiesz z wody, przyjdziecie z mamusią i siostrzyczką do mnie do kuchni i zjemy razem pyszny placek...

— Ależ, pani Jilkes... — zaprotestowała Wirginia.

— Spokojnie, to żaden kłopot — pani Jilkes uspokajająco potrząsnęła głową. — Na to jest placek, aby go zjeść. Akurat sobie myślałam, że latam sama jedna po tym pustym domu jak kot z pęcherzem. Masz ochotę, prawda, moja śliczna? — Nachyliła się nad Karolinką. Jej miły głos pomógł dziewczynce przezwyciężyć nieśmiałość.

— O, tak, proszę... — wyszeptwała.

Jeszcze tego samego niedzielnego popołudnia poszli pieszo przez pola do Penfoldy. Szli przez łąki, po przełazach z granitowych płyt przerzuconych nad rowami. Kiedy doszli do farmy, najpierw natrafili na obory, przepędy, wybiegi dla bydła i hale udojowe. Przeszli przez wybieg, starannie zamykając za sobą bramę przepędową, na brukowany dziedziniec. Słychać tam było dźwięk jakby szurania mokrej szczotki po kamieniach. Wirginia poszła za tym dźwiękiem i trafiła do budynku, który wyglądał jak stajnia boksowa. Jakiś mężczyzna, ale nie Eustace, sprzątał wewnątrz. Był to starszy człowiek w wyblakłym, granatowym berecie na kędzierzawych, siwych włosach, ubrany w staromodne ogrodniczki na szelkach.

Na widok gości przestał zamiatać.

— Przepraszam... — zaczęła Wirginia. — Czy zastałam pana Philipa?

— A, jest gdzieś tutaj, może za chałupą.

— Spróbujemy go poszukać.

Przeszli przez bramę, a potem wąską ścieżką dzielącą dom od małego ogródka, gdzie ostatnio Eustace i Wirginia jedli razem paszteciki. Przed drzwiami wygrzewała się w słońcu pręgowana kotka. Karolinka

przykucnęła, aby ją pogłaskać, a Wirginia zapukała do drzwi. Dały się słyszeć kroki, po czym w drzwiach stanęła niska, pulchna kobiecina. Wirginii skojarzyła się od razu z czymś tak przytulnym jak miękki fotel, w którym jej czarna suknia byłaby tapicerką, a wzorzysty fartuch — luźnym pokrowcem. Spoza jej pleców, z kuchni, napłynęły smakowite zapachy obfitej niedzielnej kolacji.

— Słucham?

— Jestem Wirginia Keile, mieszkam w Bosithick...

— Ach, tak! — Szeroki uśmiech utworzył dołki w jej różowych policzkach.

— Pani na pewno jest panią Thomas!

— Tak, to ja. A to pani dzieci, prawda?

— Tak, Karolinka i Mikołaj. Mamy wyrzuty sumienia, że dotąd nie przyszliśmy podziękować pani za wszystko. Mam na myśli ten pięknie wysprzątny dom i mleko, i jajka, i ogień w kominku...

— Och, ja tylko zrobiłam tam trochę porządku i pootwierałam okna. To Eustace przywiózł drzewo, mleko i jajka przyczepką do ciągnika. Wiedzieliśmy, że pani nie będzie miała czasu tego zrobić przed wyjazdem do Londynu, a wejść do takiego brudnego domu jest bardzo nieprzyjemnie.

— Przyszlibyśmy do was od razu, ale myśleliśmy, że to zrobiła Alicja Lingard.

— I pewnie chciałyby pani zobaczyć się z Eustace'em? Poszedł jak raz na ogród nakopać mi kartofli. — Uśmiechnęła się w kierunku Karolinki, zwracając się tym razem do niej: — Podoba ci się kicia?

— Och, ona jest taka słodka!

— W stodole są małe kociątka. Chciałybyś pójść je zobaczyć?

— A czy ona nie będzie się denerwować?

— Na pewno nie będzie. Chodźcie, pokażę wam, gdzie one są.

Pani Thomas poszła w stronę stodoły razem z dziećmi depczącymi jej po piętach. Na matkę nawet się nie obejrzały, tak spieszo im było zobaczyć kocięta. Wirginia poszła więc sama ścieżką do ogrodu, przez furtkę obrośniętą bluszczem. Niebieską koszulę Eustace'a było widać spoza tyczek pnącego groszku. Poszła w tamtym kierunku i zastała go przy rozkopywaniu rządka kartofli. Widać je było, gładkie i okrągłe jak morskie kamyki, poutykane w ziemi, która miała barwę i konsystencję dobrego czekoladowego ciasta.

— Eustace!

Obejrzał się przez ramię i wtedy ją zobaczył. Liczyła na to, że uśmiechnie się do niej, ale nie zrobił tego. Zastanawiała się, czy jeszcze się gniewa za jej zachowanie przy ich ostatnim spotkaniu. W końcu wyprostował się, wsparty o trzonek szpadla.

— Cześć! — powiedział takim tonem, jakby jej obecność go zaskoczyła.

— Przyszłam podziękować ci... i przeprosić.

— Za co przeprosić? — Przełożył szpadel z jednej ręki do drugiej.

— Nie zorientowałam się od razu, że to ty rozpałiłeś ogień, przyniosłeś drzewo i to wszystko. Wydawało mi się, że to zrobiła Alicja Lingard. Dlatego nie przyszliśmy tu wcześniej.

— Ach, to o to chodzi! — skwitował Eustace, więc zachodziła w głowę, za co jeszcze powinna go była przeproszać.

— To było tak miłe z twojej strony, że przyniosłeś to mleko, jajka, inne rzeczy. Dla nas to miało wielkie znaczenie... —urwała, bojąc się, aby jej głos nie zabrzmiał nieszczerze. — Ale jak dostałeś się do środka? — zaczęła z innej beczki.

Eustace wbił szpadel w ziemię.

— Mamy drugi klucz. Kiedy moja mama była młodą mężatką, od czasu do czasu pracowała u pana Crane'a. Kiedy jego żona chorowała, mama przychodziła tam sprzątać. Dał jej wtedy zapasowy klucz do tamtego domku, mama powiesiła go na drzwiczkach kredensu i tak już został.

Stanął przy Wirginii i przez chwilę jej się przyglądał, raptem jego niebieskie oczy rozbłysły wesołością. Zorientowała się wtedy, że jej obawy były nieuzasadnione i że nie żywił do niej żadnej urazy.

— A więc w końcu zdecydowałaś się wziąć ten dom — stwierdził.

— Tak — przyznała skruszona.

— Po tym wszystkim, co ci nagadałem, było mi przykro, że straciłem panowanie nad sobą...

— I dobrze zrobiłeś, bo to skłoniło mnie do podjęcia decyzji.

— Dlatego też przywiozłem ci drewno i to wszystko, bo pomyślałem, że mogę zrobić chociaż to. Pewnie potrzebujesz jeszcze mleka?

— Czy mógłbyś dostarczać go nam codziennie?

— Chętnie, jeśli ktoś będzie po nie przychodził.

— Oczywiście, albo ja, albo któreś z dzieci. Dopiero teraz zorientowałam się, że na skrót przez pola jest do was całkiem blisko.

Zaczęli już iść z powrotem w stronę furtki.

— Czy dzieci przyszły z tobą?

— Tak, poszły z panią Thomas oglądać jakieś koty.

— Uważaj — roześmiał się Eustace — bo na pewno oszaleją na ich punkcie. Naszą kotkę dopadł gdzieś syjamski kocur i wyszły z tego tak piękne kociaki, jakich na pewno w życiu nie widziałaś. Mają niebieskie oczy i...

Nie dokończył, bo właśnie Karolinka i Mikołaj nadchodzili od strony stodoły z głowami pochylonymi w zachwycie nad czymś, co trzymali w stulonych dłoniach przy piersi.

— A nie mówiłem? — stwierdził z satysfakcją Eustace, zamykając za sobą furtkę.

Dzieci brnęły po kolana w trawie, kępkach babki i stokrotek. Naraz Wirginia spróbowała spojrzeć na nie świeżym okiem, jakby widziała je po raz pierwszy albo jakby patrzył na nie Eustace. Jasna główka tkwiła obok ciemnej, niebieskie oczy obok piwnych. W okularach Karolinki odbijało się słońce, więc błyszczały jak światła małego samochodu. Nowe, kupione na wyrost džinsy spadały im z bioder, a dół koszuli Mikołaja zwisał nad jego małą, okrągłą pupcią.

Uczucie niewypowiedzianej miłości boleśnie ścisnęło Wirginię za gardło, a w jej oczach zakręciły się łzy. Te dzieci wydały się jej teraz tak wrażliwe i bezbronne, a równocześnie nagle stało się bardzo ważne, aby zrobiły dobre wrażenie na Eustasie.

Mikołaj podchwycił jej spojrzenie.

— Mamusiu, popatrz, co tu mamy! Pani Thomas powiedziała, że możemy je tu przynieść.

— One są takie malutkie, a już patrzą! — dodała Karolinka. Raptem dojrzała Eustace'a i stanęła jak wryta, wpatrując się w niego zza okularów skupionym wzrokiem.

Mikołaj, nie zrażony, kontynuował:

— Mamusiu, patrz, musisz to zobaczyć! On jest taki puszysty i ma malutkie pazurki. Tylko nie wiem, czy to chłopczyk, czy dziewczynka. Pani Thomas powiedziała, że też nie wie! — W tym momencie zauważył Eustace'a i uśmiechnął się do niego ujmująco. — Właśnie przestały ssać swoją mamusię. Pani Thomas powiedziała, że ona się robi już za chuda, i dała im mleka na spodeczku, i one chleptały, i mają takie malutkie języczki! — opowiadał Eustace'owi w najlepsze.

Eustace długim brązowym palcem poczochnął kociaka po łebku. Wirginia szybko wtrąciła:

— Mikołaju, to jest pan Philips, przywitaj się!

— Dzień dobry panu. Pani Thomas powiedziała, że jeśli chcemy, będziemy mogli jednego sobie wziąć, ale musimy najpierw ciebie zapytać. Ale ty pozwolisz, prawda, mamusiu? On jest taki malutki, i będzie spał ze mną w łóżeczku, i będę się nim opiekował!

Wirginia przyłapała się na tym, że wytacza klasyczne argumenty, z jakimi wystąpiłaby większość rodziców w podobnej sytuacji:

— Ależ one są jeszcze za małe, żeby je zabierać od mamusi, jeszcze potrzebują ciepła. A pomyśl, jak on by się źle czuł, gdyby musiał jechać pociągiem do Szkocji! Możecie bawić się z nimi w czasie wakacji, póki jesteśmy w Bosithick...

Eustace postawił na ziemi wiaderko kartofli i podszedł do Karolinki, kurczowo ściskającej swojego kotka. Wirginia z niepokojem patrzyła, jak przykucnął przy niej, delikatnie rozluźniając uchwyt jej palców.

— Nie trzymaj go tak mocno, bo nie będzie mógł oddychać — powiedział.

— Bałam się, że go upuszczę.

— Na pewno go nie upuścisz. On chciałby rozejrzeć się naokoło i zobaczyć trochę świata. Na pewno jeszcze nigdy nie widział takiego pięknego słońca! — Uśmiechał się i do kotka, i do Karolinki.

Po chwili, powoli, odwzajemniła jego uśmiech. I wtedy nikt nie pamiętał już o jej brzydkich okularach, wypukłym czole i prostych włosach — emanowała z niej tylko niezwykła słodycz.

Po chwili Eustace kazał dzieciom zanieść kotki tam, skąd je wzięły. Wirginię poprosił, aby została na dworze, w słońcu, i poszedł do domu zanieść pani Thomas kartofle. Po chwili wyniósł stamtąd paczkę papierosów i tabliczkę czekolady. Wraz z Wirginią i z dziećmi rozsiedli się w wysokiej trawie, jak poprzednim razem.

Mało tego, że dał im czekoladę, ale rozmawiał z nimi jak z dorosłymi. Pytał o różne rzeczy. Co robili dzisiaj? Co robili wczoraj, kiedy tak padało? Czy już kąpali się w morzu?

Odpowiadali mu, przekrzykując się nawzajem. Nieśmiałość Karolinki gdzieś znikła i odpowiadała równie chętnie jak Mikołaj.

— Kupiliśmy płaszcze od deszczu, ale i tak zmokliśmy. Mama musiała iść do banku, żeby wyjąć więcej pieniędzy i kupić Mikołajowi wiaderko i łopatkę.

— Ale jeszcze nie byłem na plaży i nie miałem kiedy kopać! — wpadł jej w słowo Mikołaj.

— I dziś rano pływaliśmy w basenie u pani Lingard. Ale w morzu jeszcze się nie kąpaliśmy — kontynuowała Karolinka.

Eustace uniósł brwi.

— Coś takiego! Jeszcze nie byliście na plaży ani nie kąpaliście się w morzu? Toż to wstyd!

— Mamusia mówiła, że nie ma czasu.

— Ale mnie obiecała! — Mikołaj przypomniał sobie, że ma powód do obrazy. — Dzisiaj powiedziała, że będę mógł pokopać łopatką, a ja jeszcze nie widziałem ani ziarnka piasku!

Wirginia roześmiała się, co jeszcze bardziej chłopca rozdrażniło.

— Tak, to prawda! A ja właśnie teraz najbardziej bym chciał!

— Jeśli tak — zaczął Eustace — jeśli chciałbyś to robić tak bardzo, to czemu tu siedzimy i miejemy jęzorami?

Mikołaj popatrzył na niego podejrzliwie.

— Pan myśli, żeby iść na plażę?

— A dlaczego nie?

— Teraz? — Chłopczyk nie wierzył własnym uszom.

— A czy jest jeszcze coś innego, co chciałbyś robić?

— Nie, nie, nic innego! — Zerwał się na równe nogi. — Ale gdzie pójdziemy? Czy musimy jechać do Porthkerris?

— A po co mamy się pchać między te tłumy? Mamy tu naszą własną, prywatną plażę, o której nie wie nikt prócz nas. Ona należy do Penfoldy i Bosithicku.

Wirginia okazała zdziwienie.

— Nie wiedziałam, że tu jest coś takiego. Zawsze sądziłam, że są tylko klify.

Teraz Eustace też już wstał.

— Wszystko wam pokażę, ale chodźmy już. Pojedziemy landroverem.

— Zostawiłem w domu wiaderko i łopatkę!

— Zabierzemy je po drodze.

— I mój kostium kąpielowy! — dodała Karolinka.

— To też zabierzemy.

Wszedł do domu, żeby się przebrać i zostawić wiadomość pani Thomas, po czym pierwszy poszedł przez podwórze. Gwizdnął na psy, które przybiegły ze szczekaniem z za węgła stodoły, wiedząc, że gwizdek oznacza

spacer, a co za tym idzie, mnóstwo zapachów, pogoń za królikami, a może i kąpiel. Całe towarzystwo, łącznie z psami, upchnęło się do landrovera. Karolinka, zapominając już całkiem o swojej nieśmiałości, wydawała okrzyki zachwytu, kiedy wóz podskakiwał na brukowanym dziedzińcu, a potem uliczce prowadzącej do głównej szosy.

— Czy to daleko stąd? — spytała Eustace'a.

— Całkiem blisko.

— A jak się nazywa to miejsce?

— Zatoka Jacka Carleya. Oczywiście nie ma tam miejsca dla dzidziusiów, tylko dla dużych dziewczynek i chłopców, którzy potrafią sami dawać sobie radę.

Dzieci pospiesznie zapewniły go, że oczywiście zaliczają się do tej drugiej kategorii. Wirginia obserwowała twarz Mikołaja, na której znać było radość z tego, że zaspokojono jego pragnienie. Mało tego, stało się to od razu. Nikt nie mówił „może” ani „jutro”, nie kazał mu czekać ani być cierpliwym. Wirginia wiedziała najlepiej, co chłopczyk w tej chwili czuje, gdyż dawno temu Eustace tak samo spełnił marzenia młodej wówczas Wirginii: kupił jej lody, na które miała taką ochotę, i prosił ją, aby wróciła jeszcze do Penfoldy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na podwórzu jakiejś opuszczonej farmy poniżej Bosi-thick zaparkowali landrovera i ruszyli piechotą w stronę morza. Dopóki droga wiodła przez pola, wszyscy czworo szli obok siebie. Eustace trzymał za rękę Mikołaja, gdyż ten miał tendencję do zostawiania w tyle. Kiedy jednak miejsce pól zajęły zarośla jeżyn i paproci, można było iść już tylko gęsiego. Eustace prowadził.

Przechodzili przez kruszące się kamienne murki, a raz trzeba było przeciąć strumyk, nad którym sitowie dorastało do wysokości ramion niskiej osoby. Potem był jeszcze jeden murek, a za nim ścieżka nikła już w gęstwinie paproci. Trzeba było torować sobie drogę pomiędzy napierającymi z obu stron ostrokrzewami. Raptem grunt zaczynał osuwać się spod nóg, a ścieżka wiła się zygzakowato wśród podszycia aż do samej krawędzi klifu. Dalej było już tylko błękitne niebo, na jego tle szybujące z piskiem mewy, a jeszcze dalej — spienione fale morskie.

W tym miejscu wybrzeże przechodziło w najeżony skałami przyładek. Między granitowymi głazami widać było gładką zieloną darni poprzetykaną płatami liliowego wrzosu. Wśród tych głazów wiła się ścieżka, a im dalej schodziło się nią w dół, tym bardziej widoczna była mała, zacieniona zatoczka. Woda morska w tym miejscu była głęboka i spokojna. Na tle skał przybierała odcień liliowy, a zielony na tle piasku. U podnóża dawnego wału przeciwpowodziowego rozciągała się mała plaża. Nad nią teren wznosił się stromo aż po zielony trójkąt cypla, z którego ściekała małymi strumyczkami woda. Natomiast do podnóża klifu, wciśnięta w załom wału przeciwpowodziowego, tuliła się zrujnowana, opuszczona chałupka z wybitymi oknami i pozrywanymi dachówkami.

Cała czwórka stała rzędem na wietrze, spoglądając w dół. Wirginia niepokoiła się, czy dzieciom nie zakręci się od tego w głowach, ale żadne nie wykazywało objawów lęku wysokości.

- Tam jest domek! — zauważyła Karolinka.
- Tu właśnie mieszkał Jack Carley.
- A gdzie on teraz mieszka?
- Przypuszczam, że w niebie.
- Pan go znał?

— Tak, chociaż kiedy byłem chłopcem, on był już stary. Nie lubił, kiedy ktoś tu przychodził, nawet jeśli to byli starsi ludzie. Miał wielkiego, groźnego psa, który odstraszał wszystkich.

— Ale panu pozwalał przychodzić?

— Mnie tak — uśmiechnął się do Mikołaja. — Mam cię wziąć na ręce czy zejdziesz sam?

Mikołaj rozejrzał się dokładnie wokoło. Ścieżka dochodziła do krawędzi klifu, a dalej ginęła z oczu. To jednak wcale go nie zniechęciło.

— Nie, dziękuję, nie musi mnie pan nieść. Ale wolałbym, żeby pan szedł pierwszy.

Tak naprawdę, to pierwsze pobiegły psy, czując się na stromiźnie równie pewnie jak kozy. Oni sami woleli jednak zachować większą ostrożność, choć Wirginia stwierdziła, że ścieżka nie jest aż tak karkołomna, na jaką wygląda. Po okresie suszy grunt pod nogami był twardy, a w bardziej stromych miejscach wycięto schodki wzmocnione cementem lub drewnem naniesionym przez morze.

Toteż wszyscy znaleźli się na dole szybciej, niż mogli się spodziewać. Na skraju klifu panował chłodny cień, ale mała plaża na dole była nagrzana słońcem. Od starej, zrujnowanej chałupki dochodził zapach dziegciu, a jedynymi dźwiękami były piski mew, szum spienionego morza i szmer strumyka.

Wokół zatoczki unosiła się aura jakiejś nierzeczywistości, oderwania od czasu i przestrzeni. Powietrze stało nieruchomo, słońce prażyło, piasek był biały, a woda zielona i przezroczysta jak szkło. Dzieci rozebrały się do majteczek i zaraz pobiegły z nowym wiaderkiem i łopatką na sam brzeg, gdzie zaczęły budować zamek z piasku. Otoczyły go fosą i wałem zwieńczonym wieżyczkami w kształcie wiaderek.

— Kiedy przyjdzie przyływ, zmyje to wszystko — narzekała Karolinka.

— Nie da rady, bo wykopujemy głęboki rów i cała woda tam wpadnie — upierał się Mikołaj.

— Ale wysoka fala będzie wyższa niż cały zamek i zmyje to wszystko, tak jak stało się kiedyś z zamkiem króla Canuta.

Mikołaj przemyślał tę sprawę i zgodził się:

— Pewnie, że to długo nie wytrzyma.

Był to dzień z rodzaju tych, które pamięta się potem przez resztę życia. Wirginia wyobrażała sobie już teraz, jak dzieci będą to kiedyś wspominać, gdy dorosną:

„Tam była taka mała zatoczka i ruiny starej chałupy, a oprócz nas nie było żywej duszy. Były z nami jeszcze dwa psy, a w dół schodziło się po takiej stromej ścieżce, na łeb na szyję...

Zaraz, kto nas tam zabrał? Aha, Eustace Philips! Kto to był?

Już nie pamiętam... chyba jakiś farmer, może nasz sąsiad?"

Na pewno spierałyby się przy tym o szczegóły: „Tam był jeszcze strumyk... Nie, to był wodospad!

Skąd, pamiętam dokładnie. Przez sam środek plaży przepływał strumyk. Zbudowaliśmy na nim tamę z piasku...

Ale wodospad też tam był. A ja miałem nową łopatkę".

Dopóki trwał przyływ, wszyscy kapali się w przezroczyściej, słonej wodzie, zielonej i bardzo zimnej. Ponieważ Wirginia zapomniała wziąć czepka kąpielowego, jej mokre, czarne włosy przyklepiły się do głowy, a jej cień przesunął się po kamienistym dnie morza jak jakiś nowy gatunek ryby. Unosząc się na wodzie uczyła Karolinę pływać. Od słońca i wody piekły ją oczy, a wkoło słychać było pisk mew i cichy szmer fal uderzających o brzeg.

Zaczęło jej być zimno, a że dzieci jeszcze nie zmarzły, zostawiła je pod opieką Eustace'a, a sama wyszła z wody i usiadła na suchym piasku powyżej linii najwyższego stanu przyływu.

Usiadła na piasku, ponieważ nie mieli ze sobą koca ani dużych ręczników kąpielowych. Nie miała też grzebienia, szminki, herbatników, robótki na drutach, termosu z herbatą ani zapasowego swetra. Podobnie jak nikt nie miał ze sobą placka ze śliwkami, ciasteczek czekoladowych ani pieniędzy na lody czy przejażdżkę na osiołku, gdyby na tej plaży były takie możliwości.

Z wody wyszła również Karolinka, szcękając zębami. Wirginia owinęła ją w ręcznik i zaczęła delikatnie wycierać.

— W tym tempie szybko nauczysz się pływać! — pochwaliła ją.

— Która godzina? — zapytała dziewczynka.

— Myślę, że około piątej, ale nie wiem dokładnie — odpowiedziała matka, spoglądając na słońce.

— Nie jedliśmy jeszcze podwieczorku.

— My też nie, i chyba na razie nie będziemy.

— Nie ma nic na podwieczorek?

— Raz możemy się bez niego obejść. Później za to zjemy dobrą kolację.

Karolinka tylko się skrzywiła, lecz nie wyraziła sprzeciwu. Natomiast Mikołaj, kiedy zorientował się, że Wirginia nie zabrała z sobą nic do jedzenia, głośno wyrażał swoje niezadowolenie.

— Ale ja jestem głodny!

— Przykro mi.

— Niania zawsze miała przy sobie kruche ciasteczka, a ty nic nie masz!

— Wiem, rzeczywiście zapomniałam. Tak się spieszyliśmy, że nie myślałam o żadnych ciasteczkach.

— No to co ja mam jeść?

Koniec rozmowy dotarł do Eustace'a, który akurat, otrząsając się, wyszedł z wody.

— Co się dzieje? — spytał, schylając się po ręcznik.

— Jestem bardzo głodny, a mama nie zabrała z sobą nic do jedzenia!

— To niedobrze! — bez cienia współczucia skwitował Eustace.

Mikołaj posłał mu długie, starannie odmierzone spojrzenie i w ponurym milczeniu chciał wrócić do swego kopania, ale Eustace przyciągnął go za ramię do siebie i zaczął go wycierać ręcznikiem tak machinalnymi ruchami, jakby głaskał psa. Wirginia, aby załagodzić sytuację, rzekła szybko:

— Chyba już niedługo będziemy musieli iść.

— Dlaczego?

— Pewnie musisz wydoić te wszystkie krowy.

— Dzisiaj Bert je wydoi.

— Jaki Bert?

— Ten, który poprawiał boksy.

— Ach, ten!

— Kiedyś pracował u mojego ojca, teraz jest już na rencie, ale co drugą niedzielę przychodzi mi pomagać. Lubi tę robotę, zwłaszcza że pani Thomas zawsze daje mu dobry obiad, a ja mam trochę czasu dla siebie,

Mikołaja zdenerwowała ta nie prowadząca do niczego rozmowa. Wywinął się z rąk Eustace'a i zwrócił ku niemu rozzłoszczoną buzią:

— Jestem głodny!

— Ja też! — dodała Karolinka smutno, choć nie tak gwałtownie.

— No to posłuchajcie tego — zaproponował Eustace. Wszyscy zaczęli nasłuchiwać. I rzeczywiście, usłyszeli jakiś nowy dźwięk przebijający się przez szum fal i pisk mew. Był to zbliżający się coraz bardziej stukot silniczka, takie „pyk-pyk-pyk!”

— Co to jest?

— Zaraz zobaczycie.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Okazało się, że to zbliża się mała łódka, biała z niebieskim pasem, wzbijając za sobą białą pianę. Przy sterze

stał jakiś krępy mężczyzna. Łódka wpłynęła do zacisznej zatoczki, a jej silnik już tylko pulsował na jałowym biegu.

— No, proszę — stwierdził Eustace, zadowolony z siebie jak iluzjonista, któremu udała się trudna sztuczka.

— Kto to jest? — spytała Wirginia.

— Tommy Bassett z Porthkerris, który przyplłynął opróżnić kosze na homary.

— Ale on nie będzie miał ciasteczek! — Mikołaj nie dał się odwieść od tematu.

— To akurat nie, ale może mieć coś innego. Chcecie, żebym go zapytał?

— No pewnie — zgodzili się wszyscy, ale bez przekonania.

Eustace odsunął Mikołaja i wszedł do wody. Dał nurka pod falą i popłynął kraulem do miejsca, gdzie kołysała się łódź. Kosze na homary zostały już wciągnięte na pokład. Rybak właśnie opróżnił jeden z koszy i zarzucił go ponownie, gdy dostrzegł płynącego Eustace'a.

— Tutaj, chłopcze! — zawołał.

Eustace uchwycił dłońmi burzę, przez chwilę na niej balansował, aż podciągnął się na pokład kiwającej się łodzi.

— Musiał daleko płynąć — zauważyła Karolinka.

— Mam nadzieję, że nie przyniesie nam homara — dodał Mikołaj.

— A dlaczego?

— Bo homary mają szczypce!

Z łódki dochodziły odgłosy rozmowy. Kiedy Eustace w końcu wstał, wszyscy zobaczyli, że trzyma jakieś zawiniątko. Kiedy wyskoczył za burzę i ruszył w drogę powrotną, widać było, że płynie wolniej, gdyż tajemniczy ciężar krępuje mu ruchy. Na miejscu okazało się, że jest to pleciona ze sznurka torba, jakich zwykle używa się na zakupy. W środku było dwanaście ociekających wodą makreli.

Mikołaj otwierał już usta, aby powiedzieć, że nie lubi ryb, ale Eustace spojrział na niego tak, że zamilkł.

— Przypuszczałem, że będzie miał ich trochę. Zawsze zastawia haczyki, kiedy wypływa sprawdzać kosze. Jadłaś już kiedyś makrele? — uśmiechnął się do Karoliny.

— Chyba nie, ale to zabawne, że dał je panu razem z torbą. — Zdziwiło ją to bardziej niż sam fakt, że podarował im makrele. — Czy nie zechce jej z powrotem?

— Nic takiego nie mówił.

— Czy będziemy musieli zabrać je do Bosithick?

— A po co? Przyrządzimy je na miejscu. Chodźcie, to mi pomożecie.

Eustace znalazł sześć czy siedem dużych okrągłych i gładkich kamieni. Ułożył z nich krąg, po czym wyjął zapalki i za pomocą pudełka po papierosach, garści wiórów i słomy rozpałił mały ogieniek. Dzieci wysłał na poszukiwanie drzewa naniesionego przez morze, którym następnie podsycił ognisko. Kiedy drwa się wypaliły i został tylko szary popiół, który po dmuchnięciu rozżarzał się na czerwono, ułożył w nim rządkiem ryby. Rozległo się skwierczenie i pryskanie, a potem wokół rozszedł się cudowny zapach.

— Nie mamy noży ani widelców — zauważyła Karolinka.

— Człowiek miał palce wcześniej, niż wymyślił widelec.

— Ale to jest gorące!

Oboje z Mikołajem przycupnęli przy ognisku, prawie nadzy, tylko w majteczkach, oblepieni grubą warstwą piasku. Wyglądali jak dzikusy, ale zdawali się być z tego zadowoleni.

Karolinka śledziła zręczne ruchy rąk Eustace'a.

— Czy pan już to kiedyś robił?

— Co, strugałem patyki?

— Nie, tylko czy pan piekł w taki sposób ryby?

— Wiele razy. To jest najlepszy sposób przyrządzania świeżej makreli, prosto z wody.

— A kiedy pan był chłopcem, to też pan to robił?

— Tak.

— Czy ten starszy pan, ten Jack Carley, wtedy żył?

— Tak. Nieraz wychodził ze swego domku i przyłączał się do naszego pikniku. Przynosił ze sobą butelkę rumu i fajkę nabitą pięknie pachnącym tytoniem, siadał przy nas i opowiadał takie mrożące krew w żyłach historie, że nigdy nie byliśmy pewni, czy to prawda.

— O czym były te historie?

— O różnych przygodach, bo on zwiedził w życiu chyba cały świat. Był kucharzem okrętowym, placowym w składzie drzewa, pracował przy budowie dróg, linii kolejowych i w kopalniach cyny. Potem wyjechał do Chile, pracował tam przez jakieś pięć lat lub więcej i wrócił do domu jako bogaty człowiek. Jednak po roku pieniądze mu się rozeszły, tak że musiał wyjechać znowu.

— Ale wrócił tu?

— Tak, wrócił do swojej zatoki. — Zauważył, że Karolinka drży. — Zimno ci?

— Niania powiedziałaaby, że mrówki jej łążą po plecach.

— Załóż sweter, to wypłosisz wszystkie mrówki, i spokojnie zjedz podwieczorek.

Obserwując, jak Eustace świetnie radzi sobie z dziećmi, Wirginia wspomniała Anthony'ego. Ileż on stracił przez to, że dzieci nic go nie obchodziły! Może gdyby Karolinka była ładna, poświęciłby jej więcej uwagi? Ta dziewczynka tak łaknęła zainteresowania i miłości ojca, którego uważała za ideał! Ponieważ jednak była niepozorna, nieśmiała i nosiła okulary — nawet nie próbował ukryć faktu, że się jej po prostu wstydzi.

No, z Mikołajem mogła być inna sprawa. Gdyby już podrósł, Anthony pewnie nauczyłby go polować, grać w golfa i łowić ryby, aby mógł towarzyszyć mu w tych rozrywkach. Może by się wtedy zaprzyjaźnili. Jednak Anthony nie żył i nie było szansy, aby tak się stało. Było jej tylko przykro, że dzieci nigdy nie będą miały wspomnień o wspólnym pływaniu czy siedzeniu z ojcem przy ognisku, słuchaniu bajek czy przyglądaniu się, jak struga patyczki.

Słońce było już nisko, rozjarzając blaskiem tafłę morza. Wkrótce miało się ściemnić. Tu mieszkał Jack Carley, podobnie jak Aubrey Crane mieszkał w Bosithick. Nie było już po nich ani widu, ani słyhu, ale odczuwało się ich niewidoczną obecność.

Ta nieustanna świadomość przeszłości była nieco krępująca, ale nie było to nic strasznego. W ogóle ta strona świata nie była miejscem dla osób nerwowych i lękliwych. Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. W morzu kryły się zdradzieckie wiry i odpływy. Groty i klify były zalewane przez fale, które odrywały całe kawałki lądu. Nawet te ciche i spokojne pola, którymi dzisiaj szli, ukrywały zamaskowane wśród paproci głębokie szyby opuszczonych kopalni. Natomiast znajdowane tu i ówdzie skrawki futra, piór i kupki zbielejących kostek świadczyły o tym, że w jamach pod ostrokrzewami mieszkały lisy.

Po zachodzie słońca słyhać było pohukiwanie sowy. Na żer wyruszał borsuk. Jednak borsuki nie polowały. Wystarczyło im, kiedy w nocy strącały pokrywy śmietników, czyniąc przy tym taki hałas, że żony farmerów budziły się złane zimnym potem.

Myśli Wirginii przerwał głos Karolinki:

— Mamo, ryba już gotowa!

Karolinka trzymała w powietrzu nadziany na patyk kawałek ryby i z niepokojem wzywała matkę:

— Chodź i weź to szybko, zanim spadnie!

Oczywiście Wirginia zerwała się na równe nogi, otrząsając piasek z kostiumu kąpielowego, i przyłączyła się do pikniku.

W poblasku zachodzącego słońca, czując chłodny powiew wiatru wiejącego w stronę morza, zaczęli się zbierać do domu. Dzieci po kąpieli były śpiące, więc się nie odzywały. Mikołaj tym razem nie miał nic przeciwko temu, aby Eustace wziął go „na barana”. Wirginia niosła mokre rzeczy i ręczniki w sznurkowej torbie po makrelach, a wolną dłonią trzymała rączkę Karolinki. Wszyscy byli rozczochrani, upačkani piaskiem i solą morską, a przede wszystkim zmęczeni. Wspinaczka po stromej ścieżce wśród paproci i podszycia leśnego była dużym wysiłkiem. Kiedy dotarli do wyżej położonych pól, dalej poszło już łatwo. Za nimi morze odbijało wszystkie barwy wieczornego nieba, a przed nimi leżał Bosithick, wtulony w załom szosy, na której od czasu do czasu pobłyskiwały światła przejeżdżającego samochodu.

Po najwyżej położonym pastwisku łąziło kilka biało-brązowych krów Eustace'a, które przedostały się tam przez dziurę w płocie. Słysząc było przyjemny chrzęst przeżuwanej przez nie trawy, gdy przyglądały się przechodzącym.

Mikołaj nachylił się do ucha Eustace'a i szepnął:

— Czy pan pójdzie z nami do domu?

— Już pora, abym poszedł do siebie.

— My byśmy chcieli, żeby pan został u nas na kolacji.

— Przecież już jedliście kolację! — zdziwił się Eustace.

— A ja myślałem, że to był podwieczorek!

— Chcesz mi powiedzieć, że coś jeszcze zmieści ci się w żołądku?

— No, może już nie... — przyznał Mikołaj z ziewnięciem.

— Dostaniecie jeszcze kakao, kiedy już będziecie w łóżkach — obiecała Wirginia.

— Tak, ale byłoby przyjemniej, gdyby pan Eustace przyszedł do nas i porozmawiał jeszcze z nami, kiedy będziemy się kąpać!

— A kiedy pan by rozmawiał z nami, mamusia mogłaby spokojnie ugotować kakao! — poparła go Karolinka.

— Mogę zrobić jeszcze więcej — z uśmiechem zaproponował Eustace.
— Mogę oczyścić wam plecy z piasku!

Dzieci piskliwie zachichotały, jakby usłyszały coś bardzo śmiesznego. Oczywiście zaraz po wejściu do domu pognały na wyścigi do łazienki i po chwili rozległy się stamtąd niepokojące pluski. Eustace zawinął rękawy koszuli i wkroczył do środka, by zaprowadzić porządek. Wirginia usłyszała, jak mówi:

— Spokojnie, bo zatopisz swój statek, jeśli nie będziesz uważał!

Zostawiła go z dziećmi i zaniósła pachnącą rybami torbę do kuchni. Wrzuciła do zlewu zapiaszczone ręczniki i kostiumy kąpielowe, opłukała je, wyżeła i wyniosła do ogrodu. Po ciemku namacała linkę do bielizny i porozwieszała uprane rzeczy.

Wróciła do kuchni, naląła mleka do rondelka i postawiła na ogniu. Pilnując go, ziewnęła. Kiedy chciała przetrzeć oczy, zorientowała się, że twarz ma szorstką od piasku. Wyciągnęła z torebki grzebyk i lusterko. Ustawiła je na półce kredensu i próbowała doprowadzić do porządku włosy, ale zrobiły się sztywne od soli i pełno w nich było piasku. Pomyślała, że gdyby był tu prysznic, umyłaby je, ale zbyt trudne wydało jej się mycie włosów pod kranem. W słabym świetle widziała w lusterku tylko piegi wokół nosa i swoje oczy pograżone w cieniu.

Tymczasem w rondelku zakipiało mleko. Wirginia przygotowała dwa kubki kakao, ustawiła je na tacy i zaniósła na górę. Po drodze zauważyła, że łazienka jest już wolna, a ślad zostawiony przez mokre ręczniki i stopy prowadzi do sypialni dzieci. Drzwi do niej były otwarte i dochodziły stamtąd głosy.

Wirginia weszła i nie zauważona obserwowała, co działo się wewnątrz. Eustace siedział plecami do wejścia na łóżku Karolinki, a dzieci, głowa przy głowie, na łóżku Mikołaja. Eustace oglądał zdjęcia w albumie Karolinki i słuchał jej objaśnień.

— Ten wysoki pan to nasz tatuś. Był bardzo przystojny, prawda? — Tak rozmowna bywała Karolinka tylko w towarzystwie kogoś, z kim czuła się zupełnie swobodnie.

— A to jest nasz dom w Szkocji. Tu moja sypialnia, tam Mikołaja, a to nasz pokój do zabawy...

— Właśnie, że to był mój pokój!

— Mówiłam przecież, że to twój, głuptasie! To jest pokój Niani, a tu mamusi, ale szkoda, że nie możesz zobaczyć ich od tyłu, bo one są z drugiej strony okrągłe. A to jest widok z góry...

— Jeden pan robił to zdjęcie z samolotu — wtrącił się Mikołaj.

— Na tym zdjęciu widać cały park, a na tamtym rzekę. A za tym murem jest ogród.

— A to pan McGregor na swoim traktorze. To jest Bob, a to Fergie...

— Chwileczkę — Eustace zaczął już tracić wątek.

— Kto to są Bob i Fergie?

— No przecież Bob pomaga panu McGregorowi, a Fergie panu ogrodnikowi. A jeszcze Fergie umie grać na kobzie i wiesz, kto go nauczył? Jego wujek! A wiesz, jak go nazywają? Plujek! — Mikołaj z tryumfem odpowiedział sam sobie.

— Wujek Plujek — powtórzył Eustace.

— A tu jest tatuś na nartach w St. Moritz, a tu my wszyscy na polowaniu na pardwy... to znaczy, myśmy nie polowali, byliśmy tylko na pikniku. A tu widać kawałek tej rzeki, w której czasem się kąpiemy, ale tam nie jest za bardzo bezpiecznie, bo na dnie są ostre kamyki. Ale mama obiecała, że będziemy mieli basen, jak tylko wrócimy do Kirkton. Taki basen jak u cioci Alicji...

— A to jest samochód tatusia, taki wielki... — Mikołaj aż się zająknął — taki wielki, zielony jaguar!

— Proszę, to kakao dla was — wtrąciła Wirginia.

— Mamusiu, pokazywaliśmy Eustace'owi zdjęcia z Kirkton.

— Wiem, słyszałam wszystko.

— To było bardzo ładnie z waszej strony — podsumował Eustace. — Dzięki temu dowiedziałem się sporo o Szkocji.

Wstał, jakby chciał zejść Wirginii z drogi, i poszedł odłożyć album z fotografiami na komodę. Dzieci powłaziły do łóżek i prosiły:

— Musisz znowu przyjść do nas! Mamo, a czy on nie mógłby zostać z nami? Jest jeszcze jeden wolny pokój!

— Pewnie tak — zgodziła się Wirginia. — Ale Eustace nie ma czasu.

— Otóż to! — wpadł jej w słowo Eustace. — Jestem stale zajęty. Zawsze jest coś do roboty. No to... — zrobił krok w stronę otwartych drzwi — będę wam już życzył dobrej nocy.

— Dobranoc, Eustace. I dziękujemy ci, że nas zabrałeś w to śliczne miejsce!

— Niech się wam tylko nie przyśni Jack Carley!

— A nawet gdyby się przyśnił, nie będę się go bała.

— I dobrze. Dobranoc, Mikołaju!

— Dobranoc. Rano do ciebie przyjdę.

— Nie odchodź jeszcze — zawołała za nim Wirginia. — Zaraz zejść na dół.

— Zaczekam na dole — obiecał.

Choć dzieciom kleiły się już oczy, przykładowo wypity kakao. W końcu położyły się i Wirginia pocałowała je na dobranoc. Wtedy Mikołaj zrobił coś nieoczekiwane. Mimo że normalnie raczej nie był skłonny do okazywania uczuć, raptem objął ją za szyję i przycisnął jej policzek do swojego.

— O co chodzi, kochanie? — spytała.

— To było bardzo fajne miejsce, prawda?

— Masz na myśli tę małą plażę?

— Nie, ten dom, gdzie mieszka Eustace.

— Penfolda?

— Aha. Pójdziemy tam jeszcze?

— Oczywiście.

— Ten mały kotek był taki śliczny!

— Widziałam, że ci się podobał.

— Eustace jest jeszcze na dole?

— Tak.

— Będę słyszał, jak będziecie gadać — stwierdził z satysfakcją. — Będziecie gadać, gadać, gadać!...

— Będzie ci przyjemnie tego słuchać?

— Myślę, że tak — odrzekł Mikołaj.

Dzieci już zasypiały, ale Wirginia jeszcze została na chwilę w ich pokoju. Zakrzętała się szybko, pozbierała rozsypane ubranka, poskładała w kostkę i ułożyła na dwóch rozchybotanych wiklinowych krzesłach równie starannie, jak to robiła Niania. Potem przymknęła okno, gdyż wieczór był chłodny, i zaciągnęła zbyt oszczędnie skrojone zasłony. Od razu w pokoju zrobiło się przytulnie i bezpiecznie, a przyćmione światło nocnej lampki dawało łagodne cienie. Słyszeć było tylko tykanie przywiezionego przez Karolinę budzika i oddechy dzieci.

W tej chwili przepełniało ją uczucie miłości zarówno do dzieci, jak tego dziwnego domku i mężczyzny, który czekał na nią na dole. Była również przeświadczona o słuszności tego, co robi. „Po raz pierwszy — myślała — będziemy z Eustace'em sami, tylko we dwójkę”. Rozpali ogień na kominku, żeby było weselej; zasunie zasłony i zaparzy cały dzbanek kawy. Jeżeli zechcą, będą mogli przegadać nawet całą noc. Będą mogli być razem.

Karolinka i Mikołaj już spali. Wirginia zgasła światło i zeszła na dół, w ciemność, która niespodziewanie zapadła. Miała już moment zwątpienia, kiedy sądziła, że Eustace zmienił zdanie i poszedł sobie. Tymczasem stał przy oknie, palił papierosa i wypatrywał ostatnich blasków słońca na wieczornym niebie. Te ostatnie promienie odbijały się również na jego twarzy, ale kiedy się odwrócił na odgłos kroków Wirginii, twarz miał już w cieniu.

— Myślałam, że już poszedłeś — zaczęła.

— Nie, wciąż jeszcze tu jestem.

Żeby nie siedzieć w ciemności, zapaliła stojącą lampę, której żółte światło rozlewało się po stole. Czekala, aż Eustace odezwie się pierwszy, ale on nic nie mówił, tylko stał i palił, postanowiła więc zappełnić ciszę słowami.

— Nie miałam czasu pomyśleć o kolacji. Może byś coś zjadł? Nawet nie wiem, która może być godzina.

— Dziękuję, nie jestem głodny.

— Może napijesz się kawy?

— A nie masz czasem puszki piwa?

Wykonała tylko gest bezradności.

— Przepraszam, Eustace, ale nigdy nie mam w domu piwa, bo sama go nie piję. — Zabrzmiało to bardzo zasadniczo, tak jakby potępiała samo piwo jako takie, więc dorzuciła, chcąc obrócić sprawę w żart: — Po prostu mi nie smakuje.

— Nic nie szkodzi.

Wirginia z zamierającym na wargach uśmiechem przełknęła ślinę.

— Na pewno nie chcesz kawy?

— Nie, dziękuję. — Zaczął rozglądać się za popielniczką.

Wirginia podsunęła mu spodeczek, na którym zdusił niedopałek z taką złością, jakby czuł do niego jakąś osobistą urazę.

— Muszę już iść.

— Ale...

Odwrócił się w jej stronę, czekając, aż dokończy zdanie, ale straciła odwagę i odpowiedziała ogólnikowo:

— Tak, to był wspaniały dzień. Bardzo ładnie z twojej strony, że poświęciłeś nam tyle czasu, pokazałeś nam zatokę i... wszystko. — Tu przybrała wysoki i formalny ton głosu. — Dzieci były zachwycone.

— To dobre dzieci.

— Tak, ja...

— A kiedy chcesz wracać do Szkocji? — przerwał chłodno i opryskliwie. Jego ton ją zmroził.

— Jj... jeszcze nie wiem. — Musiała aż oprzeć się o krzesło, aby pewniej stać na nogach. — A dlaczego pytasz?

— Bo przecież chcesz tam wrócić.

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Nieśmiałość Wirginii podsunęła jej najgorsze przypuszczenia. A więc Eustace spodziewał się, że ona tam wróci, mało tego, chciał, żeby wróciła! Aż sama się sobie dziwiła, że odpowiedziała z taką łatwością:

— No, kiedyś na pewno tam wrócę. W końcu to mój dom, mój i dzieci.

— Do dzisiejszego wieczora nie zdawałem sobie sprawy, że to tak olbrzymi majątek.

— Aha, chodzi o te zdjęcia Karoliny?

— No, ale jest tam mnóstwo ludzi, którzy pomogą ci tym zarządzać.

— Ależ ja nigdy tym nie zarządzałam!

— Więc powinnaś zacząć interesować się rolnictwem. Nie masz pojęcia, ile tam jest do roboty. Możesz spróbować zacząć coś całkiem nowego, na przykład hodowlę bydła rasy aberdeen angus. Czy twój mąż kiedykolwiek o tym myślał? Dobrego byka tej rasy można sprzedać na aukcji w Perth za jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy funtów.

Przypominało to rozmowę z jakiegoś koszmarne go snu, zwariowaną i do niczego nie prowadzącą. Przez wyschnięte gardło z trudem wykrztusiła:

— A tobie się to udawało?

— Oczywiście. I pamiętaj, że kiedyś będziesz musiała dorobić się czegoś naprawdę wielkiego, żeby móc przekazać to twojemu synkowi.

— No, tak...

— Muszę już iść — powtórzył i jakby cień uśmiechu rozjaśnił jego rysy. — To był dobry dzień!

Tak naprawdę to Wirginia pamiętała lepszy. Był to ten wiosenny dzień, który spędziła z Eustace'em, wtedy kiedy zafundował jej lody, a potem odwiózł do domu. Przyrzekł wtedy, że do niej zadzwoni, po czym albo zapomniał, albo zmienił zdanie. Nagle uświadomiła sobie, że przez całe dzisiejsze popołudnie czekała, żeby Eustace powiedział jej, co się naprawdę wtedy zdarzyło. Liczyła na to, że sam poruszy ten temat, może w formie zabawnej historyjki do opowiadania dzieciom lub nieobowiązującego wspomnienia sprzed lat. Ponieważ jednak nic o tym nie wspomniał, Wirginia obawiała się, że nigdy już się nie dowie, jak to było.

Wstała więc z krzesła i wyprostowała się, krzyżując ręce na piersi, jakby chcąc zatrzymać w sobie ciepło tego dnia.

— Tak — odpowiedziała. — To był szczególny dzień, z rodzaju takich, których się nigdy nie zapomina.

Kiedy jednak Eustace zbliżył się do niej, Wirginia odwróciła się w inną stronę i poszła otworzyć mu drzwi. Na zewnątrz było wygwieżdżone niebo i chłodne powietrze o słodkim zapachu rosy. Z ciemności dochodziło smętne nawoływania kulika.

— Dobranoc, Wirginio — powiedział Eustace, przechodząc obok niej.

— Dobranoc, Eustace.

Widziała, jak schodzi po schodkach, potem przeskakuje murek i idzie przez pole w kierunku starej farmy, gdzie zostawił samochód. Dalej ginął już w mroku, więc zamknęła drzwi od środka na klucz i wróciła do kuchni, gdzie starannie umyła kubki po kakao. Słyszała warkot silnika landrovera wyjeżdżającego przez bramę, potem stromą uliczką w górę aż do głównej szosy, ale nie odrywała się od swojej roboty. Kiedy kubki były wytarte, a ściereczka starannie złożona, nie było już co robić i wtedy Wirginia poczuła, że jest zmęczona. Pogasiła światła, poszła na górę, rozebrała się i położyła do łóżka. Leżała spokojnie, lecz w głowie miała taki zamęt, jakby przez tydzień żyła tylko o czarnej kawie. W jej mózgu kotłowały się sprzeczne myśli,

— On cię wcale nie kocha!

— Nigdy nawet nie myślałam o tym.

— Ale po dzisiejszym dniu zaczynałaś już tak myśleć!

— To znaczy, że się myliłam. Nie mamy przed sobą żadnej wspólnej przyszłości, dał mi to wyraźnie do zrozumienia.

— A ty myślałaś, że co się stanie?

— Sądziłam, że będzie w stanie porozmawiać o tym, co było dziesięć lat temu.

— Przecież niczego takiego wtedy nie było. I dlaczego miałby o tym pamiętać?

— Bo ja o nim pamiętałam! Bo dla mnie był najważniejszym wydarzeniem w moim życiu!

— Wcale o nim nie pamiętałaś. Przecież wyszłaś za Anthony'ego Keile'a!

* * *

Ślub odbył się w Londynie, w lipcu. Wirginia miała na sobie kremową, atłasową suknię z trenem długim na sześć stóp i welonem, w którym brała

ślub jeszcze babka lady Keile. Anthony wystąpił w szarym surducie i nieskazitelnie skrojonych sztuczkowych spodniach. Wyszli z kościoła

Świętego Michała w blasku słońca i przy dźwięku dzwonów. Orszak druhen wzbudzał „achy” i „ochy” wśród tłumu ciekawskich kobiet, które tłoczyły się przy drzwiach kościoła, czekając na ukazanie się młodej pary.

Nastrój podniecenia, wypity szampan, jak też przyjemność przyjmowania gratulacji i życzeń dodawały Wirginii sił aż do momentu, kiedy trzeba było iść się przebrać przed wyruszeniem w podróż poślubną. Czekala już na nią wszechobecna matka, aby pomóc jej zdjąć chrześzczącą atlasową suknię i odpiąć pożyczony diadem z przezroczystą mgiełką welonu.

— Wszystko świetnie poszło, kochanie! Wyglądałaś zachwycająco! Wiem, że to zarozumiałość z mojej strony mówić tak o własnym dziecku, ale... Ty drżysz, kochanie, czy ci nie zimno?

— Nie, skądże.

— Więc szybko zmień pantofle, a ja pomogę ci założyć sukienkę.

Sukienka na podróż poślubną była różowa, z dobranym do niej kapelusikiem całym z kwiatowych płatków. Rzecz jasna, był to uroczo niepraktyczny zestaw, którego Wirginia nie włożyła już nigdy więcej. Wyobrażała sobie, że po upływie miodowego miesiąca te płatki będą już poskręcane i zbrązowiałe na brzegach. Oczywiście nic podobnego nie mogło się zdarzyć, bo płatki były sztuczne, zrobione z jedwabiu.

— Twoja walizka jest już w bagażniku samochodu Anthony'ego. To był dobry pomysł, żeby podjechać taksówką aż pod dom, a tam dopiero przesiąść się w samochód. W ten sposób uniknęliśmy tych wszystkich wygłupów z obrzucaniem was ryżem i starymi butami.

Na korytarzu dał się słyszeć wrzask i tupot nóg. Głos Anthony'ego wybijał się na tym tle jak dźwięk rogu myśliwskiego.

— O, chyba on już jest gotów! — Matka szybko pocałowała Wirginię. — Baw się dobrze, kochanie!

Drzwi rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich Anthony, w garniturze, który sobie wybrał na tę podróż, i w wielkim, słomkowym kapeluszu na głowie. Najwyraźniej był już podpity.

— Jesteś nareszcie! Włożyłem ten kapelusz, żeby było widać, że wyjeżdżamy na południe!

Pani Parsons z pobłażliwym uśmiechem zdjęła zięciowi kapelusz i przyglądała mu włosy. Właściwie równie dobrze ona mogłaby być panną

młoda, bo Wirginia stała z boku i bez emocji przyglądała się tej scenie. Anthony wyciągnął do niej rękę.

— Chodźmy, czas już na nas — powiedział.

Taksówką, całą zasypaną confetti, podjechali z powrotem pod mieszkanie Parsonsów, gdzie czekał już samochód Anthony'ego. Zgodnie z planem mieli tu przenieść się wprost do jego samochodu i od razu jechać na lotnisko, ale Wirginia miała przy sobie zapasowy klucz od mieszkania, więc nieco zmieniła ten plan. Weszli do kuchni, gdzie szybko założyła fartuszek na różową jedwabną sukienkę i zaparzyła Anthony'emu cały dzbanek mocnej, czarnej kawy.

Na swój miesiąc miodowy Wynajęli willę w Antibes na Riwierze Francuskiej. Już na drugi dzień Anthony spotkał tam starego kumpla, a pod koniec pierwszego tygodnia pobytu znał już chyba wszystkich w okolicy. Wirginia usiłowała wmówić sobie, że tego właśnie oczekiwała i pragnęła. Towarzyskość Anthony'ego była w końcu jedną z tych zalet, które ją w nim zafrapowały. Niemniej jednak po pewnym czasie stało się jasne, że nie bardzo mają o czym ze sobą rozmawiać. Rozmowa przy stole wyraźnie się nie kleiła. Wirginia dopiero teraz zorientowała się, że do tej pory nie byli jeszcze nigdy zdani tylko na własne towarzystwo.

W pobliżu, na przylądku Ferrat, w wynajętym domu mieszkał Hugh Rouse, który był pisarzem, i jego żona Janey. Janey była nieco starsza od Wirginii, lecz polubiły się i chętnie ze sobą rozmawiały. Któregoś dnia obie panie siedziały na tarasie domu Rouse'ów, czekając, aż mężowie wrócą z wycieczki po nadbrzeżnych skałkach. Janey jako dziecko mieszkała w USA, więc choć nie nabrała amerykańskiego akcentu, przyswoiła sobie nieco bezceremonialny sposób wyrażania się. Zapytała więc mimochodem:

- Od jak dawna znasz Anthony'ego, mała?
- Od niedawna. Poznaliśmy się w maju.
- Czyli miłość od pierwszego wejrzenia, tak?
- No, nie wiem. Chyba tak.
- A ile ty, mała, masz lat?
- Osiemnaście.

— To jesteś jeszcze dużo za młoda, żeby już zakładać sobie obrozę na szyję. Tym bardziej nie wyobrażam sobie, żeby Anthony mógł ustatkować się w ciągu kilku najbliższych lat.

— Będzie musiał — odparła Wirginia. — Mamy zamiar przenieść się do Szkocji. Anthony odziedziczył tam majątek po swoim wuju, który był starym kawalerem.

— Myślisz, że Anthony będzie po całych dniach uganiał w tweedowym ubraniu i zabłoconych butach?

— Może nie tak dosłownie, ale życie w Szkocji na pewno nie jest takie samo jak w Londynie.

— Nawet zupełnie inne — zgodziła się Janey, która była kiedyś w Szkocji. — Ale nie spodziewaj się lekkiego życia, bo ciężko się rozczarujesz.

Wirginia mimo to spodziewała się lekkiego życia. Nie była nigdy w Kirkton ani w ogóle w Szkocji, ale kiedyś spędzała ferie wielkanocne u koleżanki mieszkającej w Northumberland. Z jakiegoś powodu wydawało się jej, że Szkocja to też coś w tym rodzaju, i wyobrażała sobie Kirkton jako niski wiejski dom z kamienia, urządzone chaotycznie, z łupkowymi posadzkami i wytartymi tureckimi dywanami, gdzie w stołowym pokoju płoną drwa w kominku, a na ścianach wiszą oleodruki ze scenami myśliwskimi.

Tymczasem na miejscu zastała elegancki, profesjonalnie zaprojektowany budynek z przesuwanymi oknami, w których odbijało się słońce. Od podjazdu do drzwi frontowych prowadził ciąg kamiennych schodów. Wokół zwirowanego podjazdu rozpościerały się trawniki, a za ukrytym w rowie ogrodzeniem — angielski park, którego krajobraz urozmaicały potężne buki i srebrna wstęga rzeki.

Wirginia była tak przytłoczona tym widokiem, że w milczeniu szła za Anthonym po schodach do środka. Dom był zupełnie pusty i nieumeblowany. Do nich miało należeć jego urządzenie. Wirginii wydawało się to zadaniem ponad siły, ale Anthony zlekceważył jej obawy.

— Zlecimy to Filipowi Sayerowi, temu projektantowi wnętrz, który urządzał dom mojej mamy w Londynie. Inaczej popełnimy różne fatalne błędy i dom urządzone będzie zupełnie bez smaku.

Całkiem prywatnie Wirginia wolałaby nawet najfatalniejsze, lecz własne błędy od perfekcyjnej fachowości kogoś obcego. Nie odważyła się jednak powiedzieć tego głośno.

— Tu będzie salon, a za nim biblioteka. To pokój stołowy, a na dole te wszystkie sprawy kuchenne — objaśniał mąż.

W wysokich pokojach odbijało się echo, z bogato zdobionych sufitów zwisały kryształowe żyrandole obwieszone szklanymi pryzmatami. Ściany były wyłożone boazerią, a nad oknami widniały pięknie rzeźbione gzymsy. Wszystko było zakurzone i wiało chłodem.

Weszli na piętro po kręconych schodach o lekkiej konstrukcji. Każdy ich krok odbijał się echem po pustym domu. Na górze znajdowały się sypialnie, każda z własną łazienką, garderoby, bieliźniarki, służbówki, a nawet buduar.

— Co się robi w buduarze? — Chciała wiedzieć Wirginia.

— Jak sama nazwa wskazuje, możesz tam siedzieć i grymasić, bo to oznacza francuskie słowo boudier. Przestań już robić taką przestraszoną minę i zachowuj się swobodnie.

— Ale to wszystko jest takie wielkie!

— Mówisz takim tonem, jakby to był co najmniej Buckingham Pałac.

— Bo nigdy jeszcze nie mieszkałam w tak wielkim domu i w życiu nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę.

— Ale teraz będziesz, więc zacznij się już przyzwyczajać.

Wyszli na dwór i stanęli obok samochodu, przyglądając się eleganckiej elewacji frontu z regularnie rozmieszczonymi oknami. Wirginia, z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza, zadała jeszcze jedno pytanie:

— A gdzie tu jest ogród?

— Co masz na myśli?

— No, taki normalny ogród, z kwiatami i grządkami. Okazało się, że ogród, otoczony murem, znajduje

się o pół mili od domu. Podjechali tam i zastali na miejscu ogrodnika układającego warzywa i owoce w równe rzędkie.

— To jest nasz ogród — zaanonsował Anthony.

— Aha — odrzekła tylko Wirginia.

— Co to miało oznaczać?

— Nic, po prostu zwykłe „aha”.

Wezwany dekorator wnętrz żwawo zabrał się do roboty. Tuż za nim przybyły karawany ciężarówek wiozących murarzy, sztukatorów, malarzy, dostawców zasłon i dywanów oraz obficie załadowane meblowozy. Wydawało się, że to nigdy się nie skończy.

Wirginia godziła się biernie na wszystko. Akceptowała każdy odcień pluszu zachwalany przez Filipa Sayera. Potakiwała, bez względu na to, czy chodziło o mosiężne ramy do łóżek w pokoju gościnnym czy o grube, białe,

szydełkowe narzuty na łóżka — w „typowym wiktoriańskim stylu wiejskiego dworu”.

Tylko raz ośmieliła się zabrać głos, próbując przeforsować swoją wizję kuchni. Chciała bowiem, by przypominała kuchnię w Penfoldzie, tę oazę spokoju i bezpieczeństwa, gdzie w powietrzu unosił się zapach gotowanych potraw, na krześle spał kot zwinięty w kłębek, a parapet był cały zastawiony pelargoniami.

— Chciałabym mieć taką kuchnię jak w wiejskich domach. Taką, wokół której skupia się życie całej rodziny.

— Ja tam nie mam zamiaru żyć w kuchni, to ci od razu mówię!

Wirginia nie mogła sprzeciwić się Anthony'emu, gdyż w końcu był to jego dom i za jego pieniądze zostały zamówione zlewozmywaki z nierdzewnej stali, posadzki z czarno-białych kafelków i samooczyszczający się trzon kuchenny z rusztem i rożnem do pieczenia kurcząt.

Kiedy już wszystkie roboty były ukończone, okazało się, że Wirginia jest w ciąży.

— Co za wspaniała nowina dla Niani! — skomentowała to lady Keile.

— Dlaczego akurat dla Niani?

— Ach, kochanie, ona wprawdzie teraz dorywczo pracuje w Londynie, ale nie może się doczekać nowego dzidziusia! Na pewno nie będzie jej zbyt łatwo opuścić Londyn, ale ona ma talent do nawiązywania nowych znajomości. Stworzyła sieć, chyba mocniejszą niż Wspólnota Brytyjska. O, tu na piętrze musi być pokój dziecienny, bo u szczytu schodów jest bramka, a w oknach pręty. Poza tym to bardzo słoneczny pokój. Co do dywanów, czy nie sądzisz, że najlepsze będą bladoniebieskie? A do tego zasłony z francuskiego perkalu...

Wirginia próbowała zdobyć się na odwagę, by powiedzieć: „Nie, ja sama zajmę się moim dzieckiem!” Jednak dolegliwości pierwszej ciąży, z Karoliną, znosiła tak źle, że zanim poczuła się na siłach, by wziąć sprawy w swoje ręce, Niania była już na miejscu i zdążyła na dobre się zadomowić. „Niech na razie zostanie — myślała Wirginia. — Dopóki nie urodzi się dziecko i nie będę w dobrej formie, no, może jeszcze przez miesiąc lub dwa. Potem powiem jej, że może wracać do Londynu, bo chcę sama opiekować się moim dzieckiem”.

Tymczasem jednak pojawiły się dalsze komplikacje. Pozostająca w Londynie matka Wirginii zaczęła nagle uskarżać się na bóle i uczucie znużenia, a potem gwałtownie tracić na wadze. Wirginia natychmiast

pojechała do niej i odtąd miotała się, rozdarta wewnętrznie, między swoim dzieckiem w Szkocji a matką w Londynie. No, a skoro bez przerwy musiała podróżować w tę i z powrotem, szaleństwem byłoby odprawiać Nianię, przynajmniej dopóki pani Parsons nie wyzdrowieje. Oczywiście już nie wyzdrowiała, a gdy ta udręka wreszcie się skończyła, pojawiło się drugie dziecko — Mikołaj. No, a przy dwóch dzidziusiach w pokoju dzieciennym Niania okopała się już na dobre.

W Kirkton, w promieniu jakichś dziesięciu mil od ich domu, mieszkali akurat sami ludzie lubiący rozrywki. Były to przeważnie młode małżeństwa mające czas i pieniądze. Niektórzy z nich mieli też dzieci w tym samym wieku co Keile'owie, a wszyscy — takie same zainteresowania jak Anthony.

Dla zachowania pozorów Anthony musiał spędzać trochę czasu na farmie, wydając dyspozycje rządcy, panu McGregorowi. W tym celu próbował uprzednio domyślać się, co, zdaniem pana McGregora, powinno być zrobione, aby następnie zlecać mu zrobienie tego. Resztę czasu miał już tylko dla siebie i wykorzystywał go w pełni, robiąc to, na co miał ochotę.

Szkocja jest miejscem stworzonym dla typowo męskich rozrywek. I tak, sezon polowań trwał tam prawie przez okrągły rok, latem na pardwy, zaś jesienią i zimą na kuropatwy i bazynty. Były tam też rybne rzeki i pola golfowe, a życie towarzyskie bardziej intensywne niż w Londynie.

Wirginia nie łowiła ryb ani nie grała w golfa, ale nawet gdyby chciała to robić, Anthony wcale nie pragnął, by mu w tym towarzyszyła. Wolał przebywać sam wśród swoich kolegów, a żonę zabierał tylko na te imprezy, na które wyraźnie zapraszano ich razem. Mogła to być kolacja, przyjęcie z tańcami, ewentualnie lunch przed biegiem myśliwskim. Przed każdym takim wyjściem była w rozterce, co ma na siebie włożyć, a w końcu i tak występowała w czymś, co już od roku wyszło z mody.

Główną wadą Wirginii była nieśmiałość, a że nie piła alkoholu, nie mogła w ten sztuczny sposób dodać sobie animuszu. W oczach kolegów Anthony'ego przypuszczalnie uchodziła za osobę nudną i nieciekawą. Ich żony były dla niej miłe i uprzejme, ale między sobą porozumiewały się własnym szyfrem, czyniąc wciąż aluzje do sobie tylko znanych miejsc, osób czy wydarzeń. Wyglądało to tak, jakby wszystkie kiedyś chodziły do tej samej szkoły.

Pewnego razu, w drodze powrotnej z jakiejś imprezy, Wirginia pokłóciła się z Anthonym. Nie miała zamiaru wszczynać kłótni, ale czuła się zmęczona i sfrustrowana, a on wypił tego dnia więcej niż zwykle. Zawsze

zresztą pił na przyjęciach zbyt dużo, przypuszczalnie uważając to za coś w rodzaju obowiązku towarzyskiego. Tego zaś wieczoru pod wpływem alkoholu był szczególnie agresywny i drażliwy.

— No i jak, bawiłaś się dobrze? — sam sprowokował dyskusję.

— Niespecjalnie.

— I pewnie nawet nie udawałaś, że było inaczej?

— Byłam zmęczona.

— Zawsze jesteś zmęczona. Ciekawe czym, przecież nic nie robisz.

— Może właśnie tym.

— Co to ma znaczyć?

— Nic takiego.

— To musi coś znaczyć!

— Jeśli już musi, to to, że nudzę się i czuję się samotna.

— To już nie moja wina.

— A niby czyja? Całymi dniami nie ma cię w domu, to jakiś lunch w klubie, to znów co innego... Prawie cię nie widuję.

— I co z tego? Tak samo postępują setki innych facetów. A jak myślisz, co przez ten czas robią ich żony? Siedzą i kwękają?

— Sama jestem ciekawa, jak one spędzają czas. Może mnie uświadomisz?

— Po prostu bywają w towarzystwie. Odwiedzają się nawzajem, wożą dzieci na lekcje jazdy konnej, grają w brydża, może pracują w ogródkach...

— A ja nie umiem grać w brydża — odparowała Wirginia. — Nasze dzieci nie chcą jeździć na kucykach, a w ogródku pracowałabym chętnie, gdyby tu w Kirkton był porządny ogród. To, co jest, to więzienie dla kwiatów, a pilnuje go wściekły staruch, który nie pozwala mi bez pytania urwać nawet kilku mieczyków na bukiet!

— Och, na miłość boską...

— Przyglądam się innym ludziom — ciągnęła dalej. — Czasem w sobotę w Relkirk spotykam takie zwyczajne małżeństwa. W każdą pogodę robią razem zakupy, kupują dzieciom lody, wrzucają swoje pakunki do małych, byle jakich samochodów i jadą do domów. I przy tym wszystkim wyglądają na wesołych i szczęśliwych.

— No, nie. Chyba nie chciałabyś tak żyć?

— Przede wszystkim nie chciałabym być samotna.

— Samotność jest stanem umysłu. Tylko ty możesz coś na to poradzić.

— A czy ty nigdy nie czułeś się osamotniony?

— Nie.

— A więc nie ożeniłeś się ze mną dla towarzystwa. Ani też na pewno nie z powodu moich zdolności konwersacyjnych.

— Ano nie — potwierdził z kamienną twarzą.

— No więc dlaczego?

— Bo byłaś bardzo ładna, miałaś wdzięk sarenki. Moja matka uważała, że jesteś czarująca, a twoja matka też jest czarująca. Uważała, że ten cały pieprzony układ jest świetny.

— Chyba nie ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że matka ci kazała?

— No, nie, ale widzisz, z kimś musiałem się ożenić, a ty pojawiłaś się akurat w odpowiednim momencie.

— Nie rozumiem.

Anthony nic nie odpowiedział. Przez jakiś czas prowadził samochód w milczeniu. Może jakiś cień przyzwoitości powstrzymywał go przed powiedzeniem jej całej prawdy. Wirginia popełniła jednak ten błąd, że zaczęła nalegać, gdyż wydawało jej się, że sprawy zaszły już za daleko.

— Nie rozumiem, Anthony! — nalegała, aż w końcu stracił cierpliwość i wygarnął jej wszystko.

— Widzisz, odziedziczyłem Kirkton pod warunkiem, że ożenię się, zanim je przejmę. Wuj Artur obawiał się, że nigdy się nie ustatkuję i doprowadzę majątek do ruiny, jeśli obejmę go jako kawaler. Nie wiem, co on sobie myślał, ale uparł się, że mogę mieszkać w Kirkton tylko jako ojciec rodziny.

— Ach, więc to tak! Anthony uniósł brwi.

— Czy czujesz się urażona?

— Bo ja wiem... A powinnam?

Jego dłoń poszukała jej ręki. Samochód lekko zboczył z drogi, kiedy ścisnął jej palce.

— W porządku — powiedział. — Możemy z tym żyć, nie lepiej i nie gorzej niż inne małżeństwa. Czasem dobrze jest być ze sobą szczerym, żeby wiedzieć, na czym się stoi.

— Czy kiedykolwiek żałowałaś, że ożeniłeś się ze mną? — Chciała wiedzieć.

— Nie, skąd, niczego nie żałuję. Przykro mi tylko, że to musiało się stać, kiedy oboje byliśmy jeszcze tacy młodzi!

Któregoś dnia Wirginia została w domu całkiem sama. Była sobota po południu. Pan McGregor pojechał z żoną do Relkirk. Anthony grał z kimś w

golfa. Niania zabrała dzieci na spacer, a w pustym domu nie było nic do roboty. Nie czekało na nią żadne pranie, pieczenie ciasta, prasowanie czy plewienie ogródka. Wirginia obeszła po kolei wszystkie pokoje, jakby była turystką zwiedzającą zamek za biletom wstępu. Słysząc było tylko jej kroki na wyfroterowanych schodach i tykanie zegara. Wszędzie panowała kliniczna czystość i porządek, czyli to, w czym Anthony się lubował. Ten dom był jego dziełem, a zarazem powodem, dla którego się z nią ożenił.

Kiedy Wirginia znalazła się w hallu, otworzyła drzwi frontowe i zeszła po schodach na żwirowany podjazd. Myślała, że może uda jej się dojrzeć z daleka Nianię z dziećmi. Wybiegłaby im wtedy naprzeciw, aby złapać Karolinę na ręce i wyściskać ją porządnie, choćby tylko dla upewnienia się, że jest żywym dzieckiem, a nie wytworem marzeń sfrustrowanej starej panny.

Ponieważ jednak nigdzie w pobliżu nie było widać Niani, Wirginia wróciła do domu, bo nie było tam innego miejsca, gdzie by mogła pójść.

W pobliżu mieszkała niejaka Liza, młoda kobieta, żona prawnika pracującego w Edynburgu. Dom ich mieścił się o jedną, dwie mile od Kirkton. Była to przebudowana stara prezbiteriańska plebania z zaniedbanym ogrodem, wiosną żółtym od żonkili, i wybiegiem dla kucyków.

Liza miała, jak i Wirginia, małe dzieci. Trzymała też psy, kota i papugę, ale i tego było jej mało. Czy dlatego, że brakowało jej męża, przebywającego przez cały tydzień poza domem, czy też dlatego, że w ogóle lubiła towarzystwo — w jej domu zawsze było pełno gości. Zatrzymywały się u niej całe rodziny. Podczas gdy dzieci jeździły na kucach lub grały w piłkę na trawniku, Liza serwowała swoim gościom rostbefy, befsztyki, paszteciki z mięsem, staroświeckie puddingi i lody domowego wyrobu. Jej barek nieraz przeżywał prawdziwe obłężenie, ale zawsze stał otworem dla spragnionych.

— Czestujcie się! — krzyczała z daleka, równocześnie dysponując obiadem z trzech dań dla niespodziewanych gości. — Jeśli w kubelku nie ma już lodu, to weźcie z lodówki.

Anthony nadskakiwał jej i flirtował z nią całkiem otwarcie, a kiedy w weekendy wracał jej mąż, urządzał jej o niego sceny zazdrości.

— Wyrzuc tego drania z domu! — żartobliwie podburzał Lizę, co wywoływało u wszystkich huragany śmiechu.

Kiedyś Wirginia nad głowami śmiejących się gości napotkała wzrok męża Lizy. Był to spokojny, młody człowiek. Stał ze szklanką w ręku i śmiał się razem ze wszystkimi, ale co myślał naprawdę, trudno było wyczuć.

— Musisz trochę uważać na tego twojego męża! — ostrzegła Wirginię któraś z obecnych pań.

— Już od lat to robię — splawiła ją Wirginia i szybko zmieniła temat.

Któregoś wtorku Anthony zadzwonił do domu z klubu w Relkirk.

— Słuchaj, zaprosili mnie na pokera i diabli wiedzą, jak długo to potrwa. Nie czekaj na mnie, zjem coś na miejscu. No to na razie!

— Dobra, tylko nie przegraj za dużo.

— Nie bój się, wygram majątek i kupię ci futro z norek.

— Akurat tego mi trzeba!

Wrócił do domu dopiero około północy. Słyszała, jak tłucze się po swojej garderobie, otwierając i zamykając szuflady i klnąc na jakiś nieposłuszny guzik czy spinkę. Po jakimś czasie usłyszała, że kładzie się tam do łóżka, i zauważyła, że światło padające z otwartych drzwi zgasło. Zastanawiała się, czy położył się spać w garderobie, aby jej nie zbudzić, czy też z innego, mniej przyzwoitego powodu.

Wkrótce знаła już odpowiedź na to pytanie. W tak wąskim kręgu towarzyskim, w jakim się obracali, nic nie dało się ukryć.

— Mówiłam ci, kochanie, żebyś lepiej pilnowała tego twojego łobuza — oświadczyła uczynna znajoma.

— Cóż on znowu nabroił?

— To nadzwyczajne, że tak spokojnie to znosisz. Pewnie wiesz już o wszystkim?

— O czym znowu?

— No, o tej intymnej kolacyjce we dwoje, na której był z Lizą.

— Masz na myśli ostatni wtorek?

— To cwaniak, wydawało mu się, że nikt z nas niczego się nie domyśli. Ale trzeba trafu, że Midge i Johnny Gray nagle wpadli na pomysł, żeby zająć na kolację do knajpy „Pod Górkim Żlebem”. Tam jest teraz nowy kierownik, przyjemny nastrój i dobra kuchnia. No więc poszli tam i co zobaczyli? Anthony z Lizą przytuleni w kąciку, jak te gołąbeczki. Przez cały czas, masz pojęcie?

— Ach, tak.

— I tobie to nie przeszkadza?

— Jakoś nie.

To było właśnie najgorsze, że na Wirginii takie rzeczy nie robiły wrażenia. Była już znudzona i zobojętniała na wszystko, także na chłopięcy wdzięk Anthony'ego. Nie był to jego pierwszy romans i przypuszczalnie nie

ostatni. Woląa jednak nie myśleć o przyszłości niż wyobrazić ją sobie u boku tego wiecznego „Piotrusia Pana”, który brnął w swoje ciemne sprawy na oczach wszystkich.

Zacząa już myśleć o rozwodzie, ale wiedziaa, że nigdy się na taki krok nie zdecyduje. Nie tylko ze względu na dzieci, lecz także dlatego, że była po prostu sobą, a takie postępowanie nie leżało w jej naturze.

Nie była w tym związku szczęśliwa, ale nie musiała przecież robić ze swojej porażki i straconych złudzeń widowiska dla reszty świata. Faktem jest, że Anthony nigdy jej nie kochał, ale ona jego też nie. Owszem, ożenił się z Wirginią, by móc przejąć Kirkton, ale i ona też wyszła za niego tylko dlatego, aby zrobić na złość swojej matce, która chciała koniecznie wprowadzić ją na londyńskie salony.

Wprawdzie nie czuła się szczęśliwa, ale, jakkolwiek by na to spojrzeć, miała właściwie wszystko. Luksusowy dom, przystojnego męża, a przede wszystkim dzieci. Te dzieci były dla niej rekompensatą za wszystkie przykrości. To z myślą o nich starała się podtrzymywać ten rozpadający się związek i stworzyć im taką atmosferę bezpieczeństwa, jakiej już w życiu nie będą miały.

Noc przed swoją śmiercią Anthony również spędził z Lizą. Wstąpił do niej na drinka w drodze powrotnej z Relkirk i został na kolacji. Zadzwoił stamtąd do Wirginii.

— U Lizy są Cannonowie i ona chce, żebym został u niej na kolacji, a potem na brydżu, bo nie mają czwartego. Za jakiś czas przyjadę, nie czekaj na mnie.

W barku Lizy stała, jak zawsze, pełna butelka whisky. I tak jak zawsze, Anthony nie żałował sobie tego trunku. Wyruszył w drogę do domu około drugiej w nocy, ciemnej i bezgwiezdnej, przy padającym deszczu. Padało już od kilku dni i rzeka znacznie przybrała.

Przybyli na miejsce wypadku policjanci mierzyli taśmą drogę hamowania wozu, zaznaczali kredą ślady poślizgu i wpatrywali się w wiry mulistej wody. Wirginia stała przy nich, moknąc na deszczu, kiedy ekipa nurków zeszła pod wodę w poszukiwaniu ciała. Miły sierżant daremnie namawiał ją, aby poszła do domu. Czuła, że musi tu pozostać, bo przecież był to jej mąż i ojciec jej dzieci.

Przypomniała sobie wtedy jego słowa wypowiedziane tego wieczoru, kiedy wyznał jej, jak to naprawdę było z Kirkton: „Przykro mi, że to musiało się stać, kiedy oboje byliśmy jeszcze tacy młodzi”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ta noc wlokła się niemiłosiernie, odmierzana tykaniem ręcznego zegarka Wirginii leżącego na szafce nocnej. Kiedy sięgnęła po niego, stwierdziła, że jest prawie trzecia nad ranem. Wstała z łóżka, owinęła się kołdrą i usiadła na podłodze przy otwartym oknie. Do wschodu słońca zostało jeszcze około godziny, toteż było ciemno i cicho. Z odległości większej niż mila słychać było uderzenia fal morskich, a z oddalonego pastwiska odgłosy przeżuwiających krów. Wirginia słyszała też różne nocne odgłosy i pohukiwanie sowy.

Uświadomiła sobie, że prześladowuje ją wspomnienie Lizy. Na pogrzebie Anthony'ego zjawiła się z wyrazem twarzy znamionującym tyleż smutek, co poczucie winy na tyle wyraźne, że każdy instynktownie się od niej odwracał. Wkrótce potem mąż zabrał ją na wypoczynek na Riwierę, toteż Wirginia już jej nie spotkała.

Teraz zdała sobie sprawę, że musi jeszcze raz wrócić do Szkocji choćby po to, żeby ostatecznie uregulować stosunki z Lizą. Pragnęła przekonać ją, że nie wini jej za to, co się stało. A nawet, gdyby to było możliwe, spróbowałyby się z nią zaprzyjaźnić. Tym razem myśl o powrocie do Kirkton nie wywoływała w niej uczucia zgrozy. Wspomnienie rzeki, mostu, trawników w parku i podjazdu nie kojarzyło się jej z dawnym uczuciem samotności i beznadziei. Wywoływało raczej smutne refleksje na temat dwojga żyjących w tym domu ludzi, którzy nie umieli stworzyć trwałej więzi.

Sprzedza ten dom. Już wcześniej, podświadomie, podjęła taką decyzję, a świadomie zaakceptowała ją jako fakt dokonany. Nie umiała jeszcze ocenić, w jakim stopniu miał na to wpływ Eustace. Kiedyś pewnie to wszystko samo się wyjaśni. Na razie odczuwała ogromną ulgę, jakby pozbyła się zbyt długo dźwiganego ciężaru. Czuła też wdzięczność, chociaż nie wiadomo do kogo, tak jakby ktoś z zewnątrz wkroczył i zadecydował za nią.

Sprzedza Kirkton i kupi jakiś mały domek gdzie indziej. Nawiaże nowe znajomości, założy ogród, kupi psa, kota i kanarka. Zapisze dzieci do nowych szkół, a w czasie wakacji będzie oddawać się rozrywkom, do których przedtem nie miała śmiałości. Nauczy się jeździć na nartach, aby móc spędzać z dziećmi zimowe ferie w górach. Będzie kleić latawce i naprawiać rowery, pozwoli Karolinie czytać wszystkie książki, jakie zechce,

i będzie kibicować Mikołajowi startującemu w szkolnych zawodach. Może nawet weźmie udział w wyścigach z jajkiem na łyżce?

I wszystkiego tego dokona sama. Nie będzie już marzeń o Eustasie, ale zostanie to co dobre: duma z powziętego postanowienia, no i przede wszystkim dzieci. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym, wiedząc, że we wszystkich decyzjach ukierunkowana jest na dzieci jak strzałka kompasu na północ.

Zrobiło się zimno. Niebo zaczęło już jaśnieć na wschodzie. Wstała z podłogi, zażyła środek nasenny, popiła szklanką wody i położyła się z powrotem do łóżka. Kiedy znów otworzyła oczy, słońce było już wysoko i świeciło jej prosto w twarz. Na dole ktoś łomotał wściekle do drzwi frontowych i wykrzykiwał jej imię.

— Wirginio! To ja, Alicja! Pomarliście wszyscy, czy co? Wstawajcie!

Jeszcze senna i oszołomiona Wirginia zwlokła się z łóżka i wyjrzała oknem.

— Alicjo, nie hałasuj tak! Dzieci jeszcze śpią! Alicja zrobiła zdziwioną minę i przeszła w sceniczny szept:

— Myślałam, że coś się z wami stało. Już jest po dziesiątej. Zejdź i wpuść mnie!

Ziewając, Wirginia wbiła się w szlafrok, założyła kaptur i zeszła na dół, zaglądając po drodze do pokoju dzieci. Na szczęście nie zbudziło ich wołanie Alicji. „Pewnie wczoraj poszliśmy spać później, niż mi się wydawało”, pomyślała.

Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka światło słoneczne i Alicję w niebieskiej płóciennej sukience i jedwabnej chusteczce na głowie. Wyglądała tak jak zawsze, żywa, uważna, z błyskiem w oku i jasną cerą.

— Czy zawsze wstajesz o tej porze? — spytała.

— Nie — odrzekła Wirginia tłumiąc ziewanie. — Tylko tej nocy długo nie mogłam zasnąć. W końcu wzięłam pigułkę na sen, która chyba zwała mnie z nóg.

— A dzieci?

— Wprawdzie nie brały pigułek, ale jeszcze śpią. Wczoraj byliśmy cały dzień na dworze i poszliśmy późno spać. — Ziewnęła znów, z wysiłkiem otwierając oczy. — Może napijemy się kawy?

Alicja wyglądała na rozbawioną.

— Rzeczywiście, potrzebujesz tego. Wiesz co? Ja zrobię kawę, a ty idź, odśwież się trochę i ubierz. W tym stanie jeszcze nie nadajesz się do rozmowy.

Położyła torebkę na kuchennym stole i rozejrzała się wokół.

— Muszę powiedzieć, że ten domek wygląda całkiem nieźle. Tu jest kuchnia? Może trochę ciasna, ale bardzo funkcjonalna...

Wirginia napuściła wody do wanny, wykapała się i umyła włosy. Owinięta ręcznikiem wróciła na górę i znalazła w szafie czystą bawełnianą sukienkę. Wsunęła stopy w sandały, gładko zaczesła mokre włosy i zeszła do Alicji.

Wszystko było już gotowe. Czajnik syczał na gazie, w dzbanuszku czekała kawa przygotowana do zaparzenia, a na stole stały kubki.

— O, jesteś już... zaraz będzie kawa. Mam nadzieję, że raz napijemy się czegoś porządnego, nie takich siuszków jak zawsze.

Wirginia usiadła na brzegu stołu.

— Kiedy wróciłaś z Londynu?

— Wczoraj wieczorem.

— Przyjemnie było?

— Tak, ale nie przyszłam tu, aby rozmawiać o Londynie.

— Więc co cię tu sprowadza w poniedziałek o dziesiątej rano?

— Po prostu czysta ciekawość — szczerze wyznała Alicja.

— I czego to byłaś tak ciekawa?

— Eustace'a Philipa.

— Nie rozumiem.

— Pani Jilkes powiedziała mi o wszystkim, ledwo przyjechałam. Podobno Eustace dzwonił do nas i pytał, czy ktoś przygotował Bosithick na twój przyjazd. A kiedy powiedziała mu, że wyjechałam do Londynu, on obiecał, że sam się tym zajmie.

— No i rzeczywiście się zajął...

— Zaraz, zaraz... Nieraz rozmawialiśmy o Eustasie, ale nie powiedziałaś mi, że znów się z nim spotkałaś.

— Nie mówiłam ci? Może rzeczywiście nie.

— Ale kiedy to było?

— Tego dnia, kiedy pojechałam obejrzeć domek. Pamiętasz, powiedziałam ci wtedy, że nie wrócę na lunch. Wstąpiłam po papierosy do baru w Lanyon i tam go spotkałam.

— Dobrze, ale dlaczego nic mi o tym nie wspomniałaś? Czy był jakiś szczególnie powód, abym tego nie wiedziała?

— Nie — próbowała sobie przypomnieć Wirginia. — Myślę, że po prostu nie chciałam więcej rozmawiać na jego temat, bo to wcale nie było takie zwykłe spotkanie po latach. Tak naprawdę, to porządnie się wtedy pokłóciliśmy.

— Czy spotkałaś się z nim celowo?

— Nie, przypadkiem.

— I jeszcze cię pamiętał? Po tylu latach? Przecież widział cię tylko raz, na pikniku.

— O to chodzi, że nie — wyjaśniła Wirginia. — Wtedy widziałam się z nim jeszcze raz.

— Kiedy?

— Jakiś tydzień po tym pikniku, w Porthkerris. Spędziliśmy razem całe popołudnie, a potem odwiózł mnie do twojego domu. Nie widziałas go, bo gdzieś wtedy wyjechałaś. Natomiast moja matka była w domu i wiedziała o wszystkim.

— Czemu więc to było trzymane w takiej tajemnicy?

— Nie chodziło o tajemnicę, tylko o to, że mamie Eustace się nie spodobał. Prawdę mówiąc, nie wysiłał się zbytnio, aby zrobić na niej dobre wrażenie. Zachowywał się niegrzecznie, a jego landrover był zabrudzony słomą, błotem i gnojem. Mama nie lubiła takich rzeczy. Próbowała obrócić całe zdarzenie w żart, ale czułam, że się jej nie spodobał i że ją zdenerwował.

— A nie mogłaś powiedzieć mi o tym? W końcu to ja go tobie przedstawiłam.

— Próbowałam, ale ile razy zaczynałam, mama wtrącała się do rozmowy albo zmieniała temat. Poza tym, ty właściwie byłaś jej przyjaciółką, a nie moją. Ja dla ciebie musiałam być wtedy małą dziewczynką. Ani przez chwilę nie sądziłam, że stanęłabyś po mojej stronie.

— Czy to wymagało stawania po czyjejkolwiek stronie?

— Mogło wymagać. Wiesz, jaką moja mama była snobką.

— Faktycznie była, ale chyba nieszkodliwą.

— Gdzie tam nieszkodliwą! To było nawet groźne, bo miało wpływ na wszystkie jej posunięcia. To ją wykrzywiało psychicznie!

— Wirginio! — Alicja aż krzyknęła z przerażenia.

— Właśnie dlatego musiałyśmy wracać tak nagle do Londynu. Ona od razu się domyśliła, że jestem zakochana w Eustasie.

Czajnik zakipiał. Alicja zalała wrzątkiem kawę w dzbanuszkę. Intensywny aromat wypełnił kuchnię.

— A byłaś w nim zakochana? — spytała po krótkiej przerwie.

— Oczywiście. Każda z nas zachowałaby się tak samo w wieku siedemnastu lat.

— Ale wyszłaś za Anthony'ego Keile'a.

— No, wyszłam...

— A kochałaś go?

— Hm... po prostu za niego wyszłam.

— I byłaś z nim szczęśliwa?

— Raczej samotna.

— Coś podobnego! Zawsze myślałam, i twoja matka też mówiła, że byliście tacy szczęśliwi!

— Było wręcz przeciwnie, ale to nie tylko wina Anthony'ego. Moja także.

— Czy lady Keile wiedziała, jak było naprawdę?

— Nie. — Nawiasem mówiąc, lady Keile nie wiedziała także o okolicznościach śmierci Anthony'ego ani o romansie z Lizą. Mało tego, nawet nie próbowała się dowiedzieć. — Niby skąd miała wiedzieć? Nigdy nie przyjeżdżała do nas na dłużej niż tydzień. W takich warunkach łatwo było stwarzać pozory idealnego małżeństwa. Tyle przynajmniej mogliśmy dla niej zrobić.

— Ciekawe, że Niania nigdy się nie wygadała!

— Niania widziała tylko to, co chciała widzieć. A dla niej Anthony był ideałem.

— Musiało wam być nielekkko.

— Ano tak, ale to nie była tylko wina Anthony'ego, jak powiedziałam.

— A co z Eustace'em?

— Wtedy byłam tylko siedemnastoletnią dziewczynką, która czekała, żeby ktoś postawił jej lody.

— A teraz? — badała dalej Alicja.

— Teraz mam już dwadzieścia siedem lat, dwoje dzieci i nie oczekuję od nikogo lodów.

— To znaczy, że on nie ma ci nic do zaoferowania?

— Ani też nie potrzebuje niczego ode mnie. Ma swoją Penfoldę i żyje własnym życiem.

— Czy rozmawiałaś już z nim na ten temat?

— No, wiesz...

— To znaczy, że nie rozmawiałaś. Skąd więc ta pewność?

— Wtedy, dziesięć lat temu, miał do mnie zadzwonić. Mówił, że chciałby, abym ich jeszcze odwiedziła. Miałam zamiar pożyczyć od ciebie samochód i pojechać tam, ale on nigdy nie zadzwonił. A zanim zdążyłam zorientować się, o co tu chodzi, mama już porwała mnie do Londynu.

— A skąd wiesz, że on nigdy nie zadzwonił? — w głosie Alicji czuć było zniecierpliwienie.

— No, bo nie zadzwonił.

— A może twoja matka odebrała telefon?

— Pytałam ją i powiedziała, że nie było żadnego telefonu.

— Ona z całą pewnością potrafiła odebrać telefon i nie wspomnieć ci o tym. Tym bardziej że ten człowiek jej się nie spodobał. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Głos Alicji brzmiał sucho i rzeczowo, a Wirginia nie wierzyła własnym uszom. I to mówiła ta sama Alicja, którą jej matka uważała za swoją najlepszą przyjaciółkę. I ta Alicja teraz odkryła przed Wirginią prawdę, której ona sama nie miała odwagi ujawnić. Pamiętała żartobliwy „protest” matki w pociągu: „Ależ kochanie, cóż to za oskarżenie! Skądże znowu! Chyba nie myślisz tego serio?”

Dopiero teraz Wirginia uwierzyła słowom Alicji i wyjąkała:

— A ja myślałam, że powiedziała mi prawdę. Nie sądziłam, że była zdolna do kłamstwa!

— Powiedzmy, że była zdesperowana. Byłaś jej jedynym dzieckiem i wiązała z tobą duże nadzieje.

— I ty, wiedząc, że ona jest zdolna do takich rzeczy, byłaś nadal jej przyjaciółką?

— Nie przyjaźnimy się z ludźmi dlatego, że ich lubimy za coś konkretnego, tylko lubimy ludzi, z którymi się przyjaźnimy.

— Dobrze, ale jeżeli ona wtedy skłamała, to Eustace musiał pomyśleć, że nie chcę go więcej widzieć. Na pewno przez te wszystkie lata myślał, że go nie chcę znać.

— Jak to, a ten list, który do ciebie napisał?

— Jaki list?

— Głuptasie, ten list, adresowany do ciebie, który przyszedł w przeddzień waszego wyjazdu do Londynu. Pamiętam — ciągnęła, widząc osłupiałe spojrzenie Wirginii — że przyszedł z popołudniową pocztą i leżał

na stoliku w hallu. Pomyślałam nawet, że to ładnie z czyjejs strony, bo nie dostawałaś zbyt wielu listów. Potem poszłam coś robić, a kiedy wróciłam, list już zniknął. Byłam pewna, że go zabrałaś.

Wirginia wyobraziła sobie, jak mógł wyglądać ten list. Pewnie był w białej kopercie, zaadresowany czarnym tuszem: „Panna Wirginia Parsons”. Leżał na tym samym okrągłym stoliku, który do dziś stoi w hallu domu Alicji. Oczyma wyobraźni zobaczyła swoją matkę, jak wychodzi z salonu i po drodze zatrzymuje się, aby przejrzeć popołudniową pocztę. Miała na sobie wtedy malinowy kostiumik i białą jedwabną bluzkę, na ten sam malinowy kolor były pomalowane jej paznokcie, a na nadgarstku ręki, którą wyciągnęła po list, brzęczała złota bransoleta.

Wirginia zobaczyła też oczyma wyobraźni, jak matka zmarszczyła brwi na widok męskiego pisma na kopercie. Jak sprawdzała stempel pocztowy, może namyślając się przez moment, a potem wsadziła list do kieszeni żakietu i zachowywała się tak, jakby nic nie zaszło.

— Alicjo, ja nigdy nie otrzymałam tego listu — stwierdziła Wirginia z naciskiem.

— Jak to, przecież on tam leżał, widziałam wyraźnie!

— Jeszcze nie rozumiesz? Mama najwyraźniej zabrała go i zniszczyła w myśl zasady: „To dla dobra Wirginii”. Sama wiesz, że była do tego zdolna.

W tym momencie Wirginia straciła już wszystkie złudzenia. Była w stanie chłodnym okiem spojrzeć wstecz i dopiero teraz ujrzała prawdziwe oblicze swojej matki. Odkryła w niej jeszcze jedną, nie znaną dotąd cechę: oprócz snobizmu i dążenia do celu „po trupach” — także kręctwo! I co ciekawe, to odkrycie przyniosło Wirginii ulgę. W końcu tyloletnie pielęgnowanie mitu o idealnej matce i samooszukiwanie się też kosztowało sporo wysiłku. I okazało się, że dopiero teraz ten wyidealizowany we wspomnieniach obraz nabrał naprawdę ludzkich cech.

Natomiast Alicja sprawiała wrażenie, jakby żałowała, że w ogóle wspomniała o tym liście.

— Może to nie było od Eustace'a? — próbowała ratować sytuację.

— Ależ na pewno było.

— Skąd wiesz?

— Bo gdyby ten list był od kogoś innego, mama na pewno by mi go oddała, co najwyżej przeprasząc, że przez pomyłkę go otworzyła.

— Niemniej dalej nie wiemy, co było w tym liście. Wirginia zerwała się od stołu.

— Nie wiemy, ale zaraz się dowiemy. Czy mogłabyś zostać tu, dopóki dzieci nie wstaną, i powiedzieć im, że niedługo wrócę?

— Gdzież ty się wybierasz?

— Oczywiście do Eustace'a! — odkrzyknęła od drzwi.

— Zaraz, nie wypijaś jeszcze kawy, którą ci zrobiłam. Poza tym co właściwie chcesz mu powiedzieć? I jak to wyjaśnisz?

Słowa te padły w próżnię, gdyż otwarte, kołyszące się jeszcze drzwi wskazywały, że Wirginia już wybiegła. Alicja próbowała jeszcze przywołać ją z powrotem, ale Wirginia była już poza zasięgiem jej głosu. Biegła jak dziecko, wśród wysokich traw, polnymi drózkami w stronę Penfoldy.

Wybrała drogę na skróty przez pola, gdyż jazda samochodem po głównej szosie zabrałaby zbyt wiele czasu. A czas był teraz dla niej szczególnie cenny. Skoro zmarnowanych zostało już dziesięć lat, nie było ani chwili więcej do stracenia.

Wirginia sadziła wielkimi susami, na przełazach skacząc od razu po dwa stopnie. Niebo było już ciemnoniebieskie z odcieniami fioletu i turkus, a mgiełka nad linią horyzontu zapowiadała upał. W rowach kwitły czerwone maki, a w powietrzu unosiły się płatki żółtych kwiatów ostrokrzewu.

Widać już było Penfoldę, dom i budynki gospodarcze. Ostatni przełaz prowadził do ogrodu warzywnego, osłoniętego murem od wiatru. Potem jeszcze tylko ścieżka i brama — i już była na progu, gdzie wygrzewała się kotka ze swymi półsyjamskimi kociętami. Drzwi domu stały otworem, więc weszła do środka i zawołała Eustace'a. Przy tak słonecznym dniu wewnątrz domu wydawało się ciemno.

— Kto tam? — spytała pani Thomas ścierająca kurze z poręczy.

— To ja, Wirginia Keile. Czy zastałam Eustace'a?

— O, właśnie wraca od dojenia.

Szybko podziękowała i skierowała się przez trawnik w stronę wybiegu dla krów i hali udojowej. Akurat Eustace pojawił się w drugim końcu ogrodu. Był w samej koszuli, fartuchu i gumiakach. Niósł wiadro pełne mleka. Wirginia stanęła jak wryta. Eustace zamknął za sobą bramę, podniósł wzrok i wtedy ją zauważył.

Zamierzała zachować się bardzo rozsądnie i ze spokojem oznajmić: „Chciałabym pomówić z tobą o tym liście, który kiedyś do mnie napisałeś”. Jednak stało się zupełnie inaczej. Wystarczyła ta długa chwila, podczas której oboje stali i spoglądali na siebie, aby wszystko zostało wyjaśnione bez słów. Eustace postawił wiadro na ziemi i zrobił kilka kroków w stronę

Wirginii, a ona zbiegła po trawniku prosto w jego ramiona. Z radosnym śmiechem przytuliła twarz do jego piersi, a on tylko powtarzał: „No, dobrze już, dobrze” — jakby pocieszał kogoś, kto nie śmieje się, a płacze. Wtedy Wirginia wyrzuciła z siebie: „Kocham cię!” — i wybuchła prawdziwym płaczem.

— Oczywiście dzwoniłem wtedy, chyba ze trzy lub cztery razy — tłumaczył Eustace. — Ale ciebie nigdy nie było w domu. Zawsze telefon odbierała twoja matka i było mi głupio. Za każdym razem obiecywała, że powie ci o moim telefonie i że mi oddzwonisz. A ponieważ nie dzwoniłaś, zacząłem myśleć, że zmieniłaś zdanie, że pewnie masz coś lepszego do roboty niż odwiedzać kogoś takiego jak moja stara matka i ja. Sądziłem, że może matka wyperswadowała ci znajomość ze mną, bo poczuła do mnie awersję od pierwszego wejrzenia. Wiedziałaś o tym, prawda?

— Tak, ale zastanawiałam się, dlaczego nie dzwonisz. Raz chciałam już sama zadzwonić do ciebie, ale zabrakło mi odwagi. Wtedy, ni z tego, ni z owego, matka zdecydowała, że czas wracać do Londynu, więc nie zdążyłam już nic zrobić. A w pociągu spytałam ją wprost, czy nie dzwoniłeś, ale ona odpowiedziała, że nie. Najgorsze w tym wszystkim było to, że zawsze jej ufałam, nie przypuszczałam, że może skłamać. A powinnam była to przewidzieć, więc to moja wina. Och, Eustace, czemu byłam taka głupia?

Weszli do domu, rzekomo po czystą chusteczkę do nosa dla Wirginii, ale naprawdę szybko znaleźli się w kuchni. Usiedli przy tym samym co przedtem, czysto wyszorowanym stole, w miejscu, gdzie pachniało piekącym się szafranowym ciastem, a słychać było tylko tykanie staroświeckiego wahadłowego zegara.

— Nie byłaś wcale głupia — pocieszył ją Eustace. — Miałaś tylko siedemnaście lat. Bardziej martwiło mnie co innego, to, że w tym wieku łatwo będzie cię przekonać lub zastraszyć, zanim dorośniesz na tyle, żeby wyrobić sobie własny pogląd na sprawy. Właśnie to napisałem ci w liście. Ponieważ nie odezwałaś się, sądziłem, że się przestraszyłaś, więc zaoferowałem ci, że jestem gotów poczekać parę lat, jeżeli potrzeba ci czasu. Rozpisałem się jak nigdy — przyznał ze smutnym uśmiechem. — Ani przedtem, ani potem nie mówiłem takich rzeczy żadnej dziewczynie.

— I pewnie pomyślałaś, że nie chciało mi się nawet odpowiedzieć?

— Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co o tym myśleć. A potem dowiedziałem się z gazety, że wyszłaś za męża.

— Eustace, gdybym dostała twój list, nie zgodziłabym się na powrót do Londynu!

— Musiałabyś się zgodzić, bo byłaś niepełnoletnia.

— Mogłabym wtedy symulować atak hysterii albo załamanie nerwowe, albo uciec w chorobę... Coś bym wymyśliła.

— I tak musiałabyś wyjechać.

— Ale wtedy wiedziałabym, że czekasz tu na mnie! — upierała się, chociaż wiedziała, że Eustace ma rację.

— Wtedy nigdy w życiu nie wyszłabym za Anthony'ego ani nie wyjechałabym do Szkocji. Nie zmarnowałabym tylu lat!

Eustace zdziwionym gestem uniósł brwi.

— Jak to zmarnowałaś? A Karolinka i Mikołaj to co? Wirginii ponownie łzy nabiegły do oczu.

— To są takie trudne sprawy — westchnęła. Otoczył ją ramieniem, odgarniał jej włosy z twarzy i scałowywał toczące się łzy.

— Wszystko jest tak, jak być powinno — tłumaczył łagodnie. — Każda rzecz ma swój czas i miejsce. Nic się nie dzieje bez przyczyny. Nie ma rzeczy niemożliwych. Można pójść, ot tak sobie, „Pod Syrenkę” i spotkać tam ciebie, jakbyś nigdy stąd nie wyjeżdżała. To zupełnie jak cud.

— Ale wtedy nie zachowywałaś się tak, jakby to był cud, tylko od razu zaczęłaś na mnie krzyczeć!

— Bo się bałam, żeby drugi raz nie doznać zawodu. Nie wiedziałem, czy się nie pomyliłem co do ciebie, czy przypadkiem nie przejęłaś systemu wartości twojej matki.

— Mówiłam ci, że nigdy go nie uznawałam. Wziął ją za rękę.

— Słuchaj, po naszym wczorajszym pikniku myślałem już, że wszystko jest w porządku. Kiedy razem pływaliśmy, piekliśmy ryby i widziałem, że ci się to podobało, wydawało mi się, że wracamy do punktu wyjścia. Sądziłem, że będę w stanie porozmawiać z tobą o tym, dlaczego tak nagle wyjechałaś do Londynu, a ja tu zostałem, nie wiedząc, co się stało, i nigdyśmy się już potem nie widzieli.

— Głuptasie, ja też o tym myślałam, a ty zamiast tego zrobiłaś mi wykład o cenach za byki aberdeen angus. Ja nawet nie wiem, gdzie taki byk ma głowę, a gdzie ogon, chcę zostać żoną rolnika, a nie sama być rolnikiem!

Zaśmiał się głośno.

— A wiesz, dlaczego tak wyszło? To przez te zdjęcia, które pokazała mi Karolinka. Patrząc na nie doszedłem do wniosku, że właściwie należymy do

dwóch różnych światów. O takim majątku jak Kirkton i takiej małej farmie jak Penfolda nie można mówić jednym tchem. I nagle pomyślałem sobie, że szaleństwem byłoby żądać od ciebie, żebyś zrzekła się wszystkiego dla tego, co ja mogę ci zaoferować.

— A ja właśnie tego chcę i zawsze chciałam! Dom w Kirkton należał do Anthony'ego i bez niego nie ma już tam życia. Akurat tej nocy postanowiłam, że go sprzedam. Oczywiście będę musiała jeszcze tam wrócić, choćby po to, żeby powiedzieć o tym znajomym i zlecić prawnikowi prowadzenie tej sprawy.

— A nie pomyślałaś o dzieciach?

— Cały czas o nich myślę. One to rozumieją.

— Przecież tam był ich dom.

— A teraz ich nowym domem będzie Penfolda oświadczyła Wirginia ze śmiechem.

Eustace przycisnął ją do siebie mocnymi dłońmi i pocałował w roześmiane usta. Gdy tylko zdołała znów zaczerpnąć powietrza, dokończyła:

— Będą miały nowy dom i nowego tatusia! Eustace chyba nie usłyszał tych słów, bo zdawał się nadśluchiwać czego innego.

— O wilku mowa! — oznajmił wreszcie.

Teraz Wirginia też usłyszała podniesione głosy swoich dzieci dobiegające od strony ogrodu.

— Karolina, popatrz, tu są kotki! Wyszły na słońce, a nie piły jeszcze mleczka!

— Mikołaj, zostaw je. One śpią.

— O, ten jeden nie śpi. Popatrz, oczka ma otwarte!

— A gdzie jest mama? Mamusiu!

— Tu jest! — odezwał się Eustace.

— Mamusiu, ciocia Alicja pyta, czy w ogóle masz zamiar wracać do domu? — To był głos Karolinki, która pojawiła się w drzwiach kuchni, rozczochrana i w przekrzywionych okularach. — Usmażyła nam jajka na bekonie, ale nie mogliśmy się ciebie doczekać. Ciocia mówi, że pani Jilkes na pewno pomyśli, że miała wypadek samochodowy...

— Właśnie! — dołączył się Mikołaj, trzymając na rękach kociaka wczepionego pazurkami w jego sweter. — Obudziliśmy się dopiero dziesięć po dziesiątej, kiedy przyszła ciocia Alicja. To już było prawie po śniadaniu i my prawie mieliśmy czekać na lunch, aleja byłem taki głodny...

Urwał nagle, gdyż zdał sobie sprawę, że mówi sam, a wszyscy inni milczą. Mama i Eustace siedzieli i przyglądali mu się, a Karolinka wpatrywała się w matkę, jakby jej nigdy przedtem nie widziała. Chłopczyk nie rozumiał, o co chodzi.

— Co się stało? Czemu nikt nic nie mówi? — spytał.

— Czekamy, aż skończysz — odpowiedziała Wirginia.

— Dlaczego?

Wirginia spojrzała na Eustace'a, a ten pochylił się nad Karolinką i delikatnie poprawił jej okulary. Wtedy Mikołaj zauważył jego uśmiech.

— Mamy wam coś do powiedzenia — wyjaśnił Eustace.

RS